

**HARRY HARRISON**

**PLANETA ŚMIERCI III**

*Tytuł oryginału: Deathworld 3*  
Copyright©by Harry Harrison 1968

*Tłumaczyła Barbara Gentkowska*

Syrena zawyła na alarm; z namiotów zaczęli wybiegać strażnicy, nadziewając się prosto na atakujących wojowników. Nie było czasu, by się przygotować do walki. Żołnierze nie mieli żadnych szans, ginęli zanim zdążyli wydobyć broń.

Wierzchowce napastników parły naprzód, tratując ziemię podobnymi do słupów nogami. Pierwszy z nich runął na ogrodzenie, obalając je własnym ciałem. Z drutów wystrzeliła iskra, śmiertelnie raniąc zwierzę. Jego długa szyja uderzyła o ziemię dosłownie u stóp dowódcy straży. Ten patrzył w niemym przerażeniu, jak jeździec dobił stwora, trafiając go strzałą z łuku.

## Rozdział I

Porucznik Talenc opuścił elektroniczną lornetkę i zaczął kręcić potencjometrem wzmacniacza, by skompensować zanikające światło. Oślepiające białe słońce skryło się już za grubą warstwą chmur. Zbliżał się wieczór. Przez lornetkę porucznik widział jednak wyrazisty, czarno-biały obraz falującej równiny. Nic, tylko trawa. Morze falującej na wietrze trawy.

- Przepraszam sir, ale ja tam nic nie widzę - z niechęcią powiedział wartownik. - Tylko to, co zwykle.

- Wystarczy, że ja go zobaczyłem. Coś tam się poruszyło. Idę sprawdzić, co. - Spojrzał na zegarek. - Jeszcze półtorej godziny, zanim zacznie się ściemniać. Mnóstwo czasu. Przekaż dyżurnemu, gdzie poszedłem.

Wartownik chciał jeszcze coś dodać, ale się rozmyślił. Nie udziela się rad porucznikowi Talencowi.

Kiedy brama w zasiekach została otwarta, Talenc zarzucił na ramię miotacz laserowy, przepasał pojemnik z granatami i wyruszył. Był przekonany, że na tej rozległej równinie nie istniało nic, czego tak naprawdę musiałyby się obawiać, a chciał zbadać sprawę. W jednakowym stopniu kierowała nim: ciekawość, nuda codziennej, rutynowej służby i poczucie obowiązku. Ciężko stąpał po chrzęszczącej trawie. Raz tylko się obejrzał, by rzucić okiem na otoczony zasiekami obóz. Parę niskich budynków, kilka namiotów i wznoszący się nad nimi szkielet wieży strażniczej. Wszystko to kryło się w cieniu ogromnego niczym skała statku. Talenc nie należał do ludzi szczególnie wrażliwych, ale nawet on odczuwał znikomość samotnego obozowiska, zagubionego w

beźmiarze pustki. Wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Sto metrów od zasieków zaczynał się niewielki uskoki, za którym wznosiła się skarpa, niewidoczna od strony obozu. Talenc z trudem wspiął się na wzniesienie i... zamarł z przerażenia. Tuż przed sobą ujrzał gromadę jeźdźców. Cofnął się gwałtownie, ale było już za późno. Najbliższy wojownik przebił mu łydkę długą lancą i zwlókł z krawędzi wału. Talenc padając wyszarpnął pistolet, ale następna włócznia wytrąciła mu go z ręki i przebijając dłoń, przygoździła ją do ziemi. Wszystko to trwało niezwykle krótko: jedna, może dwie sekundy. Gdy usiłował sięgnąć po radio, ogarnęła go fala gwałtownego bólu. Trzecia lanca przeszywając nadgarstek, unieruchomiła drugie ramię. Ranny otworzył usta by krzyknąć, ale nie zdążył. Najbliższy jeździec, pochylivszy się lekko w siodle, wepchnął krótki miecz między zęby porucznika. Uciszył go na zawsze. Noga konającego drgnęła w agonii. Szelest poruszonej trawy był jedynym dźwiękiem, który towarzyszył tej śmierci. Jeźdźcy spojrzeli na zwłoki i odjechali w milczeniu, nie okazując zainteresowania. Ich wierzchowce były równie spokojne.

- Co się stało? - spytał dowódca straży, zapinając pas.

- Chodzi o porucznika Talenca, sir. Powiedział, że coś zauważył i wyszedł z obozu. Zniknął potem za wzgórzem i od tego czasu, czyli od dziesięciu, może piętnastu minut, już się nie pokazał. Jego radio również nie odpowiada.

- Nie rozumiem, jak mogło mu się tam coś przytrafić - powiedział dowódca, spoglądając na ciemniejszą równinę.

- Ale trzeba to sprawdzić. Sierżancie! - Wołany wystąpił i zasalutował. - Weźcie ludzi i odszukajcie porucznika Talenca.

To byli fachowcy: wynajęci przez Johna Company na trzydzieści lat, przygotowani na każde kłopoty na tej nowo odkrytej planecie. Rozproszyli się po równinie w tyralierę i ostrożnie ruszyli naprzód.

- Coś nie tak? - zapytał metalurg, wychodząc z szopy wiertniczej. W ręku trzymał tackę z próbką rudy.

- Nie wiem - odparł dowódca akurat w chwili, gdy z ukrytego żlebu i obu stron pagórka zaczęli wynurzać się jeźdźcy.

Zaskoczenie było zupełne. Strażnicy, doskonale wyszkoleni i uzbrojeni, zostali dosłownie wyrżnięci. Padło kilka strzałów, ale jeźdźcy, nisko pochyleni w siodłach, skutecznie kryli się przed ogniem. Rozległ się świst zwalnianych cięciw i ciskanych z ogromną siłą lanc. Jeźdźcy przemknęli jak burza, zostawiając za sobą dziewięć poskręcanych trupów.

- Jada tutaj - krzyknął metalurg i upuściwszy tacę rzucił się do ucieczki.

Syrena zawała na alarm; z namiotów zaczęli wybiegać strażnicy, nadziejąc się prosto na atakujących wojowników. Nie było czasu, by się przygotować do walki. Żołnierze nie mieli żadnych szans, ginęli zanim zdążyli wydobyć broń.

Wierzchowce napastników parły naprzód, tratując ziemię podobnymi do słupów nogami. Pierwszy z nich runął na ogrodzenie, obalając je własnym ciałem. Z drutów wystrzeliła iskra, śmiertelnie raniąc zwierzę. Jego długa szyja uderzyła o ziemię dosłownie u stóp dowódcy straży. Ten patrzył w niemym przerażeniu, jak jeździec dobił stwora. trafiając go strzałą w oko.

Wojownicy przemknęli tuż przy zasiekach, przeskakując przez ciało zabitej bestii. Wysyłali grad strzał ze swych krótkich, pokrytych laminatem łuków. Pomimo panującego półmroku mierzyli nadzwyczaj celnie.

Rozkołysany krok ich wielkich wierzchowców na pewno im tego nie ułatwiał. Obrońcy padali jednak jak muchy - ranni lub zabici. Jedna ze strzał utkwiała w głośniku, który zatrzeszczał krótko i umilkł.

Odeszli równie szybko, jak się pojawili, znikając za ciemniejącym wzgórzem. W przerażającej ciszy, która teraz zapadła, słychać było jedynie jęki rannych. Nadchodziła noc, było coraz ciemniej.

W świetle zapalonych pochodni obóz przedstawiał okropny widok. Komandor wyprawy zaczął wykrzykiwać rozkazy przez megafon i dopiero to zdołało przywrócić jako taki porządek.

Wytoczono moździerz. Nagle jeden z wartowników krzyknął ostrzegawczo. Żołnierze odwrócili wielki reflektor, oświetlając ciemną masę jeźdźców, ponownie gromadzących się na wzgórzu.

- Moździerz, ognia! - krzyknął wściekle komandor. - Wykończyć ich!

Jego głos utonął w huku pierwszej salwy. Kontynuowali obstrzał, aż kłęby dymu i kurzu przesłoniły widok. Grzmot kanonady rozlegał się niczym burza. Nie wiedzieli, że pierwsza szarża stanowiła jedynie manewr taktyczny, podczas gdy główne uderzenie nastąpiło z przeciwnej strony. Dopiero gdy napastnicy znaleźli się pomiędzy nimi, zrozumieli, co się stało.

- Zamknąć włązy - krzyknął ze sterowni pilot dyżurny, waląc w przełączniki zamykające służbę. Z tej, na razie bezpiecznej wysokości, widział fale napastników zalewające obóz, a wiedział, jak ślamazarnie przesuwają się przekładnie ciężkich drzwi zewnętrznych. Odruchowo przytrzymał wciśnięte już przyciski.

Wierzchowce atakujących, mimo że oślepięte falą światła, przetoczyły się przez elektryczne ogrodzenie. Pierwsze z nich ginęły

porażone prądem, ale następne, wspinając się na ich ciała, bezpiecznie pokonały przeszkodę. Ginęli i jeźdźcy, ale jak się okazało, nie miało to większego znaczenia, bo podobnie jak ich zwierzęta, zastępowani byli kolejnymi szeregami wojowników. Opanowali obozowisko i roznieśli je w pył.

- Tu drugi oficer Weiks - powiedział pilot, włączając na statku wszystkie głośniki. - Czy jest na pokładzie ktoś starszy ode mnie stopniem?

Wsluchiwał się w narastającą ciszę, a kiedy się znów odezwał, głos miał zduszony i niewyraźny.

- Zgłaszać się po kolei. Oficerowie i załoga. Sparks, notujcie.

Zwolna, niepewnie, jeden po drugim zaczęli się odzywać. W tym czasie Weiks uruchomił zewnętrzne skanery. Na dole ujrzał piekło.

- Siedemnastu, to wszyscy? - z niedowierzaniem wykrztusił radiooperator, zasłaniając dłonią mikrofon. Podał listę drugiemu oficerowi, który spojrzął na nią ponuro, po czym wolno sięgnął po mikrofon.

- Tu mostek - powiedział. - Przejmuję dowodzenie. Przygotować silniki.

- Nie spróbujemy im pomóc? - jakiś głos przerwał ciszę. Nie możemy ich przecież tak zostawić!

- Nie mamy już komu - odrzekł wolno Weiks. - Sprawdziłem na wszystkich monitorach. Poza tymi bestiami, niczego więcej nie widać. Nawet jeśli ktoś ocalał, nie sądzę byśmy mogli mu pomóc. Opuszczenie statku to teraz samobójstwo. Poza tym mamy minimum załogi. Nikogo nie może już zabraknąć.

Kadłub drgnął, jakby chciał potwierdzić jego słowa.

- Jeden ekran nie działa - zameldował radiooperator. - O, teraz drugi. Czymś w nie rzucają. Przywiązują liny do dźwigarów. Czy... czy mogą nas przewrócić?

- W ciągu 65 sekund powinny odpalić silniki - rzucił Weiks.  
- Ależ one spala nam odrzutowce, wszystko i wszystkich tam na dole - jęknął Sparks.  
- Nasi już tego nie poczuja - stwierdził gorzko pilot - a tamci... Jakoś ich nie żałuję.  
Statek, plując ogniem, uniósł się w górę. W dole pozostały jedynie kłęby dymu i krąg zwęglonych trupów, ale gdy tylko ziemia nieco ostygła, jeźdźcy wdarli się tam znowu. Z ciemności napływało ich coraz więcej i więcej. Szeregi zdawały się nie mieć końca.

## Rozdział II

- To głupie, dać się piloptakowi - gderał Brucco, pomagając Jasonowi dinAlt zdjąć metalizowaną kamizelkę.  
- To głupie, żeby próbować zjeść spokojnie obiad na tej planecie. - Jason szarpnął się do tyłu, czując ostry ból w boku. - Właśnie podsunięto mi talerz i miałem zamiar uraczyć się zupa, gdy musiałem strzelać!  
- To tylko było powierzchowne draśnięcie - orzekł Brucco, patrząc na jego ranę. - Piła



prześlizgnęła się po kościach nie łamiąc ich. Miałaś dużo szczęścia.

- Masz na myśli to, że mnie nie zabił? Do czego dochodzi - piłoptak w messie!

- Na Pyrrusie zawsze bądź przygotowany na niespodzianki; nawet dzieci to wiedzą!

Jason zacisnął zęby, gdy Brucco rozsmarowywał antyseptyk.

Po chwili zapisał głośnik wideofonu i na ekranie ukazała się zatroskana twarz Mety.

- Jason, słyszałam, że jesteś ranny - powiedziała.

- Umierający - odrzekł.

- Nonsens - wtrącił Brucco z uśmiechem. - To powierzchowna rana, czternaście centymetrów długości, żadnych toksyn.

- To wszystko? - spytała Meta i ekran zgasł.

- Tak, wszystko - powiedział cierpko Jason. - Jeśli litr krwi i kilogram ciała znaczy tyle, co złamany paznokieć, to czym można tu zasłużyć na odrobinę współczucia? Stracić nogę?

- Gdybyś ją stracił w walce, to może by ci współczuli - poinformował go chłodno Brucco, nakładając samoprzylepny bandaż - ale jeśli uciałby ci ją piłoptak w holu messy, to mógłbyś jedynie liczyć na pogardę.

- Wystarczy - powiedział ostro Jason, wciągając z powrotem kamizelkę. - Nie bierz tego tak dosłownie. Wiem, jakich względów można się po was spodziewać, mili Pyr-rusanie. Nie sędzę, bym kiedykolwiek, chociaż przez pięć minut, tęsknił za tą planetą.

- Odlatujesz? - zapytał Brucco z nadzieją w głosie. - To z tego powodu zwołano zebranie?

- Postaraj się powstrzymać swą ciekawość jeszcze przez tysiąc pięćset godzin, zanim nadejdą inni. Nie zamierzam nikogo faworyzować. Oczywiście z wyjątkiem siebie. - Odwrócił się i wyszedł, starając wykonać możliwie najmniej zbędnych ruchów. Nie chciał tego okazać, ale rana naprawdę mu doskwierała.

"Czas na zmianę" -pomyślał, spoglądając przez wysokie okno na widniejącą w dole śmiercionośną dżunglę. Światłoczułe komórki najbliższego drzewa musiały uchwycić ruch, gdyż jakaś gałąź świstnęła niczym biczą i grad strzałowców zagrzechotał o przezroczyście metal okna. Jason nawet nie drgnął. Zdażył się już do tego przyzwyczaić. Każdy dzień na Pyrrusie przypominał ruletkę: wygrana - życie, przegrana - śmierć. Ilu już ludzi zginęło od chwili, gdy tu przybył? Zaczynał tracić rachubę. Stawał się równie niewrażliwy, jak rdzenny Pyrrusanin.

Jeśli w ogóle miały nastąpić jakieś zmiany, on był jedynym, który mógł je wprowadzić. Kiedyś sądził, że rozwiązał podstawowy problem tej planety, kiedy im udowodnił, że sami mieszkańcy byli przyczyną tej bezwzględnej, nieustannej wojny. Ona jednak toczyła się nadal. Poznanie prawdy nie zawsze przynosi pogodzenie się z nią. Ci Pyrrusanie, którzy przyjęli do wiadomości prawdę o realiach tutejszego życia, opuścili miasto. Odeszli dostatecznie daleko, by uciec od presji nienawiści, która niszczyła ich zarówno fizycznie, jak psychicznie. Pozostali pozornie zgadzali się z opinią, że to ich własne emocje podsycaly wojnę. W istocie jednak w to nie wierzyli, a każda chwila, w której patrzyli z nienawiścią na otaczający ich świat, dawała wrogowi nowe siły do kolejnego ataku.

Kiedy Jason myślał o jedynym pewnym końcu, jaki czekał to miasto, ogarniało go coraz większe przygnębienie. Żyło tu tak wielu wspaniałych, dzielnych ludzi! Wrastali coraz bardziej w tę wojnę, a występujące tu hiper wyspecjalizowane formy życia stawały się coraz lepiej do niej przygotowane. Jedni i drudzy przez pokolenia kształtowani tą samą mieszaniną nienawiści i strachu.

A oto czekała ich zmiana. Zastanawiał się, jak wielu z nich ją zaakceptuje. W biurze Kerka

zjawił się z tysiąc pięćset dwudziesto  
godzinnym opóźnieniem, spowodowanym  
trudnościami w uzyskaniu połączenia. Twarze  
wszystkich zebranych wyrażały to samo uczucie  
- zimnego gniewu. Pyrrusanie nie grzeszyli  
cierpliwością. Jeszcze bardziej nie lubili  
tajemnic ani zagadek. Byli do siebie tak  
bardzo podobni, a jednocześnie tak bardzo  
różni.

Kerk, siwowłoso, flegmatyk, lepiej niż inni  
potrafił opanować wyraz twarzy - praktyka  
niewątpliwie wyniesiona z częstych kontaktów z  
obcymi. Jego przede wszystkim należało  
przekonać, bo jeżeli beładnie zorganizowana.  
zmilitaryzowana społeczność Pyrrusan w ogóle  
posiadała jakiegoś przywódcę, to był nim on.  
Brucco był szczupły, miał jastrzębią twarz, a  
jego rysy wyrażały ustawiczną podejrzliwość.  
Zresztą jak najbardziej uzasadniona-jako  
lekarz i ekolog był jedynym autorytetem w  
dziedzinie badania różnych form życia, które  
występowały na Pyrrusie. Musiał być  
podejrzliwy. Jedno przemawiało na jego  
korzyść: udokumentowane fakty mogły go  
przekonać.

Wreszcie Rhes, przywódca karczowników - ludzi,  
którym udało się przystosować do życia na tej  
straszliwej | planecie. Nie miał w sobie  
nienawiści, która przepełniała o innych. Jason  
liczył na jego pomoc. Meta, słodka i urocza,  
ale silniejsza od większości mężczyzn, której  
ramiona potrafiły namiętnie obejmować lub...  
łamać kości. "Czy twój chłodny, praktyczny  
umysł, ukryty w tym cudownym kobiecym ciele  
wie, co to miłość?

- myślał Jason, patrząc w jej twarz. - Czy to,  
co czujesz do mnie to tylko chęć posiadania?  
Odpowiedz mi kiedyś na to pytanie. Ale nie  
teraz. Wyglądasz na równie zniecierpliwioną,  
jak pozostali."

Jason zamknął za sobą drzwi i uśmiechnął się z  
przymusem.

- Witam wszystkich obecnych - powiedział. - Mam nadzieję, iż nie macie mi za złe tego spóźnienia - ciągnął pośpiesznie, ignorując dochodzące zewsząd niechętnie pomruki. - Zapewne ucieszy was wiadomość, że jestem załamany, zrujnowany i pogrążony. Wyraz ich twarzy wskazywał, że z wielkim wysiłkiem rozważają jego słowa. "Nie więcej niż jedna myśl na raz"

- brzmiała dewiza Pyrrusa.

- Miałeś miliony w banku - odezwał się Kerk - i żadnych szans, by je przegrać.

- Jeśli gram, to wygrywam - oświadczył Jason z godnością. - Jestem splukany, bo wydałem wszystko, do ostatniego kredytu. Kupiłem statek, który właśnie tutaj leci.

- Po co? - zapytała Meta, wypowiadając myśl, która nurtowała wszystkich.

- Ponieważ opuszczam tę planetę i was zabieram ze sobą. Was i innych.

Jason dobrze rozumiał ich mieszane uczucia. Na złe czy dobre - to był ich dom. Nieludzki i niebezpieczny, ale własny.

Aby wzbudzić w nich entuzjazm i zagłuszyć wątpliwości, musiał jakoś uatrakcyjnić pomysł. Do rozumu zaapeluje później - najpierw musi rozbudzić emocje. Dobrze znał ich słabość.

- Odkryłem planetę bardziej śmiercionośną niż Pyrrus - ogłosił w końcu uroczyście.

Brucco zaśmiał się z niedowierzaniem, reszta tylko pokręciła głowami.

- I to ma być ta rewelacja? - zapytał Rhes, jedyny z obecnych, który urodzony poza miastem, nie miał zamiłowania do przemocy.

Jason mrugnął doń znacząco, po czym kontynuował swą przemowę:

- Mówię: śmiercionośną, gdyż zamieszkuje ją najgroźniejsza z odkrytych kiedykolwiek form życia. Szybsza od żądłopióra, bardziej przewrotna niż diablóróg, wytrwalsza od ptakpazura. Można tak wymieniać bez końca.

Znalazłem planetę, na której żyją prawdziwe potwory.

- Masz na myśli ludzi? - Kerk jak zwykle rozumował najszybciej.

- Owszem. Ale groźniejszych niż mieszkańcy tej planety. Natura ukształtowała Pyrrusan tak, że potrafią bronić się przed zagrożeniami. Podkreślam, BRONIĆ SIĘ! A co byście powiedzieli o świecie, w którym od kilku tysięcy lat ludzie rodzą się tylko po to, by atakować, zabijać i niszczyć? Możecie wyobrazić sobie tych, którzy przeżyli?

Rozważali jego słowa, ale sądząc po ich twarzach, niezbyt głęboko. W myślach zjednoczyli się przeciw wspólnemu wrogowi. Jason dolewał oliwy do ognia...

- Mówię o planecie Felicity<sup>1</sup>, nazwanej tak widocznie po to, by przyciągnąć osadników. Pewnie z tego samego powodu zamieszkujących ją olbrzymów nazwano pieszczotliwie

"Tiny"<sup>2</sup>. Parę miesięcy temu przeczytałem w prasie wzmiankę o tym, że cała osada górnicza została obrócona w perzynę, a wierzcie mi, że nie jest to takie proste. Górnicy to twardzi ludzie, gotowi na wszystko - a ci z John & John Mineral Company byli najtwardsi. Poza tym - co również istotne - John Company nigdy nie grał o małe stawki. Skontaktowałem się więc z paroma przyjaciółmi. Wysłałem im trochę pieniędzy, a oni odnaleźli jednego z tych, co przeżyli. Jeszcze więcej kosztowało mnie wydobycie od niego dokładnych informacji. Oto one - zrobił dramatyczną pauzę dla większego efektu i wyjął kartkę papieru.

- Zamiast nią wymachiwać, lepiej byś przeczytał - powiedział Brucco, niecierpliwie bębniąc w stół.

- Cierpliwości - odrzekł Jason. - Jest to raport inżynierski, bardzo entuzjastyczny, jak na tego rodzaju literaturę. Wynika z

---

<sup>1</sup> Felicity (ang.) szczęście

<sup>2</sup> Tiny (ang.) drobniutki, malutki.

niego, że Felicity ma bogate złoża metali ciężkich położone niezbyt głęboko i na stosunkowo niewielkim obszarze. Możliwe jest uruchomienie kopalni odkrywkowych, a z tego, co piszą wynika, że ruda uranowa jest dostatecznie bogata, by zasilać reaktory bez żadnej rafinacji.

- To niemożliwe - przerwała Meta. - W stanie wolnym ruda uranowa nie może być na tyle bogata, żeby...

- Zgoda-Jason podniósł obie ręce. - Trochę koloryzuję. Przyjmijmy po prostu, że ruda jest bogata. Ważniejsze, że mimo to John Company nie wraca na Felicity. Raz się mocno sparzyli, a jest przecież tyle planet, na których mogą kopać bez takiego wysiłku... - przerwał na chwilę - bez konieczności stawiania czoła jeżdżącym na smokach barbarzyńcom, którzy wyrastają jak spod ziemi i atakują, niszcząc wszystko na swojej drodze.

- Co miało znaczyć to ostatnie zdanie? - zapytał Kerk.

- Dobrze zgadujesz. Ci, co przeżyli, właśnie w ten sposób opisują tę masakrę. Jedno wiemy na pewno - że zaatakowali ich jacyś jeźdźcy i wycięli w pień.

- I na tę planetę chcesz nas wysłać? - Kerk nie miał zachwyconej miny. - Nie brzmi to zachęcająco. Możemy zostać tutaj i pracować we własnych kopalniach.

- Robicie to od wieków. Niektóre szyby mają już po pięć kilometrów, a wydobywana z nich ruda jest zaledwie drugiego gatunku. Ale nie w tym rzecz. Myślę raczej o tutejszych ludziach i o tym, co się z nimi stanie. Życie na tej planecie zmieniło ich nieodwracalnie. Pyrrusanie, którzy potrafili przystosować się do nowych warunków, już to zrobili, ale co z resztą? - Odpowiedziało mu przeciągające się milczenie. - Dobrze pytanie, prawda? I bardzo na czasie. Powiem wam, co się stanie z ludźmi z miasta. Tylko mnie nie zastrzelcie. Mam

nadzieję, że już wyrosliście z takich odruchów. Przynajmniej wy. Ale inni prawdopodobnie woleliby mnie zabić, niż usłyszeć prawdę. Nie chcą zrozumieć, że ta planeta już wydała na nich wyrok.

Rozległ się charakterystyczny dźwięk w chwili, gdy pistolet Mety wyskakiwał z automatycznej kabury. Po chwili wsunął się tam z powrotem. Jason uśmiechnął się do niej, grożąc palcem. Odwróciła się z godnością.

- To nieprawda - krzyknął Kerk. - Ludzie stale opuszczają miasto...

- I wracają mniej więcej w tej samej liczbie - przerwał mu Jason. - Argument nieprzekonywujący. Ci, którzy byli w stanie opuścić miasto, są tu znowu. Tylko najtwardszym się udało.

- Są inne rozwiązania - powiedział Brucco. - Możemy zbudować inne miasto...

Przerwał mu huk trzęsienia ziemi. Już od pewnego czasu czuli drżenia; było to normalne na Pyrrusie, więc nikt nie zwracał na nie uwagi. Ten wstrząs był jednak znacznie silniejszy. Budynek zachybotał, a jedna ze ścian pękła, obsypując ich cementowym pyłem. Postrzępiona rysa sięgnęła ramy okna, którego pancerna szyba pod wpływem naprężenia pękła i rozsypała na drobne kawałki. Jakby na zawołanie przez otwór wdarł się żądłopiór, rozrywając siatkę ochronną. Spłonął natychmiast, trafiony ogniem z pistoletów.

- Będę pilnował okna - powiedział Kerk, przesuwając się tak, aby mieć je w zasięgu wzroku. - Mów dalej.

Incydent, który przypomniał czym naprawdę było życie w tym mieście, wytrącił Brucca z równowagi. Zawahał się przez chwilę, po czym podjął dalej:

- Taak... O czym to ja mówiłem?... Aha! Są przecież inne rozwiązania. Można zbudować

drugie miasto, daleko stąd, może na terenie jednej z kopalń. Tylko tutaj jest tak niebezpiecznie. Możemy przecież opuścić to miejsce i...

- I wszystko zacznie się od nowa. Nienawiść tkwiąca w Pyrrusanach stworzy tę samą sytuację. Wiecie to lepiej ode mnie. Nie sądzisz Brucco, że właśnie tak będzie? - spytał Jason. Brucco niechętnie przytaknął. - Już to kiedyś przerabialiśmy. Istnieje tylko jedno rozwiązanie. Musimy zabrać ludzi z Pyrrusa. Gdzieś, gdzie będą mogli żyć bez tej nieustannej, bezsensownej wojny. KAŻDE miejsce będzie lepsze niż Pyrrus. Wy tak tutaj wrosliście, że już nie dostrzegacie, jakim piekłem jest w rzeczywistości ta planeta. Wiem, że jest dla was wszystkim i że nauczyliście się tutaj żyć, ale to za mało. Udowodniłem wam, że wszystkie tutejsze formy życia mają wysoko rozwinięte zdolności telepatyczne i że to wasza nienawiść zmusza je do walki przeciwko wam. Mutując i zmieniając się, stają się coraz bardziej podstępne i śmiercionośne. Zgodziliście się z tym, ale to nie zmienia sytuacji. Wciąż jest dość nienawiści, by podtrzymać tę wojnę. O Boże, ale z was osły! Gdybym miał choć trochę oleju w głowie, powinienem być już daleko stąd i zostawić was waszemu cholernemu przeznaczeniu. Ale staliście mi się bliscy. Czy mi się to podoba, czy nie. Ratowaliście mi życie, ja ratowałem wam i nasza przyszłość biegnie teraz wspólnym torem. A poza tym, podobają mi się tutejsze dziewczęta. - Meta prychnęła, przerywając chwilową ciszę. - No, ale żarty na bok; mamy problem. Jeśli wasi ludzie tu zostaną, to zginą. Na pewno. Aby ich ocalić, musicie zabrać wszystkich do jakiegoś bardziej przyjaznego świata. Niełatwo znaleźć planetę nadającą się do zamieszkania, która posiadałaby bogactwa naturalne. Ja ją znalazłem. Mogą oczywiście wystąpić pewne



nieporozumienia z tubylcami, ale dla Pyrrusan jest to chyba argument „za”. Transport i sprzęt są w drodze. Kto się zgadza?

Kerk, teraz ty.

Kerk łypnął groźnie na Jasona i z niesmakiem zacisnął usta.

- Zawsze namawiasz mnie na coś na co zupełnie nie mam ochoty.

- To dowód dojrzałości - Jason uśmiechnął się ironicznie. - Tryumf ego nad id. Czy to znaczy, że pomożesz?

- Owszem. Nie chcę lecieć na inną planetę i sam projekt nie budzi mego entuzjazmu, jednak nie widzę innego wyjścia.

- Dobrze, a ty Brucco? Będziemy potrzebowali chirurga.

- Poszukajcie innego. Teca, mój asystent, powinien sobie poradzić. Moim badaniom nad formami życia na Pyrrusie daleko do końca. Zostanę w mieście tak długo, dopóki będzie istniało.

- To może cię kosztować życie.

- Prawdopodobnie, ale moje obserwacje i zapiski będą niezniszczalne.

Nikt nie wątpił, że mówił szczerze i nikt nie próbował zaprzeczać. Jason zwrócił się do Mety:

- Będziesz potrzebna jako pilot, gdy odejdzie załoga transportująca.

- Jestem potrzebna na Pyrrusie do obsługi naszego statku.

- Są inni piloci. Sama ich przecież wyszkoliłaś. Jeśli zostaniesz, będę musiał poszukać innej.

- Zabiję ją, jeśli to zrobisz! Dobrze, będę pilotować twój statek.

Jason uśmiechnął się i posłał jej całusa. Udała, że tego nie widzi.

- To już coś - stwierdził. - Brucco zostaje i sędzę, że Rhes również, by nadzorować osiedlanie się Pyrrusan z miasta między jego ludzi.

- Mylisz się. Teraz osiedlaniem kieruje komitet i wszystko idzie tak gładko, jak tylko można by było sobie życzyć. Nie mam zamiaru przez resztę życia tutaj zostać... jak to się nazywało? ... jako karczownik. Ta nowa planeta wygląda interesująco i mam wielką ochotę na eksperyment.

- To najlepsza wiadomość, jaką dziś usłyszałem. A teraz wróćmy do faktów. Statek wylądował tu za około dwa tygodnie, więc jeśli teraz wszystko dogramy, to powinniśmy być gotowi i wystartować wkrótce po jego przybyciu. Napiszę, by dla dobra sprawy zabrano jak najwięcej ładunku, a wy zajmijcie się resztą. Zwerbujcie ochotników. W mieście zostało około dwadzieścia tysięcy ludzi, ale na statku nie zmieścimy więcej niż dwa tysiące. To stary, wysłużony wojskowy transportowiec. Pochodzi z demobilu z czasów wojen na obwodzie. Nazywa się „Waleczny”. Wybierzemy najlepszych, założymy osadę i wrócimy po resztę. Do roboty!

- Stu sześćdziesięciu ośmiu ochotników, łącznie z Grifem - dziewięcioletnim chłopcem! Z tylu tysięcy! To po prostu niemożliwe! - Jason był załamany, choć nikt z pozostałych nie wyglądał na szczególnie zadziwionego.

- Na Pyrrusie - owszem - stwierdził Kerk.

- Tak, na Pyrrusie i tylko na Pyrrusie - odrzekł cierpko Jason. - Jeśli chodzi o niespotykany refleks i zadziwiająca głupotę, to rzeczywiście ta planeta bije wszelkie rekordy. "Tu się urodziłem. Tu zostanę. Tu umrę." Uff. - Odwrócił się z palcem wycelowanym w Kerka. - Dobrze, nie będziemy się teraz o nich martwić. Ocalimy ich nie pytając o zgodę. Zabierzemy na Felicity tych 168 ochotników, oczyścimy z grubsza planetę i otworzymy kopalnię. Potem wrócimy po resztę. Tak właśnie zrobimy.

Po wyjściu Kerka, Jason osunął się na krzesło.

- Mam nadzieję - mruknął.

## Rozdział III

Z komory powietrznej dochodził przytłumiony odgłos; zgrzytu metalu. To mechanicy stacji transferowej mocowali! elastyczny rękaw komunikacyjny do kadłuba statku. Sygnał interkomu rozległ się w chwili, gdy podłączono sieć rakiety do zewnętrznego systemu łączności.

- Stacja transportowa 70 Ophiuchi do "Walecznego". Rękaw uszczelniony, ciśnienie wyrównane. Możecie otwierać.

- Gotów do otwarcia - powiedział Jason, zdejmując blokadę komory powietrznej.

- Jak dobrze być znów na ziemi - stwierdził jeden z członków załogi transportującej, wchodząc do służby. Reszta parsknęła śmiechem, jakby powiedział coś zabawnego. Śmieli się wszyscy, oprócz nachmurzonego pilota, który z nienaturalnie wygiętą ręką stał przy wyjściu. Żaden z nich nic nie mówił ani nie spojrzał w jego kierunku, ale on dobrze wiedział, z czego się śmieją.

Jason wcale mu nie współczuł. Meta zawsze lojalnie ostrzegała mężczyzn, którzy usiłowali ją podrywać. Być może w romantycznie przyćmionym świetle sterowni nie wziął jej słów na serio, więc... złamała mu rękę. Jason zachował kamienny wyraz twarzy, gdy mężczyzna mijał go, wchodząc do przejścia.

Rękaw, wykonany z przezroczystego plastyku, przypominał poskręcaną pępowinę. Łączył statek ze stacją transferową - masywnym, iskrzącym się światłami cielskiem, majaczącym nad nimi. Widać było jeszcze dwa takie rękawy, służące do komunikacji między statkami a portem kosmicznym. Kosmodrom zawieszony był na orbicie zerowego ciężenia, między dwoma, tworzącymi podwójny system, słońcami. Mniejsze

z nich, 70 Ophiuchi B - właśnie wschodziło nad stacją.

- Mamy tu przesyłkę dla "Walecznego" - powiedział urzędnik wynurzający się z otworu rękawa. - Ładunek czekał na wasze przybycie. - Otworzył książkę pokwitowań. - Podpiszecie?

Jason nabazgrał swoje nazwisko i odsunął się nieco, by przepuścić dwóch ludzi z obsługi przeładunkowej, taszczących maszyną pakę przez rękaw i służbę.

Właśnie próbował wsunąć ostry pręt pod taśmy zaciskowe, gdy weszła Meta.

- Co to jest? - zapytała, lekkim ruchem wyjmując mu z rąk narzędzie. Wcisnęła je głęboko pod taśmy i szarpnęła. Rozległ się trzask rozrywanego metalu.

- Jesteś dobrym materiałem na żonę - powiedział Jason, ocierając palce z kurzu - ale założę się, że z pozostałymi nie pójdziesz ci tak łatwo. - Pochylił się nad skrzynią. - To jest urządzenie, które może się nam bardzo przydać przy podboju planety. Żałuję, że nie miałem go, gdy po raz pierwszy przeleciałem na Pyrrusa. Mogło uratować wielu ludzi.

Meta odrzuciła wieko i spojrzała na jajowaty kształt.

- Co to - bomba?

- Nie, na Boga, to coś znacznie lepszego. - Przechylił pakę i jakiś przedmiot wytoczył się na podłogę. Było to prawie idealnie gładkie, błyszczące, metalowe jajo ponad metrowej wysokości. Jeździło na sześciu gumowych kołach, po trzy z każdej strony, a na czubku miało panel kontrolny, osłonięty przezroczystą pokrywą. Jason podniósł osłonę, nacisnął przycisk ON i na tablicy zapaliły się światełka.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

- To biblioteka - odpowiedział głuchy, metaliczny głos.

- Do czego może służyć ta zabawka? - spytała Meta, zbierając się do wyjścia.

- Zaraz ci wyjaśnię - odparł Jason, wyciągając rękę, by ją zatrzymać. - To urządzenie stanowi nasza inteligencję, oczywiście w sensie militarnym. Już zapomniałaś, ile nas kosztowało zdobycie informacji o historii waszej planety? Potrzebowaliśmy faktów na których moglibyśmy się oprzeć, a nie wiedzieliśmy nic. No, ale teraz jest inaczej - poklepał gładki bok biblioteki.

- Sądziś, że ta zabaweczka wie coś, co mogłoby nam pomóc?

- Ta zabaweczka, jak ją raczyłaś określić, kosztowała mnie ponad dziewięćset tysięcy kredytów, plus opłaty przewozowe.

- Dziewięćset tysięcy kredytów?! Przecież za tę sumę mógłbyś wystawić armię! Broń, amunicja...

- Wiedziałem, że zrobi na tobie wrażenie, ale czy do twojej, zresztą wyjątkowo ślicznej blond główki nie mogłoby w końcu dotrzeć, że armie to nie wszystko! Wkrótce zderzymy się z nową kulturą na innej planecie. Chcemy otworzyć kopalnię we właściwym miejscu. Czy twoja armia powie nam coś o mineralogii, antropologii, czy egzobiologii...?

- Wymyślasz teraz te słowa.

- Wolałbyś, żeby tak było. Myślę, że nie bardzo zdajesz sobie sprawę, jak wiele informacji wtłoczono w tę metalową obudowę.

- Biblioteko! - zwrócił się w kierunku jaja na kółkach. - Powiedz nam coś o sobie.

- Tu ulepszony model 427-1587. Mark IX, zbudowany w oparciu o technologię pakietów zintegrowanych, wyposażony w pamięć cyfrową o zapisie laserowym...

- Stop! - przerwał jej Jason. Biblioteko, czy nie mogłabyś mówić prościej?

- W porządku - wymamrotała biblioteka. - Macie tu państwo przed sobą najwspanialsze osiągnięcie bibliotekarstwa, model Mark IX...

- Włączyłem przycisk "reklama", ale przynajmniej możemy coś z tego zrozumieć.

- ... najnowsze osiągnięcie technologii zwanej "technologią pakietów zintegrowanych". Tak, przyjaciele, nie potrzebujecie dyplomatów galaktycznych, by zrozumieć, że Mark IX jest czymś niespotykanym we Wszechświecie. Wiecie, że każdy potrzebuje czegoś o czym, ale również - czym - mógłby myśleć: Mark IX posiada to "coś". Jego pamięć zawiera całą bibliotekę Uniwersytetu Haribay, liczącą więcej pozycji, niż bylibyście w stanie zliczyć przez całe życie. Książki podzielono na słowa, słowa na bity, bity zaś zostały zapisane w małych, krzemowych "chipach", stanowiących mózg Mark IX. Ta, zawierająca pamięć część mózgu nie jest większa od zaciśniętej pięści. Małej pięści - ponieważ na każde dziesięć milimetrów powierzchni przypada pięćset czterdzieści pięć milimetrów bitów. Nie musicie nawet wiedzieć, co to słowo oznacza, aby przyznać, że nasze osiągnięcie jest imponujące. W tym mózgu mieści się cała historia, nauka i filozofia, również językoznawstwo. Jeśli chcielibyście poznać znaczenie słowa "ser" w podstawowych językach galaktycznych, to brzmiałoby to tak: ...

Z głośnika z dużą szybkością popłynęły jakieś sylaby. Jason odwrócił się i zobaczył, że Meta odeszła.

- Ona potrafi również inne rzeczy, nie tylko tłumaczyć słowo "ser" - powiedział, naciskając wyłącznik. - Poczekaj i zobacz.

W czasie podróży na Felicity Pyrrusanie byli najzupełniej szczęśliwi, mogąc do woli ziewać, spać i próżnować, jak tygrysy z pełnymi brzuchami. Tylko Jason odczuwał potrzebę efektywnego wykorzystania wolnego czasu. Przeglądał wszystkie możliwe katalogi biblioteki w poszukiwaniu informacji na temat planety oraz jej systemu słonecznego, Tylko Meta i jej namiętne uściski były w stanie go od tego oderwać. Dziewczyna uznała, że

istnieją znacznie ciekawsze formy spędzania wolnego czasu niż praca, a Jason nie mógł się z nią nie zgodzić.

W przeddzień lądowania na Felicity, Jason zwołał ogólne zebranie.

- To jest miejsce, do którego zmierzamy - powiedział, podchodząc do wielkiej mapy, wiszącej na ścianie. Na sali panowała całkowita cisza. Wszyscy byli skupieni i poważni.

- Felicity stanowi piątą planetę w układzie bezimiennej gwiazdy F 1. Jest to słońce o luminacji mniej więcej dwukrotnie przekraczającej luminację G2 Pyrrusa. Emituje również dwa razy więcej ultrafioletu. Możecie się więc spodziewać pięknej opalenizny. Dziewięć dziesiątych powierzchni planety pokrywa woda. Jest tam kilka archipelagów wulkanicznych wysp i tylko jeden masyw lądowy na tyle duży, by można go było nazwać kontynentem. O, to ten. Jak widzicie, przypomina trochę sztylet skierowany ostrzem w dół, pośrodku przedzielony wałem. To ta linia. W rzeczywistości jest to ogromny uskok tektoniczny - strome urwisko skalne - o wysokości od trzech do dziesięciu kilometrów, przecinające cały kontynent. Klif oraz znajdujący się za nim łańcuch górski mają decydujący wpływ na klimat. Felicity ma znacznie wyższą temperaturę niż większość zamieszkałych planet-na równiku sięga ona 100° C. Jedynie umiejscowienie kontynentu w pobliżu bieguna północnego powoduje, że życie tu jest możliwe. Wilgotne, ciepłe powietrze przemieszcza się w kierunku północnym, odbija się od łańcucha gór i skrapla na ich południowych stokach. Z gór w kierunku południowym spływa kilka dużych rzek. Tam też widziano ślady osad ludzkich i pól uprawnych, ale John Company nie była tym zainteresowana. Na tym obszarze igły magnetometrów i grawimetrów nawet nie drgnęły. Tutaj natomiast

- wskazał palcem północną połowę kontynentu - detektory dosłownie oszalały. Górotwór, który wypiętrzył północną część ładu i utworzył pośrodku ten łańcuch górski, poruszył również złoża metali ciężkich. W tym właśnie miejscu, pośród najbardziej opustoszałych terenów o jakich słyszałem, będziemy musieli założyć kopalnię. Nie ma tam prawie wody, gdyż zatrzymuje ją łańcuch górski, a to, co zdoła się przedostać, opada w postaci śniegu. Jednym zdaniem, klimat jest chłodny, suchy i zabójczy. I nigdy się nie zmienia. Nachylenie osi Felicity jest na tyle nieznaczące, że następstwa pór roku są praktycznie niezauważalne. Pogoda w każdym punkcie ładu przez cały rok pozostaje taka sama. Aby zakończyć ten wspaniały obraz dodam jeszcze, że mieszkają tam ludzie równie lub nawet bardziej niebezpieczni, niż wszelkie znane formy życia na Pyrrusie. Naszym zadaniem będzie osiedlenie się w samym środku ich terytorium, wybudowanie wioski oraz uruchomienie kopalni. Czy macie pomysł jak to zrobić?

- Ja wiem - odezwał się Clon, wstając powoli. Był to ciężki, niezdarny mężczyzna o wyglądzie neandertalczyka. Miał tak masywne łuki brwiowe, że dla równowagi pozostałe kości czaszki musiały być równie potężne. Na mózg pozostawało więc bardzo niewiele miejsca. Posiadał wspaniały refleks, ale myśli kłębiące się w jego czaszce wydostały się na zewnątrz z wielkim wysiłkiem. Był ostatnią osobą, od której Jason oczekiwał odpowiedzi.

- Ja wiem - powtórzył. - Zabijemy ich wszystkich. Nie będą nam wtedy przeszkadzać.

- Dzięki za propozycję - powiedział Jason spokojnie.

- Krzesło masz z tyłu. Widzę, że chcesz tu wprowadzać takie same metody jak na Pyrrusie, mimo iż tam nie zdały egzaminu. Pomysł wygląda atrakcyjnie, ale nie możemy sobie pozwolić na



ludobójstwo. Powinniśmy używać nie zębów, lecz inteligencji. Przecież chcemy ten świat otworzyć, a nie zamknąć. Ja proponuję zbudować obóz - przeciwieństwo zmilitaryzowanego fortu John Company. Myślę, że zachowując ostrożność i uważnie obserwując okolicę, nie powinniśmy dać się zaskoczyć. Mam nadzieję, że uda nam się nawiązać kontakt z tubylcami, dowiedzieć się, co mają przeciwko górnikom i spróbować zmienić ich nastawienie. Jeśli ktoś ma lepszy plan działania, proszę go teraz przedstawić. W przeciwnym przypadku ładujemy możliwie najbliżej poprzedniego obozu i czekamy na kontakt. Musimy mieć oczy szeroko otwarte. Pamiętajcie, co się przydarzyło pierwszej ekspedycji? Zachowamy szczególną ostrożność.

Odnalezienie starej kopalni nie było trudne. Rok powolnej wegetacji nie wystarczył, by nędzna roślinność zasłoniła wypaloną przestrzeń.

Magnetometr wyraźnie wskazał miejsce, gdzie pozostawiono ciężki sprzęt. „Waleczny” wyładował w pobliżu. Z góry bezkresny step wydawał się zupełnie bezludny; wrażenie to potęgowało się na dole. Jason stał w otwartej śluzie i drżał w podmuchach suchego, mroźnego powietrza. Słyszał tylko cichy szelest trawy. Chciał być na zewnątrz pierwszy, ale zderzył się z Rhesem, a Kerk, korzystając z zamieszania, prześlizgnął się obok nich i zeskoczył na ziemię.

- Jaka słaba grawitacja - powiedział, rozglądając się niespokojnie. - Nie ma więcej niż jeden G. Po Pyrrusie czuję się, jakbym fruwał.

- Raczej półtora - stwierdził Jason, wychodząc za nim ostrożnie.

- Ale to i tak lepiej niż w domu.

Ze statku wynurzyła się pierwsza grupa - dziesięciu mężczyzn. Starannie lustrowali okolicę. Trzymali się na tyle blisko, aby się

słyszeć, lecz jednocześnie nie zasłaniać nawzajem widoczności. Szli wolno, z pistoletami w kaburach, niewrażliwi na mroźny wiatr i zacinający piasek, który u Jasona wywołał łzawienie oczu i podrażnienie skóry. Na swój pyrrusański sposób robili wrażenie zadowolonych po tak długiej i nudnej podróży.

- Coś się rusza dwieście metrów na południowy zachód! - usłyszeli głos Mety w słuchawkach. Była jedynym z obserwatorów, stojących przy iluminatorach wewnątrz statku.

Odwrócili się w tamtym kierunku, gotowi na odparcie ataku. Pofałdowana równina wciąż wyglądała na pustą, ale świst strzały skierowanej w pierś Kerka dowodził, że było to tylko złudzenie. Pyrrusanin zestrzelił ją tak pewnie i spokojnie, jakby likwidował atakującego żądłopióra. Rhes uskoczył na bok przed następną strzałą, tak że chybiła celu. Czekali w napięciu, co będzie dalej.

"Atak - zastanawiał się Jason - czy tylko zwiad? To przecież niemożliwe, by tak szybko po naszym przybyciu mogli się zorganizować. Chociaż, dlaczego nie?" Zaczął rozglądać się po okolicy, gdy nagle poczuł ostry ból w głowie. Otoczyła go ciemność. Nie czuł nawet, jak pada.

## Rozdział IV

Jason czuł się okropnie. Głowę rozsadzał mu tępy, dręczący ból. Resztą świadomości czuł, że gdyby tylko mógł się obudzić, potrafiłby temu zaradzić. Z jakiegoś powodu, którego nie mógł pojąć, jego głowa kołysała się nieznośnie na boki. Spróbował poruszyć rękoma. Wyczuł pomiędzy ramieniem a bokiem obły kształt automatycznej kabury, ale pistolet nie wskoczył mu do dłoni. Zorientował się dlaczego, gdy jego błędzące palce natrafiły na postrzępioną końcówkę kabla, który łączył broń z kaburą.

Urywki myśli tłukły się po jego odrętwiałej głowie, szukając wyjaśnienia tego, co się z nim stało. Ktoś... nie, coś. Coś go uderzyło. Odebrało mu broń. Co jeszcze? Dlaczego nic nie

widzi? Co jeszcze zniknęło? Z pewnością pas. Palcami niezdarnie obmacywał biodra, ale nie mógł go znaleźć. Nagle na coś natrafił. Medpakiet, przechowywany w osobnym uchwycie, nadal pozostawał na swoim miejscu. Ostrożnie, tak by nie dotknąć przycisku zwalniającego - jeśli mu się wyślizgnie, przepadnie - przesunął urządzenie w górę, aż czujnik uruchamiający dotknął jego ciała. Jakby z oddalenia usłyszał brzęczenie analizatora, a dręczący ból, który rozsadzał mu głowę, sprawiał, że nawet nie poczuł ukłucia igieł. Gdy lek zaczął działać, ból nieco zelżał. Teraz Jason postanowił zająć się swymi oczyma. Nie mógł ich otworzyć; coś mu w tym przeszkadzało. To mogła być krew, zważywszy stan jego głowy. Uśmiechnął się.

"Skoncentruj się na jednym oku - mówił do siebie w myślach. - Skoncentruj się na prawym oku. Zaciśnij mocno, aż do bólu, a potem szybko otwórz..."

Udało się. Łzy popłynęły mu po policzkach, ale wreszcie poczuł, że powieki zaczęły się rozwierać.

Oślepiające, białe słońce świeciło mu prosto w oczy. Musiał je zmrużyć i odwrócić głowę. Jechał na czymś skrzypiącym i trzeszczącym, a przy jego twarzy majaczyło coś, co przypominało kratę. Słońce dotknęło horyzontu. To ważne, powtarzał sobie, ważne, by zapamiętać, że dotknęło horyzontu dokładnie za nim, no, może troszeczkę na prawo. Leki z medpakietu i szok mąciły mu jasność umysłu. Jeszcze raz. Zachód. Z tyłu. Na prawo.

Kiedy ostatni biały promień zniknął za horyzontem, Jason zamknął udręczone oczy i, tym razem z ulgą, zapadł w nicość.

Obudziły go jakieś niezrozumiałe wrzaski. Jason poczuł ostry ból w boku. Odsunął się trochę i usiłował wstać. Coś ostrego kłuło go w plecy. Znowu upadł. "Pora otworzyć oczy" - zdecydował. Przetarł sklezione powieki i udało

mu się je wreszcie rozewrzeć. Jedno spojrzenie przekonało go, że lepiej, gdyby z tego zrezygnował. Było już jednak za późno.

Głos należał do wielkiego, krzepkiego mężczyzny, dzierzącego dwumetrową lancę, którą poszturchiwał Jasona w żebra. Kiedy zobaczył, że ma on otwarte oczy, oparł się o włócznię, uważnie obserwując jeńca. Jason zrozumiał swoje położenie gdy stwierdził, że znajduje się w klatce z żelaznych sztab. Była tak niska, że gdy siedział, prawie dotykał głową jej wierzchołka. Wychylił się przez pręty i uważnie obejrzał prześladowcę.

Był to niewątpliwie wojownik. Arogancja i pewność siebie były z całej jego postaci, od szczerzącej zęby czaszki zwierzęcej na jego hełmie, po ostrogi przy obcasach wysokich do kolan butów. Tors okrywał mu napierśnik, wykonany najwyraźniej z tego samego materiału, co hełm. Pomalowany był w jaskrawy wzór, przedstawiający postać jakiegoś nieokreślonego zwierzęcia. Oprócz lancy, mężczyzna miał krótki miecz, zawieszony u pasa na zwykłym rzemieniu, bez żadnej pochwy. Jego opalona skóra, ogorzała od wiatry świeciła się, namaszczona jakąś oleistą substancją. Jason, stojąc pod wiatr, czuł silny, zwierzęcy odór niemytego dąb.

Wojownik znowu zaczął coś krzyczeć w kierunku jeńca, potrząsając lancą.

- Co się tak wydzierasz, głupku? I tak cię nie rozumiem - odkrzyknął Jason.

- Kyrdy du brydyk! - odpowiedział przenikliwy głos.

- Nawet się nie wysilaj, ośle - rzucił Jason. Mężczyzna chrząknął i splunął w kierunku uwięzionego.

- Kłaniać się ty - powiedział - ty znać język "pomiędzy"?

Łamana i kaleka odmiana angielskiego była tu prawdopodobnie uważana jako rodzaj drugiego języka. "Myślę, że nigdy się nie dowiemy, kto

pierwotnie osiedlił się na tej planecie, ale jedno jest pewne: mówił po angielsku - myślał Jason. - Podczas Awarii, kiedy łączność między planetami została zerwana, ten świat musiał popaść we wtórne barbarzyństwo i wykształcić szereg lokalnych dialektów. Ale, chociaż ubogi, angielski pozostał w ich pamięci i służy do porozumiewania między plemionami. Aby być zrozumianym, wystarczy po prostu mówić niepoprawnie".

- Co ty mówisz? - warknął wojownik, nie rozumiejąc mamrotania jeńca.

Jason uderzył się w pierś.

- Oczywiście, ja mówić język „pomiędzy” tak dobrze, jak ty mówić język „pomiędzy”.

To najwidoczniej usatysfakcjonowało wojownika, gdyż odwrócił się i odszedł, torując sobie drogę przez tłum. Teraz dopiero Jason mógł dokładniej przyjrzeć się przechodzącym ludziom. Widział wyłącznie mężczyzn - wojowników. Ich odzież była wariacją na jeden temat: wysokie buty, miecze, półpancerze i hełmy. Stroju dopełniały włócznie i krótkie łuki na których wymalowane były jakieś barwne, zapewne magiczne, znaki. Za nimi wznosiły się okrągłe, żółto-szare budowle, kolorem zlewające się z lichą trawą. Naraz w tłumie nastąpiło jakieś poruszenie. Wojownicy rozstąpili się, tworząc przejście dla nadchodzącej rozkołysanym krokiem bestii z jeźdźcem na grzbiecie. Jason poznał zwierzę z opowiadań tych, którzy przeżyli masakrę. Pod wieloma względami przypominało ono konia, było jednak dwa razy większe i pokryte włochatym futrem. Głowa stwora, podobna do końskiej, była nieproporcjonalnie mała i osadzona na stosunkowo długiej szyi. Przednie nogi, zdecydowanie dłuższe od tylnych, powodowały, że grzbiet opadał ku tyłowi. Silne, grube łapy miały ostre pazury, które ryły ziemię, znacząc drogę.

Ciszę przerwał chrapliwy dźwięk rogu. Jason odwrócił się i zobaczył zwartą grupę mężczyzn, zmierzających szybko w stronę klatki. Drogię torowało trzech żołnierzy z opuszczonymi włóczniami. Z tyłu jechał czwarty, wymachując zatkniętym na drągu proporcem. Idący za nimi wojownicy z obnażonymi mieczami, otaczali dwie postacie. Jedną z nich był ów właściciel lancy, który tak delikatnie przywracał Jasona do życia. Drugi, o głowę wyższy od innych, miał wysadzany drogimi kamieniami napierśnik i złoty hełm ozdobiony parą rogów. Posiadał jeszcze coś, co Jason dostrzegł dopiero, gdy mężczyzna zbliżył się do klatki: spojrzenie jastrzębia, drapieżnika, pewnego siebie na swych włościach. Był wodzem i dobrze o tym wiedział. Przyjmował to jako rzecz oczywistą. On - wojownik, wódz wojowników.

Prawą ręką wspierał się na rękojeści bogato zdobionego miecza, lewą, poznaczoną bliznami, podkręcał sumiastego wasa. Zatrzymał się przy klatce, patrząc władczo na Jasona, który bezskutecznie próbował odwzajemnić to spojrzenie.

Skulona pozycja i żałosny wygląd nie dodawały mu godności.

- Padnij przed Temuchinem - rozkazał jeden z żołnierzy trącając Jasona drzewcem lancy. Może byłoby lepiej, gdyby się ukorzył, ale Jason zgięty wpół, uparcie trzymał podniesioną głowę, wpatrując się w tamtego.

- Skąd jesteś? - Temuchin zapytał głosem tak nawykłym do wydawania rozkazów, że Jason odpowiedział natychmiast.

- Z daleka; z miejsca, którego nie znasz.

- Z innego świata?

- Tak. Skąd wiesz, że istnieją inne światy?

- Jedynie z pieśni minstreli. Do czasu przybycia pierwszego statku nie sądziłem, że mówią prawdę. Teraz widzę, a mieli rację.

Pstryknął palcami i jeden z żołnierzy podał mu szerniałą, pogiętą strzelbę.

- Czy możesz sprawić, by to znów zabijało? - zapytał.

- Nie. - Broń musiała należeć do pierwszej ekspedycji

- A to? - Temuchin podniósł pistolet Jasona, z którego smętnie zwisały kable zasilające.

- Nie wiem. - Jason był równie spokojny jak jego prześladowca. - Musiałbym przyjrzeć mu się z bliska.

- Ten również spalicie. - Temuchin odrzucił pistolet, - Ich broń trzeba niszczyć ogniem. Powiedz mi teraz, cudzoziemcze, po co tu przybyliście.

„Byłby niezłym pokerzystą - pomyślał Jason - nie mogę zajrzeć mu w karty, a on zna moje. Co mam odpowiedzieć? Może prawdę... Właściwie, czemu nie?”

- Moi ludzie chcą zabrać metal z ziemi - powiedział głośno. - Nikogo nie skrzywdzimy, zapłacimy nawet.

- Nie - zabrzmiało kategorycznie i nieodwołalnie. Temuchin odwrócił się.

- Zaczekaj, jeszcze nie słyszałeś wszystkiego!

- I tak za wiele - rzucił przez ramię. - Będziecie kopać, wstana budynki, z nich wyrosnie miasto, będą ogrodzenia. Równiny. muszą pozostać otwarte. - Po czym dodał tym samym, stanowczym tonem: - Zabić go!

Gdy gromada mężczyzn odwróciła się, podążając za swym wodzem, żołnierz niosący sztandar znalazł się blisko klatki. Na szczycie drzewca zatknięta była ludzka czaszka, a sama chorągiew zrobiona była z ludzkich kciuków, wysuszonych i zmumifikowanych.

- Stójcie! - krzyknął za nimi. - Dajcie wytłumaczyć! Nie możecie tak po prostu... Oczywiście mogli. Oddział żołnierzy otoczył klatkę. Jeden z nich wczołgał się pod spód. Rozległ się brzęk łańcuchów i klatka zakołysała się na skrzypiących zawiasach. Próbowali wyciągnąć Jasona, ale ten skuliwszy się, wczepił w pręty.



Naraz skoczył; kopnął w twarz jednego przeciwnika i runął na stojących z tyłu. Wynik walki był z góry przesadzony, ale postanowił drogo sprzedać swe życie. Jeden z żołnierzy leżał powalony, drugi siedział, trzymając się za głowę. Jednak reszta w końcu go obezwładniła i powlokła za sobą.

Jason kłął w sześciu różnych językach, ale robiło to na nich równie niewielkie wrażenie, jak i jego ciosy.

- Jak daleko leciałeś, by dotrzeć na naszą planetę? - zapytał ktoś.

- "Ekmortu" - wymamrotał Jason, wypluwając krew i kawałek zęba.

- Jaki jest twój świat? Podobny do tego? Ciepleszy, czy chłodniejszy?

Jason, niesiony twarzą w dół, odwrócił głowę, by spojrzeć napylającego. Był nim siwowłosego mężczyzna odziany w skórzane łachmany, które kiedyś musiały być żółto-zielone. Za Skulona pozycja i żałosny wygląd nie dodawały mu godności.

- Padnij przed Temuchinem - rozkazał jeden z żołnierzy, tracając Jasona drzewcem lancy. Może byłoby lepiej, gdyby się ukorzył, ale Jason zgięty w pół, uparcie trzymał podniesioną głowę, wpatrując się w tamtego.

- Skąd jesteś? - Temuchin zapytał głosem tak nawykłym do wydawania rozkazów, że Jason odpowiedział natychmiast.

- Z daleka; z miejsca, którego nie znasz.

- Z innego świata?

- Tak. Skąd wiesz, że istnieją inne światy?

- Jedynie z pieśni minstreli. Do czasu przybycia pierwszego statku nie sądziłem, że mówią prawdę. Teraz widzę, że mieli rację.

Pstryknął palcami i jeden z żołnierzy podał mu szerniała, pogiętą strzelbę.

- Czy możesz sprawić, by to znów zabijało? - zapytał.

- Nie. - Broń musiała należeć do pierwszej ekspedycji.

- A to? - Temuchin podniósł pistolet Jasona, z którego smętnie zwisały kable zasilające.

- Nie wiem. - Jason był równie spokojny jak jego prześladowca. - Musiałbym przyjrzeć mu się z bliska.

- Ten również spalicie. - Temuchin odrzucił pistolet. - Ich broń trzeba niszczyć ogniem. Powiedz mi teraz, cudzoziemcze, po co tu przybyliście.

"Byłby niezłym pokerzystą - pomyślał Jason - nie mogę zajrzeć mu w karty, a on zna moje. Co mam odpowiedzieć? Może prawdę... Właściwie, czemu nie? "

- Moi ludzie chcą zabrać metal z ziemi - powiedział głośno. - Nikogo nie skrzywdzimy, zapłacimy nawet.

- Nie - zabrzmiało kategorycznie i nieodwołalnie. Temuchin odwrócił się.

- Zaczekaj, jeszcze nie słyszałeś wszystkiego!

- I tak za wiele - rzucił przez ramię. - Będziecie kopać, powstaną budynki, z nich wyrosnie miasto, będą ogrodzenia. Równiny muszą pozostać otwarte. - Po czym dodał tym samym, stanowczym tonem: - Zabić go!

Gdy gromada mężczyzn odwróciła się, podążając za swym wodzem, żołnierz niosący sztandar znalazł się blisko klatki. Na szczycie drzewca zatknięta była ludzka czaszka, a sama chorągiew zrobiona była z ludzkich kciuków, wysuszonych i zmumifikowanych.

- Stójcie! - krzyknął za nimi. - Dajcie wytłumaczyć! Nie możecie tak po prostu... Oczywiście mogli. Oddział żołnierzy otoczył klatkę. Jeden z nich wczołgał się pod spód. Rozległ się brzęk łańcuchów i klatka zakołysała się na skrzypiących zawiasach. Próbowali wyciągnąć Jasona, ale ten skuliwszy się, wczepił w pręty.

Naraz skoczył; kopnął w twarz jednego przeciwnika i runął na stojących z tyłu. Wynik walki był z góry przesądzony, ale postanowił drogo sprzedać swe życie. Jeden z żołnierzy

leżał powalony, drugi siedział, trzymając się za głowę. Jednak reszta w końcu go obezwładniła i powlokła za sobą.

Jason kłął w sześciu różnych językach, ale robiło to na nich równie niewielkie wrażenie, jak i jego ciosy.

- Jak daleko leciałeś, by dotrzeć na naszą planetę? - zapytał ktoś.

- "Ekmortu" - wymamrotał Jason, wypluwając krew i kawałek zęba.

- Jaki jest twój świat? Podobny do tego? Ciepleszy, czy chłodniejszy?

Jason, niesiony twarzą w dół, odwrócił głowę, by spojrzeć na pytającego. Był nim siwowłosa mężczyzna odziany w skórzane łachmany, które kiedyś musiały być żółto-zielone. Za nim włókł się wysoki chłopak o zaspanych oczach, ubrany w podobny strój.

- Wiesz tak dużo - błagał stary - musisz mi coś powiedzieć.

Żołnierze odepchnęli ich, zanim Jason zdołał powiedzieć parę dosadnych słów, które przychodziły mu na myśl.

Trzymało go tyłu ludzi, że był zupełnie bezbronny. Postawili go przy grubym, żelaznym palu wkopanym mocno w ziemię i zaczęli zdzierać z niego ubranie. Kamizelka ochronna i sprzączki stawiały opór, więc jeden z nich wy dobył sztylet i przeciął materiał, nie zwracając uwagi, że zadaje mu rany. Obnażony do pasa, zakrwawiony, Jason ledwie trzymał się na nogach. Pchnięto go na ziemię i rzemieniem związane nadgarstki. Potem żołnierze odeszli.

Pomimo wczesnego popołudnia było bardzo zimno. Odarty z ciepłego ubrania drżał z chłodu, ale szok termiczny szybko przywrócił mu pełną świadomość. Wiedział, co teraz nastąpi. Rzemień krępujący jego nadgarstki o długości około trzech metrów był drugim końcem przymocowany do wierzchołka pala. Jason stał sam, pośrodku pustego placu.

Wokół trwała gorączkowa krzątanina. Ludzie siodłali swe garbate bestie. Pierwszy, który był gotów, wydał przenikliwy okrzyk i natarił na Jasona z pochyłoną lanca.

Bestia, szybka jak błyskawica, pędziła naprzód, drąc pazurami ziemię.

Jason wykonał jedyny możliwy w tej sytuacji manewr - przeskoczył na drugą stronę pala. Mężczyzna dźgnął lanca, ale przejeżdżając obok pala musiał ją cofnąć.

Tylko intuicja ocaliła Jasona, gdyż odgłos drugiej atakującej bestii zupełnie utonął w grzmocie pierwszej szarży. Rzucił się w kierunku pala, znów unikając ciosu. Ostrze zadźwięczało o metal.

Pierwszy jeździec zawracał wierzchowca, gdy Jason dostrzegł, że trzeci osiodłał już swoją bestię i stał gotów do ataku. Ta zabawa mogła mieć tylko jeden koniec; nie mógł tak przecież wywijać bez końca. "Pora wyrównać szansę"

- pomyślał, schylając się po bagnet ukryty za cholewą. Na szczęście wciąż się tam znajdował. Trzeci jeździec rozpoczął szarżę. Jason podrzucił nóż w górę, chwycił zębami i zaczął przecinać więzy. Udało się!

Przyczaił się za palem, a gdy napastnik go mijiał - zaatakował. Przerzucił nóż do lewej ręki, prawą próbując chwycić wojownika za nogę i ściągnąć na ziemię. Zwierzę pędziło jednak zbyt szybko i trafił w jego bok, tuż za siodłem. Wczepił się palcami w zmierzwione futro.

Potem wszystko rozegrało się błyskawicznie. Kiedy jeździec odwrócił się w siodło, próbując go strącić, Jason zatopił swój nóż w zadzie zwierzęcia.

Ostrogi używane przez wojowników uodporniły już wierzchowce na takie bodźce, szczególnie w okolicy żeber. Jednak miejsce, w które trafił Jason - nieco poniżej ogona - miało zupełnie inną wrażliwość. Ciałem zwierzęcia wstrząsnął

nagły dreszcz. Rzuciło się do przodu, jakby w jego wnętrzościach zwolniono jakąś sprężynę. Jeździec stracił równowagę i wypadł z siodła. Jason jedną ręką wczepiony był w futro zwierzęcia, drugą - coraz głębiej wbijał sztylet. Wytrzymał pierwszy skok, drugi... Wszystko: zwierzęta, ludzie migało mu przed oczami z oszałamiającą szybkością. Trzeci skok... To okazało się już ponad jego siły, wyleciał w powietrze jak z procy.

Uderzając o ziemię wywinął kilka kozłów. Zorientował się, że wylądował pomiędzy dwoma namiotami, zerwał się natychmiast i popędził przed siebie uliczką rozdzielającą luźno porozrzucane wigwamy, służące za mieszkania. Znajdował się na prostej, szerokiej drodze. Myśl o włóczęgach, mogących lada chwila utknąć w jego plecach, kazała mu skrócić w prawo, tuż za pierwszym zakrętem. Krzyki dochodzące z tyłu ostrzegały przed pogonią. Na razie miał przewagę, zastanawiał się jednak, jak długo zdoła ją utrzymać.

W jednym ze stojących przed nim domów podniosła się skórzana derka zasłaniająca wejście i w otworze ukazał się siwowłosy mężczyzna - ten sam, który poprzednio nagabywał Jasona. Widocznie zorientował się w sytuacji, bo odsuwając szerzej zasłonę, wpuścił go do środka.

Nie było czasu na długie rozmyślenia. Pędząc na złamanie karku, Jason rozglądał się wokół, ale nie widział żadnego innego schronienia. Wskoczył do środka, pociągając za sobą starego. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma w ręku bagnet. Przyłożył go do szyi starca.

- Piśniesz słówko, a zginiesz - syknął.

- Dlaczego miałbym cię zdradzić? - zachichotał stary. - Sam cię tu sprowadziłem. Jestem gotów ryzykować wszystkim dla wiedzy. Cofnij się, to zamknę wejście.

Ignorując nóż, zaczął sznurować opuszczoną klapę. Rozglądając się szybko po wnętrzu, Jason zobaczył drzemiącego przy ogniu wyrostka o zaspanych oczach. Nad paleniskiem wisiał żelazny garnek. Zasuszone starucha coś w nim . mieszała, zupełnie nie zwracając uwagi na zamieszanie przy wejściu.

- Do tyłu! Na dół - powiedział starzec, popychając Jasona.!

- Zaraz tu będą. Nie mogą cię tu znaleźć! "Krzyki było słycać coraz bliżej. Jason stwierdził, że nie ma innego wyjścia.

- Pamiętaj, nóż mam w pogotowiu - ostrzegł, siadając przy tylnej ścianie i pozwalając się przykryć stosem stęchłych skór.

Po chwili zagrzmiał ciężki tupot setek nóg; zewsząd dały się słyszeć liczne głosy. Siwobrody okrył głowę Jasona skórzanym szalem, zasłaniając twarz. W usta wetknął mu śmierdząca, skórzana fajkę, którą wygrzebał z woreczka wiszącego u pasa. Ani starucha, ani wyrostek nie zwracali na to uwagi.

Nie obejrżeli się nawet, gdy mocne szarpnięcie uniosło skórę zasłaniającą wejście, a w otworze ukazała się zarośnięta twarz wojownika.

Jason siedział bez ruchu, uważnie śledząc każdy jego ruch. W dłoni ścisnął bagnet, gotów w każdej chwili zrobić z niego użytek.

Wojownik rozejrzał się po ciemnym wnętrzu i krzyknął coś, co zabrzmiało jak pytanie. Siwobrody odpowiedział przecząco. Intruz zniknął równie szybko, jak się pojawił, a stara kobieta podeszła do wejścia, by je znów zasnurować.

Lata włóczęgi po galaktyce nie dostarczyły Jasonowi zbyt wielu dowodów bezinteresownego miłosierdzia. Jego podejrzliwość była więc w pełni usprawiedliwiona. Nóż miał ciągle w pogotowiu.

- Dlaczego ryzykujesz? - zapytał.

- Minstrel zaryzykuje wszystko dla wiedzy - odrzekł mężczyzna, siadając przy ogniu - nie obchodzi mnie waśnie plemienne. Nazywam się Oariel. Może też byś się przedstawił?

- Sam Riverboat - powiedział Jason. Odłożył nóż i zaczął z powrotem wciągać kamizelkę ochronną. Kłamał odruchowo. Nie chciał odkryć kart.

- Z jakiego świata pochodzisz?

- Z nieba.

- Czy jest wiele światów zamieszkałych przez ludzi?

- Przynajmniej 30.000, choć nikt nie zna dokładnej liczby.

- Jaki jest twój świat?

Jason rozejrzał się wokół i po raz pierwszy od chwili, gdy został porwany, miał czas, aby się zastanowić. Jak dotąd dopisywało mu szczęście, ale kto wie, jak daleko było jeszcze do końca tej przygody?

- Jaki jest twój świat? - powtórzył Oariel.

- A jaki jest twój, starcze?

Oariel milczał przez chwilę; w jego półprzymkniętych oczach błysnęła wesołość. Po chwili skinął głową.

- Zgoda. Odpowiem na twoje pytania, jeśli ty odpowiesz na moje.

- W porządku. Będziesz mówił pierwszy. Ja mam więcej do stracenia, gdyby nam przerwano. Ale zanim zaczniemy tę zabawę, muszę się oporządzić. Do tej pory jakoś nie znalazłem na to czasu.

Chociaż pistolet przepadł, autokabura była nadal na swoim miejscu. Jej baterie mogły się jeszcze przydać. Stracił pas, a kieszenie starannie mu przetrząśnięto. Medpakiet ocalał tylko dlatego, że był umocowany z tyłu. Musiał na nim leżeć, kiedy go rewidowano. Zapasowa amunicja i pojemnik z granatami również zginęły.

Ale miał radio! Musieli nie zauważyć w ciemności płaskiej kieszonki. Miało niewielki

zasięg - tylko do linii horyzontu, ale to mogło wystarczyć, by namierzyć statek, a może nawet wezwać pomoc. Wyjął je z kieszeni i od razu humor mu się zepsuł. Obudowa była roztrzaskana, a z pęknięcia wystawały podzespoły. Spróbował je włączyć. Rezultat był taki, jak przewidywał. Cisza. Fakt, że ukryty za kłamrą pasa chronometr nadal wskazywał dokładny czas, stanowił niewielkie pocieszenie. Była dziesiąta rano. Wspaniale. Kiedy wylądowali na Felicity nastawił go na dwudziestogodzinną dobę. Słońce było wówczas w zenicie.

„Nieźle, jak na początek” - pomyślał, sadowiac się wygodnie na skórach.

- Porozmawiajmy, Oarielu. Kto jest tutaj szefem? Ten, który kazał mnie zgładzić?

- To On, Temuchin Wojownik, Nieustraszony, On

- Armia Żelaznych, Niszczyciel...

- Dobra. To wiem i bez ciebie. Co on ma przeciwko obcym i budynkom?

- Pieśń Wolnych - powiedział Oariel, szturchając w żebra swego asystenta. Wyrostek pisnął i zaczął grzebać w stosie futer. Wydobył stamtąd instrument przypominający lutnię, ale o długim gryfie i tylko dwu strunach. Przy jego akompaniamencie zaczął śpiewać wysokim głosem:

Wolni jak wiatr

Wolni jak równiny, po których wędrujemy

Nie znając domu

Innego niż nasze namioty. Nasi przyjaciele  
Moropy,

Które niosą nas w bój,

Niszcząc budowle

Tych, którzy chcą nas złapać w pułapkę.

Tak to mniej więcej brzmiało. Monotonna pieśń trwała i trwała, aż Jason poczuł, że ogarnia go senność. Przerwał śpiewakowi i zadał



jeszcze kilka pytań. Z tego wszystkiego powoli zaczął mu się krystalizować obraz Felicity. Od oceanów na wschodzie i na zachodzie, Wielki Klif na południu, po góry na północy, nie było ani jednego stałego osiedla, same dzikie plemiona.

Wędrowały po równinach, zwalczając się wzajemnie w ciągłych waśniach i konfliktach. Kiedyś były tu miasta, o niektórych nawet śpiewano pieśni, ale teraz pozostało po nich tylko wspomnienie. Wojna musiała być długa i okrutna, jeśli tyle wieków później pieśń zachowała jeszcze tyle emocji. Bezkompromisowa nienawiść.

Przy ograniczonych zasobach naturalnych tej jałowej planety, rolnicy i nomadowie nie mogli żyć obok siebie w pokoju. Farmerzy budowali osady wokół nielicznych źródeł i odgradzali je płotami od koczowników i ich stad. Ci łączyli się w duże grupy i próbowali zniszczyć osadników. Powiodło im się do tego stopnia, że jedynym śladem po dawnych wrogach była pełna nienawiści pamięć.

Surowi, gwałtowni, barbarzyńscy zdobywcy przemierzali bezkresne stepy całymi klanami lub plemionami, wędrując za swymi stadami. Pisma nie znano, tylko minstrele, którzy mogli swobodnie przenosić się od szczepu do szczepu, przechowywali pamięć o dawnych czasach. Ich śpiew był rozrywką i edukacją zarazem. Ze względu na surowy klimat nie rosły tu żadne drzewa, toteż nie znano drewnianych narzędzi ani sprzętów. Północny łańcuch gór krył bogate złoża węgla i rudy żelaza, więc właśnie ten metal był w powszechnym użyciu. On to oraz zwierzęce rogi, kości surowa skóra były prawie jedynymi dostępnymi surowcami. Wyraźny wyjątek stanowiły hełmy i napierśniki. Niektóre wykonano z żelaza, ale najlepsze pochodziły od plemion zamieszkujących odległe wzgórza, wypiętrzone z azbestopodobnych skał. Uzyskiwano z nich włókna, które następnie

mieszano z żywicą pewnej szerokolistnej rośliny, wytwarzającej rodzaj laminatu. Był lekki jak aluminium, mocny jak metal, ale bardziej elastyczny niż najlepsza stal sprężynowa. Technika ta, odziedziczona niewątpliwie po pierwszych osadnikach, jeszcze sprzed Wielkiej Awarii, była jedyną cechą wyróżniającą koczowników spośród innych barbarzyńców epoki żelaza.

Ich życie było niebezpieczne, brutalne i krótkie. Każde plemię miało swe pastwiska, na których koczowało. Granice nie były jednak zbyt precyzyjnie określone i często kontrowersyjne, toteż waśnie i wojny były na porządku dziennym. Mieszkali w namiotach - "camachs". Były to niewyprawione skóry, rozpięte na żelaznych prętach. Ustawienie i lub złożenie camachs trwało zaledwie kilka minut. Gdy plemię zmieniał miejsce pobytu, namioty i resztę domowego sprzętu transportowano na ciągnionych przez moropy ramach zwanych escung. Przypominały one travois na kołach.

W przeciwieństwie do kóz i bydła - potomków ziemskich zwierząt, moropy pochodziły z wysokich stepów Felicity. Te trawożerne stworzenia były od wieków udomowione i hodowane, podczas gdy ich dzikich pobratymców wybijano. Gruba skóra chroniła je od zimna i potrafiły do dwudziestu dni obywać się bez wody. Służyły jako zwierzęta pociągowe, a także do jazdy wierzchem.

Nie przeszkadzało im, więc Jason czuł się na razie bezpieczny. Było już późne popołudnie, musiał więc obmyślić sposób ucieczki na statek. Czekał, a gdy Oariel przerwał dla nabrania powietrza, zadał mu kilka własnych pytań.

- Ilu mężczyzn jest w obozie?

Bard, wciąż popijający achadh - sfermentowane mleko - zaczynał powoli tracić równowagę. Bełkotał, rozkładając

szeroko ręce.

- To synowie szakala - zaczął. Ich ilość wystarczy; by poczerniały równiny, ich przerażający widok sieje grozę.

- Nie prosiłem o opowieść plemienną, lecz o ładną, okragłą liczbę.

- To wiedzą tylko bogowie. Może sto, może milion.

- Ile jest 20 dodać 20? - przerwał mu Jason.

- Nie zawracam sobie głowy głupimi liczbami.

- Nie wymagam przecież znajomości wyższej matematyki, jak na przykład liczenia do stu!

## Rozdział V

Jason podniósł się i wyjrzał przez; szparę przy wejściu.

Wysokie cirrusy żeglowały po jasnym niebie. Cienie zaczęły się wydłużać.

- Pij - powiedział Oariel, wymachując skórzanym bukłakiem z achadh. - Jesteś moim gościem, musisz wypić. Ciszę przerwał jedynie zgrzyt piasku, którym stara

kobieta szorowała garnek. Uczeń drzemał, zwiesiwszy głowę.

- Nigdy nie odmawiam - powiedział Jason, podchodząc po bukłak. Kiedy podnosił go do ust dostrzegł, że starucha zerknęła w górę, a potem znów pochyliła się nad robota.

Jason rzucił się w bok, bukłak poleciał w kąt. Maczuga musnęła jego ucho i uderzyła w ramię. Turlając się, Jason kopnął na oślep. Jego stopa trafiła chłopca w brzuch. Ten zgiął się wpół, a zaostrowy, żelazny kołek wypadł z jego bezwładnych rąk.

Oariel, nie udając dłużej pijanego, wy dobył spod futer długi, obosieczny miecz i natarł na Jasona. Chociaż ostrze chybiło, jednak uderzenie maczugi sparaliżowało mu prawy bok i ramię. Jednak lewą rękę miał sprawną, toteż Jason dopadł starego i chwycił za gardło, zaciskając kciuk i palec wskazujący na głównych naczyniach krwionośnych. Mężczyzna wierzgnał konwulsyjnie i osunął się nieprzytomny na ziemię. W tym momencie starucha wy dobyła świecącą, pilowaty nóż - namiot był chyba arsenałem ukrytej broni - i skoczyła do ataku. Na szczęście Jason, zawsze ostrożny, miał ją na oku. Puścił barda i podbił jej nadgarstek. "Nóż upadł na ziemię. Cała akcja trwała może dziesięć sekund. Oariel i jego uczeń leżeli nieprzytomni jeden na drugim, a starucha, rozcierając nadgarstek, szlochała przy ognisku.

- Dzięki za gościnę - powiedział Jason, usiłując rozmasować bezwładne ramię.

Kiedy znów mógł ruszać palcami związał i zakneblował kobietę oraz mężczyzn, układając ich równym rzędkiem na podłodze. Oariel otworzył oczy. Kipiał nienawiścią.

- Kto sieje wiatr, zbiera burzę - rzekł Jason, grzebiąc w futrach. - To też możecie sobie zapamiętać. Myślę, że nie można was winić za to, że chcieliście złapać dwie sroki za ogon - zdobyć informacje, nie tracąc nagrody.

Byliście jednak odrobinę zbyt chciwi. Teraz wam pewnie przykro, ale nie będziecie mieli nic przeciwko temu, że przebiorę się w wasze zatłuszczone skóry. Wezmę też ten stary, futrzany kapelusz i broń.

Oariel warknął i wokół knebla pojawiło się trochę piany.

- Co za język? - powiedział Jason. Nasunął kapelusz nisko na oczy i podniósł zaostrzony pał, zawijając go w długą skórę.

- Ani ty, ani ta stara dama nie macie na to dość zębów, ale twój uczeń ma wspaniałe siekacze. Może przeżuć knebel, a potem rzemienie na waszych nadgarstkach. Do tego czasu będę już daleko. Cieszcie się, że nie jestem taki jak wy, bo już bylibyście martwi. Podniósł bukłak z achadh i przewiesił przez ramię.

- To wezmę na drogę. Jeszcze raz za wszystko dziękuję. Kiedy wystawił głowę z camachu. w zasięgu wzroku nie było nikogo. Zasznurował wejście od zewnątrz. Spojrzał w niebo, a potem ruszył przed siebie między rzędami namiotów. Ze spuszczoną głową, wolno powlókł się przez obóz barbarzyńców.

Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Zakutani przed zimnem, wszyscy mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy - mieli ten sam, obszarpany, nieokreślony wygląd. Jedynie wojownicy wyróżniali się strojem i dlatego łatwo było zejść im z drogi, kryjąc się między camachy. Reszta mieszkańców robiła to samo, więc nie budziło to niczyjzego zdziwienia.

Widać było, że obóz rozbito bez żadnego planu. Camachy były rozrzucone w nierównych rzędach, ustawione najwyraźniej tam, gdzie zatrzymali się ich właściciele. W końcu namioty przerzedziły się i Jason stanął oko w oko ze stadem małych, kudłatych krów o diabelskim spojrzeniu. Zauważył kilku uzbrojonych strażników, trzymających spętane moropy. Przyspieszył więc, ale tylko trochę, by nie

wzbudzić podejrzeń. Sądząc po odgłosach - i zapachu - w pobliżu musiało być stado kóz. Ominął je. Wkrótce znaleźli się przy ostatnim camachu. Przed nim, aż po horyzont, rozciągała się bezkresna równina.

Słońce właśnie zachodziło. Szczęśliwy, patrzył na nie, mrużąc oczy. "Zachód dokładnie z tyłu, może trochę na prawo - pomyślał - tyle tylko pamiętam z tej całej jazdy. Jeśli teraz zmianie kierunku o 180° i pomaszeruję prosto w zachodzące słońce, powinienem dojść do statku. Pod warunkiem, że potrafię iść równie szybko jak ci bandyci, no i jeśli oni nigdzie po drodze nie skręcali. Mam nadzieję, że żaden z tych krwiożerczych typów mnie nie znajdzie..." Potrząsnął głową i przeciągnął się. Pociągnął łyk wstrętnego achadh. Podnosząc bukłak do ust, rozejrzał się i stwierdził, że nikt go nie obserwuje. Wytarł usta rękawem i ruszył z wolna w pusty step. Nie uszedł daleko. Gdy tylko napotkał rów, który dawał jako taką osłonę, natychmiast wskoczył do niego i przyciągając kolana do piersi czekał, aż zapadnie całkowita ciemność.

Nie było mu najwygodniej. Drżał z zimna, słuchając, jak wiatr hula mu nad głową, ale nie miał innego wyjścia. Położył odłamek skały na skraju rowu, aby dokładnie oznaczyć miejsce, w którym zajdzie słońce, a potem znów skulił się pod przeciwległą ścianą.

Obejrzał jeszcze raz radio, nawet otworzył je, by ostatecznie stwierdzić, że nic się nią da zrobić. Od tej chwili po prostu siedział i czekał, aż słońce zniknie za horyzontem i wzejdą gwiazdy. Żałował, że przed lądowaniem nie obserwował ich dokładniej, ale teraz było już za późno. Nie znał tutejszych gwiazdozbiorów, nie miał pojęcia, czy była tu jakaś gwiazda polarna lub choćby podbiegunowa konstelacja, według której mogłyby ustalić kierunek. Z map i wykresów, które zawzięcie studiował w czasie lotu zapamiętał jedynie, że

ładowisko znajdowało się niemal dokładnie na siedemnastym południku i siedemdziesiątym stopniu szerokości północnej.

Gdyby to była gwiazda polarna, znajdowałyby się dokładnie siedemdziesiąt stopni nad horyzontem. Mając kilka nocy i jakiś kątomierz, łatwo był ją namierzyć. Niestety, było to niemożliwe. To samo dotyczyło temperatury. Zrobił parę kroków sprawdzając, czy ma jeszcze czucie w stopach. Północna oś obrotu byłaby siedemdziesiąt stopni nad północnym horyzontem, to znaczy, że słońce w południe znajdzie się dokładnie dwadzieścia stopni nad horyzontem południowym. Tak być musi codziennie, przez cały rok, ponieważ oś obrotu planety jest dokładnie prostopadła do płaszczyzny ekliptyki. Z tego powodu nie ma tu długich i krótkich dni, nie ma pór roku. Wszędzie na tej planecie słońce zawsze wschodzi w tym samym punkcie. Dzień po dniu, rok po roku zatacza identyczny łuk na niebie i zachodzi dokładnie w tym samym miejscu. Dzień i noc na całej planecie są równe. Niezmienny pozostaje też kąt padania promieni słonecznych, co oznacza, że ilość promieniowania odbieranego w każdym miejscu jest stała przez cały rok.

Równa długość dni i nocy, stała dawka energii, jednakowa pogoda - chcąc nie chcąc trzeba się do tego przyzwyczaić. Również na ziemi w tropikach jest zawsze gorąco, a na biegunach panuje wieczny mróz.

Słońce wyglądało teraz jak przyciemniony, żółty krążek, zawieszony nad ostro zarysowaną linią horyzontu. Ze względu na dużą szerokość geograficzną nie zniknęło natychmiast, || lecz wolno się przesuwało. Gdy widać było tylko połowę krążka, Jason oznaczył to miejsce na krawędzi rowu, potem wyszedł i położył tam kamień.

- Zupełnie nieźle - powiedział na głos - Wiem teraz, gdzie słońce zachodzi, ale co zrobić w

nocy? Myśl, Jasonie, myśl: od tego zależy twoje życie. - Zadrżał, oczywiście z zimna. - Chciałbym dokładnie znać miejsce zetknięcia słońca z horyzontem. Ile to stopni na północny zachód? Przy braku nachylenia osiowego, problem powinien być prosty. - Kreślił na piasku łuki i kąty, mrużąc do siebie: - Jeśli oś jest pionowa, to codziennie musi być zrównanie dnia z nocą, co znaczy - ho ho! - Pstryknął palcami, ale były zbyt zmarznięte, więc nie bardzo mu to wyszło. - Oto odpowiedź! Jeśli dzień i noc są równe, może być tylko jedno miejsce, na każdej szerokości, gdzie słońce zachodzi i wschodzi. Musi ono zatoczyć stu osiemdziesiąt stopniowy łuk na niebie, więc musi wschodzić dokładnie na wschodzie, a zachodzić na zachodzie. Eureka!

Jason wyciągnął w bok prawe ramię i obracał się tak długo, aż jego palec wskazywał dokładnie punkt orientacyjny. "Toż to proste. Teraz wskazuję na zachód, a patrzę na południe. Jeśli wyciągnę lewą rękę, będzie ona wskazywać dokładnie wschód. Wszystko, co teraz powinienem zrobić, to poczekać w tej pozycji, aż wzejdą gwiazdy" - pomyślał.

Jason zastanowił się chwilę, po czym postanowił ulepszyć nieco tę osobliwą technikę. Położył kamień na wschodniej krawędzi rowu, tuż nad miejscem, gdzie poprzednio siedział. Potem wspiął się na przeciwległą ścianę i popatrzył nań znad pierwszego kamienia. Zobaczył jasną, błękitną gwiazdę, która akurat w tym miejscu wisiała nisko nad horyzontem i ukazujący się właśnie gwiazdozbiór w kształcie litery „z”.

- Gwiazdo przewodnia, pójdę za tobą - powiedział. Odpiął sprzączkę od pasa, by spojrzeć na fosforyzującą tarczę zegarka. - Mam. Przy dwudziestogodzinnej dobie przez dziesięć godzin jest ciemno, a przez dziesięć jasno. Pójdę teraz prosto, mając swoją gwiazdę za plecami. Za pięć godzin stanie ona w



zenicie, na południu - dokładnie po mojej lewej ręce. Potem zacznie opadać, a tuż przed świtem zajdzie, akurat przede mną. To proste, ale pod warunkiem, że co godzinę albo co pół będą sprawdzał kierunek, uwzględniając zmieniające się z czasem położenie gwiazdy. Ha!

Upewnił się, że gwiazdozbiór w kształcie litery "z" znajdował się dokładnie za jego plecami, zarzucił na ramię maczugę i wyruszył. Choć wszystko dokładnie przemyślał, jednak nie po raz pierwszy i nie ostatni żałował, że nie miał ze sobą żyrokompasu.

Temperatura gwałtownie malała, a w czystym, suchym powietrzu gwiazdy błyszcząły jak odległe, migotliwe punkciki. Wysoko nad głową konstelacje odbywały swą niebieską wędrówkę, a małe „z” spieszyło, by o północy stanąć w zenicie.

Jason sprawdził zegarek, a potem opadł ciężko na dywan zmrożonej trawy. Szedł już pięć godzin z jedną tylko przerwą.

Pomimo treningu przy dwu G na Pyrrusie, marsz dal mu się we znaki. Pociągnął z buklaka tęgi łyk i zaczął się zastanawiać, jaka też mogła być temperatura. Pomimo pewnej zawartości alkoholu, achadh stanowiło na wpół zmrożoną, lodową kaszę.

Felicity nie miała księżyców, ale gwiazdy dawały dość światła. Wokół rozciągała się mroźna szarość równina - cichej i nieruchomej. Nagle w oddali zamajaczyła jakaś ciemna, drgająca masa.

Jason z wolna osunął się na ziemię i leżał tam, na wpoi zamarznięty, podczas gdy w jego stronę z łoskotem pędziła gromada jeźdźców na moropach. Minęli go w odległości nie większej niż dwieście metrów, a on, rozplaszczony na ziemi, patrzył na ciemne, ciche sylwetki, dopóki nie zniknęły mu z oczu na południu.

"To po mnie? - zastanawiał się, wstając i otrzepując ubranie. - A może zmierzają w stronę statku?"

To było bardzo prawdopodobne. Właściwie, czemu nie? Tędy przywieziono go z "Walecznego", więc logiczne jest, że tu go szukają.

Rozważał możliwość pójścia po ich śladach, ale odrzucił ten pomysł. Na drodze do statku może być spory ruch, a nie miał ochoty, by światło dzienne zastało go na tej autostradzie barbarzyńców.

Kiedy wstał, podmuch wiatru wywołał u niego napad dreszczy. Dość długo już odpoczywał. Miał do wyboru - albo ruszyć naprzód, albo zamarznąć na śmierć. Wolał żyć.

Przewiesił bukłak przez ramię, podniósł maczugę i ruszył równoległe do szlaku jeźdźców. Jeszcze dwukrotnie w ciągu tej, zda się, bezkresnej nocy, mijały go pędzące w tę samą stronę grupy wojowników, co zmuszało go do krycia się w rozpadlinach. Za każdym razem było mu coraz trudniej wstać i iść dalej, ale zmarznięta ziemia stanowiła niezły doping.

Zaczęło się rozjaśniać na wschodzie. Szedł już z największym trudem. Czuł zmęczenie i... grawitację półtora G. Jego gwiazda przewodniczka dotknęła horyzontu, niknąć w szarości świtu.

Czas było odpocząć. Postanowił, że nie będzie wędrować po wschodzie słońca. Tylko dzięki temu potrafił do tej pory w ogóle zmusić się do marszu. Mógł wprawdzie łatwiej utrzymać właściwy kierunek, ale było to zbyt niebezpieczne. Na pustej równinie łatwo było dostrzec poruszającą się postać, nawet z dużej odległości. Statku ciągle nie było widać. Czekala go więc długa droga. Jeśli chciał iść dalej, potrzebował trochę wypoczynku, a to było możliwe tylko w ciągu dnia.

Z trudem wczołgał się do następnego rowu. W północnej ścianie, tam gdzie słońce przygrzewało cały dzień, była niewielka jama.

Kryjówka wprost wymarzona dla niego. Zasłaniała go od góry, a jednocześnie chroniła przed wiatrem. Pociągnął kolana do piersi, starając się nie zwracać uwagi na dotkliwe zimno, które czuł pomimo futer i ubrania ochronnego. Gdy zastanawiał się, czy wyczerpany, zmarznięty, zeszywniały, będzie w stanie zasnąć w tej niewygodnej pozycji, zapadł w sen.

Obudził go jakiś dźwięk, czyjaś obecność. Otworzył jedno oko i zerknął spod kapelusza. Jakieś dwa zwierzaki o szarym futerku, łysych ogonach i długich zębach przyglądały mu się z drugiej strony rowu. Na głośne "buu!" zniknęły. Zdawało mu się, że jest nieco cieplej. Ziemia też robiła wrażenie cieplejszej, a może to jego zdrtwiałe członki już mc nie czuły. Znowu zasnął.

Kiedy ponownie się obudził, słońce skryło się już za krawędzią rowu i znalazł się w cieniu. Wiedział teraz dokładnie, co czuje poćić mięsa w zamrażarce.

Najmniejszy ruch wydawał mu się zadaniem ponad siły. Miał również wrażenie, że jeśli uderzy o coś ręką lub nogą, rozpadnie się na kawałki. Wysączył resztki napoju z bukłaka. To go trochę ożywiło.

Zachód słońca ponownie pomógł mu wyznaczyć kierunek, a kiedy wzeszły gwiazdy, ruszył w drogę. Marsz jeszcze trudniejszy niż poprzedniej nocy. Wyczerpanie, rany i brak pożywienia dawały się we znaki. Po godzinie trząsał u i chwiał jak osiemdziesięciolatek i zrozumiał, że daleko nie zajdzie. Upadł bez tchu na ziemię, zwalniając przycisk, który wrzucił mu medpakiet w dłoń.

- Oszczędzałem cię na czarną godzinę i, jeśli się nie mylę, właśnie słyszę ostatni dzwonek. Chichocząc słabo z kiepskiego dowcipu, ustawił tarczę sterowania w pozycji „Stymulatory. Normalna dawka”, Przycisnął urządzenie do wewnętrznej strony nadgarstka. Poczuł ostre

ukłucie igieł. Działo. Po sześćdziesięciu sekundach stwierdził, że zmęczenie zaczęło ustępować. Wstał. Czuł jeszcze tylko mrowienie w kończynach.

- W drogę - krzyknął, szukając obranej konstelacji. Wsunął medpakiet na swoje miejsce. Ta noc nie była ani długa, ani krótka - po prostu minęła w przyjemnym oszołomieniu. Pod wpływem narkotyków jego umysł dobrze pracował.

Starał się nie myśleć, jaką cenę za to zapłaci. Minęło go kilka grup wojowników; wszystkie nadciągały od strony statku. Za każdym razem krył się, chociaż większość z nich była daleko. Zastanawiał się, czy stoczyli jakąś bitwę i czy zostali pobici. Za każdym razem zmieniał też nieco kierunek, zbliżając się do ich szlaku, żeby się nie zgubić.

Gdzieś około trzeciej stwierdził, że często się potyka, a w pewnym momencie szedł prawie na kolanach. Tym razem ustawił medpakiet na ,, Stymulatory. Dawka dodatkowa". Zastrzyki podziały i ruszył dalej stanowczym, równym krokiem.

Był prawie świt, kiedy poczuł swąd.

Niebo na wschodzie zaczęło szarzeć, a zapach zrobił się za intensywny. Jason zastanawiał się, co to może być. Nie zatrzymał się, lecz jak poprzedniego ranka, spieszył kroku. To był już ostatni dzień, jaki mu został. Musiał dotrzeć do statku, zanim wyczerpią się akumulatory. Nie mógł być daleko. Był dużo mniejszy niż moropy i ich jeźdźcy, więc przy odrobieniu szczęścia powinien dostrzec ich pierwszy.

Kiedy wszedł na obszar szerniałej trawy, początkowo nie wierzył własnym oczom. Zaprószony przypadkiem - jak początkowo sądził - ogień wypalił regularne koło. Dopiero kiedy rozpoznał pogięte, zardzewiałe szczątki urządzeń górniczych, zrozumiał...

"Jestem na miejscu. To tu wylądowaliśmy" - krążył jak pijany zataczając się i z obłędem w oczach patrzył na rozciągającą się wokół pustkę.

- To tutaj! - krzyczał. - Tu był statek. "Waleczny" wylądował tuż obok poprzedniego obozu. Wszystko się zgadza, tylko gdzie jest statek? ...Odlecieli... Odlecieli beze mnie!...

Opuścił ręce w niemej rozpaczycy i stał, chwiejąc się, bez sił. Statek, przyjaciele - wszystko przepadło.

Gdzieś niedaleko zagrzemiał tupot ciężkich kroków. Zza wzgórza pędziło pięć moropów. Jeźdźcy krzyczeli coś dziko, zniżając lance, by go zabić.

Ręka Jasona wykonała bezwiednie ruch ku kaburze, oczywiście bezcelowy. Broń skonfiskował mu przecież wódz tych rzezimieszków.

- No to powalczymy nieco staromodnie - krzyknął, kręcąc młynka żelazną maczugą. Nie miał żadnych szans, ale nim go położy, niech zobacza, jak walczy.

Pędzili zwartą grupą, przepychając się wzajemnie. Każdy z wyciągniętą lancą, każdy chciał pierwszy dopaść ofiarę.

Jason stał na rozstawionych nogach, gotowy do walki. Czekał spokojnie do ostatniej chwili. Jeźdźcy byli już na skraju wypalanej ziemi.

Nagle rozległa się stłumiona eksplozja i prawie natychmiast w górę wzbil się obłok skłębionej pary, przesłaniając jeźdźców. Kiedy smugi dymu skręciły w stronę Jasona, ten opuścił maczugę i cofnął się.

Tylko jeden morop siłą rozpędu przedarł się przez szarą chmurę i hamując, runął na ziemię z głuchym łoskotem. Zrzucony z siodła jeździec czołgał się przez chwilę w stronę Jasona, aż w końcu twarz wykrzywiona nienawiścią znieruchomiała.

## Rozdział VI

Gdy smuzka rzednącego dymu dosięgnęła Jasona, ten pociągnawszy nosem, zaczął szybko uciekać. Narcogaz. Działał bezbłędnie i natychmiastowo na wszystkie oddychające tlenem organizmy, powodując paraliż i utratę przytomności na około pięć godzin. Po tym czasie ofiara odyskiwała całkowicie zdrowie, a jedynym przykrym skutkiem był rozłupujący czaszkę ból głowy.

Co się stało? Statku z pewnością nie było, niczego innego również nie było widać. Zmęczenie zaczynało pokonywać stymulatory. Mąciło mu się w głowie. Od dłuższego czasu słyszał warkotliwy dźwięk, ale dopiero teraz udało mu się ustalić jego źródło. To był ładownik "Walecznego". Oślepiiony jasnością porannego nieba Jason ujrzał smugę kondensacyjną, zmierzającą w jego kierunku. Rosła z każdą sekundą. Rakieta w pierwszej chwili była małą kropeczką, potem nabrała kształtów, by w końcu stać się metalowym cylindrem, który wylądował w słupie ognia nie dalej niż sto metrów od niego. Właz otworzył się i Meta zeskoczyła na ziemię, jeszcze zanim amortyzatory stłumiły impet lądowania.

- Nic ci nie jest? - zawołała biegnąc szybko do niego i mierząc z pistoletu do ewentualnych wrogów.

- Nigdy nie czułem się lepiej - odpowiedział, wspierając się na metalowej palce, by nie upaść. - Co cię zatrzymało? Myślałem, że

wszyscy wynieśliście się stąd i zapomnieliście o mnie.

- Wiesz, że nigdy byśmy tego nie zrobili. - Jej dłonie przebiegały po jego ciele, ramionach, jakby szukały połamanych kości lub po prostu upewniały ją, że Jason wciąż żyje.

- Nie mogliśmy zapobiec twemu porwaniu, chociaż próbowaliśmy. Kilku z nich zginęło. W tym samym czasie przypuścili atak na statek. Jason dobrze rozumiał, co kryło się za tymi suchymi słowami. To musiało być straszne.

- Chodźmy do rakiety. - Zarzuciła na swoje barki jego ramię, by mógł się na niej wesprzeć. Nie zaprotestował. - Byli ukryci, a posiłki wciąż przybywały. Dobrze walczą. Nie dają im szansy. Kerk szybko się zorientował, że w ten sposób bitwa nigdy się nie skończy i że stojąc tam, w niczym ci nie pomożemy. Jeśli udałoby ci się uciec - czego był pewien

- i tak nie mógłbyś dostać się do statku. Tak więc zamontowaliśmy tu kilka kamer szpiegowskich i mikrofonów oraz niezły zapas min ziemnych i zdalnie sterowanych bomb gazowych. Potem odlecieliśmy i założyliśmy bazę w górach, na północy. Ja zostałam w ładowniku u podnóża gór i czekałam do tej pory. Przyleciałam tak szybko, jak tylko mogłam. Chodź tutaj, do kabiny.

- Udało ci się w samą porę. Dziękuję, sam wejść.

Oczywiście, nie był w stanie tego zrobić, ale nie chciał przyznawać się głośno do swojej słabości. Wolał udać, że sam wspiął się na drabinę, choć pomogło mu w tym piękne, kobiece ramię.

Chwiejnym krokiem wszedł do środka i osunął się na fotel drugiego pilota, podczas gdy Meta zamykała wejście. Gdy tylko zaryglowała właz, opadło z niej całe napięcie. Broń wsunęła z powrotem do automatycznej pochwy. Potem przyklękła i spojrzała mu uważnie w twarz.

Zrzuć te brudne szmaty - powiedziała, ciskając na podłogę futrzaną czapę.

Zanurzyła palce w jego włosach, a potem leciutko, opuszkami dotykała ran i śladów po odmrożeniach na jego twarzy.

- Myślałam, że już nie żyjesz, Jason. Naprawdę. Nie sądziłam, że cię jeszcze zobaczę.

- Tak bardzo cię to obchodzi?

Był bardzo wyczerpany. Jego wytrzymałość już dawno przekroczyła punkt krytyczny. Przed oczyma latały mu czarne plamy. Czuł, że w tym momencie jest mu bliższa niż kiedykolwiek przedtem.

- Owszem. Sama nie wiem, dlaczego. Nagle pocałowała go, mocno, me zważając na jego spierzchnięte, popękane wargi. Nie skarżył się.

- Może po prostu przyzwyczaiłaś się, że zawsze jestem obok - powiedział to bardziej obojętnie niż zamierzał.

- Nie, to nie to. Miałam już w życiu wielu mężczyzn. "Fajnie. Wielkie dzięki" - pomyślał.

- Mam dwadzieścia pięć lat i dwoje dzieci. Pilotując nasz statek widziałam wiele planet. Byłam przekonana, że wiem wszystko, co powinnam wiedzieć, ale teraz już tak nie myślę. Kiedy ten człowiek, Mikah Samoh, porwał cię, odkryłam jakąś prawdę o sobie samej. Musiałam cię odnaleźć. Są to bardzo niepyrrusańskie uczucia - przecież zawsze uczono nas najpierw myśleć o mieście, potem o ludziach. Teraz już sama .nie wiem... Czy nie mam racji?

- Masz - odpowiedział. Oplótł splekanymi, brudnymi palcami jej ciepłe, sprężyste ramię.

- Myślę, że jesteś bliższa prawdy niż ktokolwiek z twego rzeźnickiego plemienia.

- Powiedz, dlaczego tak jest?

- Czy wiesz, Meto, co to jest małżeństwo?

- Słyszałam o tym. Obyczaj społeczny na niektórych planetach. Ale nie wiem, co to



znaczy. -- Na tablicy kontrolnej gniewnie zabrzączał alarm i Meta szybko odwróciła się w tym kierunku.

- Nie wiesz jeszcze. Może to i lepiej. Może ja ci nigdy tego nie powiem... - Uśmiechnął się. Głowa opadła mu na piersi i natychmiast zasnął.

- Nadjeżdża ich coraz więcej - powiedziała Meta, wyłączając alarm i rzucając okiem na ekran.

Nie było odpowiedzi. Szybko przymocowała Jasona pasami do fotela i zaczęła startować. Wystrzeliła w niebo nie2 zastanawiając się, czy pod silnikami nie znaleźli się jacyś napastnicy. Przeciążenie przy podchodzeniu do lądowania obudziło Jasona.

- Pić - wyszeptał, oblizując wyschnięte usta.

- I jeść. O jestem tak głodny, że zjadłbym jedno z tych bydląt na surowo.

- Teca jest w drodze - odpowiedziała mu, błyskawicznie przesuwając przełączniki.

- Jeśli jest równie znakomitym konowalem co jego mistrz Brucco, to zaaplikuje mu kurację regenerującą i będę nieprzytomny przez tydzień. Nic z tego. - Wolno odwrócił głowę, patrząc jak otwiera się wewnętrzna grodz. Teca, energiczny młody lekarz, którego entuzjazm dla medycyny znacznie przewyższył wiedzę na ten temat, wszedł do środka.

- Nic z tego - powtórzył Jason - żadnej kuracji regenerującej. Kroplówka z glukozy, zastrzyki witaminowe, sztuczna nerka - co chcesz, żebym tylko był przytomny.

To właśnie lubię u Pyrrusan - powiedział Jason, kiedy wynosili go na noszach z rakiety. Butla z kroplówką dyndała przy jego głowie. - Pozwalają ci iść do diabła w wybrany przez ciebie sposób.

Meta zadbała o to, by minęło trochę czasu, nim zebrali się przywódcy ekspedycji. Jason, któremu oczy zamknęły się w trakcie gniewnych narzekań, spędził ten czas na głębokim,

pokrzepiającym śnie. Obudził się, gdy gwar rozmów zaczął wypełniać pokój.

- Proszę o spokój - powiedział, usiłując nadać swemu głosowi rozkazujący ton. Zamiast tego z jego ust wydobył się głośny charkot, przypominający warczenie jamnika.

- Zanim się zacznie, chciałbym coś na gardło i jakiś zastrzyk, który mnie obudzi. Mógłbyś się tym zająć?

- Oczywiście - zgodził się Teca, otwierając torbę - ale nie sądzę, żeby to było odpowiednie w twoim stanie. Wykonał jednak polecenie.

- Tak lepiej - stwierdził Jason, gdy leki raz jeszcze zlikwidowały zmęczenie. Wiedział, że zapłaci za to. Ale później. Zadanie musi być wykonane teraz.

- Znalazłem odpowiedź na niektóre pytanie - powiedział. - Nie na wszystkie, ale na początek dobre i to. Wiem już, że bez pewnych głębokich przeobrażeń nie będziemy wstanie założyć kopalni. Mówiąc "głębokich" mam na myśli to, że musimy całkowicie zmienić moralność, obyczaje i kulturową motywację tych ludzi.

- To niemożliwe - stwierdził Kerk krótko.

- Być może. Ale to lepsze niż ludobójstwo. W obecnej sytuacji, chcąc spokojnie wybudować osadę, musielibyśmy wybić tych prymitywów do nogi.

Po tych słowach zapadła przygnębiająca cisza. Pyrrusanie wiedzieli, co to znaczy. Byli przecież ofiarami totalnego wyniszczenia na własnej planecie.

- Nie rozważaliśmy ludobójstwa - powiedział Kerk, a pozostali przytaknęli ruchem głowy - ale ta druga możliwość brzmi równie bezsensownie.

- Doprawdy? Przypomnij sobie, że jesteśmy tutaj, gdyż wasze pojęcie moralne, zakazy, motywacje kulturowe ulegały całkowitemu przeobrażeniu. Co było dobre dla was, będzie

dobrze i dla nich. Dopniemy swego stosując dwie stare jak świat metody: „Dziel i rządź” oraz „Jeśli nie możesz pokonać wroga, przyłącz się do niego”.

- Dobrze byłoby - zaproponował Rhes - gdybyś wyjaśnił, jaki to system moralny mamy zniszczyć.

- Jeszcze tego nie powiedziałem? - Jason poszperał w pamięci i stwierdził, że rzeczywiście nic im jeszcze nie powiedział. Pomimo leków jego umysł nie działał tak sprawnie, jak powinien. -

- Pozwólcie więc, że wyjaśnię. Jak wiecie, przeszedłem ostatnio przymusową indoktrynację odnośnie życia tubylców. Okropność - to właściwe słowo. Są rozbici na klany i szczepy, prowadzące ze sobą nieustanne wojny. Czasami dwie grupy lub więcej łączą się ze sobą, by wyrznąć trzecią, która akurat im przeszkadza. Dzieje się to pod kierunkiem osobnika na tyle sprytnego, że doprowadził do sojuszu i na tyle silnego, iż ten sojusz utrzymał. Temuchin - to imię wodza, który zjednoczył plemiona, by zniszczyć ekspedycję John Company. Jest na tyle dobry w swoim rzemiośle, że zamiast rozwiązać sojusz po usunięciu zagrożenia, jeszcze bardziej go umocnił i rozszerzył. Jedną z najsilniejszych motywacji, jakie oni posiadają, jest nienawiść do miast. Przywódca nie miał problemów z werbowaniem żołnierzy. Od dawna dostarczał swej armii coraz to nowego zajęcia, rozszerzając obszar panowania. Nasze przybycie jeszcze bardziej zwiększyło napływ ochotników. Temuchin to nasz główny problem. Nigdzie się nie osiedlimy, dopóki on włada plemionami. Pierwsze, co musimy zrobić, to usunąć powód tej świętej wojny. Łatwo tego dokonamy, po prostu odlatując.

- Jesteś pewien, że nie masz gorączki? - zainteresowała się Meta.

- Dzięki za troskliwość, ale nic mi nie jest. Miałem na myśli to, że musimy przekonać

plemiona o naszym odlocie. Powinniśmy jeszcze raz wylądować w tym samym miejscu i udawać jakieś prace górnicze. Kłopoty na pewno pojawia się dość szybko. Musimy wtedy z nimi walczyć, by udowodnić, że nam naprawdę zależy na sprawie. Jednocześnie spróbujemy mówić do nich przez głośniki, oczywiście zapewniając o naszych zamiarach. Będziemy głądzić o tych wszystkich pięknych rzeczach, które im damy, jeśli tylko zostawią nas w spokoju. Sprawi to, że będą walczyć jeszcze zacieklej. Potem zagrozimy, że odleciemy na zawsze, jeśli nie przestaną. Oczywiście nie przestaną, więc wystartujemy i z balistycznej orbity, tak by nas nie zauważyli, wylądujemy znowu - w jakiejś kryjówce, najlepiej w górach. To będzie etap pierwszy.

- Myślę, że raczej drugi - Kerkowi wyraźnie brakowało entuzjazmu. - Jak dotąd najbardziej przypomina to zwykłą ucieczkę.

- To tylko pomysł. Ale mogę dokończyć? Następnie znajdziemy w górach jakieś odosobnione miejsce. Takie, do którego nie można się dostać pieszo. Wybudujemy tam modelową wioskę, w której osiedlimy - oczywiście wbrew ich woli - jedno z mniejszych plemion. Będą mieli wszystkie nowoczesne urządzenia sanitarne - ciepłą wodę, jedyną na całej planecie toaletę z prawdziwego zdarzenia, dobre jedzenie i pomoc medyczną. Oczywiście znienawidzą nas za to i będą robić wszystko, co w ich mocy, żeby nas zabić i uciec. Wypuścimy ich, kiedy już będzie po wszystkim, ale w międzyczasie użyjemy ich moropów, camachów i całej reszty ich barbarzyńskich urządzeń.

- Po jaką cholerę? - zdumiała się Meta.

- By założyć własne plemię. Plemię "Walecznych Pyrrusan". Twardszych, bardziej okrutnych, wierniejszych tabu niż jakiegokolwiek inne. Wkręcimy się między nich. Będziemy tak dobrzy, że nasz wódz. Kerk Wielki, obali Temuchina.

Wierzę, że uda wam się puścić w ruch tę całą maszynę jeszcze przed moim powrotem.

- Nie wiedziałem, że nas opuszczasz - zdziwił się Kerk, a wyraz zakłopotania malujący się na jego twarzy odzwierciedlał uczucia pozostałych. - Co zamierzasz zrobić?

Jason potrzącił wymaglinowane struny.

- Mam zamiar - ogłosił - zostać minstrelem. Wędrownym trubadurem - szpiegiem. Będę siać niezgodę i przygotowywać wasze nadejście.

## Rozdział VII

- Tylko spróbuj się roześmiać lub choćby uśmiechnąć, to złamię ci rękę - wykrztusiła Meta przez zaciśnięte zęby.

Jason musiał użyć całej swej sztuki zawodowego karciarza, by zachować obojętny, lekko

znudzony wyraz twarzy. Wiedział, że dziewczyna nie żartuje.

- Nigdy nie śmieję się z damskich strojów - powiedział. - Gdybym to zrobił, już dawno miałbym rozbitą głowę. Myślę, że twój wygląd jak ulał pasuje do zadania, które mamy wykonać.

- Akurat - syknęła - wyglądam raczej jak jakieś kudłate zwierzę przejechane przez samochód terenowy.

- Przesadzasz, złotko. - Jeszcze raz ją obejrzał. Nie przesadzała. - Patrz, Grif już jest - wskazał palcem. Automatycznie odwróciła się w kierunku drzwi.

- Grif, witaj drogi chłopcze - uśmieła się, że serdeczny uśmiech skierowany jest do dziewięciolatka o naburmuszonej buzi.

- To mi się wcale nie podoba - powiedział Grif, czerwony z wściekłości. - Nie chcę wyglądać śmiesznie. Nikt nie nosi takich ubrań.

- Ale nasza trójka tak - Jason zwrócił się do chłopca, licząc, że i Meta to usłyszy. - A tam, gdzie idziemy, jest to strój narodowy. To, co ma na sobie Meta jest ostatnim krzykiem mody plemiennej. - Owinięta była w poplamioną skórę i futra, a jej oczy spoglądały ponuro spod bezkształtnego kaptura. Wyglądała fatalnie. - W tych strojach nie będziemy zwracać na siebie uwagi. Sam zobaczysz, że jako kuglarz i jego uczeń doskonale będziemy pasować do otoczenia.

Spojrzał uważnie na twarz i dłonie Grifa i Mety. - Ultrafiolet i środki opalające zrobiły swoje - powiedział, wyjmując mały, skórzany woreczek. - Wasza skóra jest prawie tego samego koloru, co tubylców, ale jednego wam brakuje. Oni dla ochrony przed wiatrem i mrozem smarują twarze grubą warstwą tłuszczu. Czekać! - krzyknął, widząc, że oboje zaciskają pięści, a w powietrzu pachnie morderem. - Nie proszę was, byście smarowali

twarze zjełczałym tłuszczem moropów, którego używają tubylcy. To czysty, obojętny żel silikonowy, który będzie doskonałą ochroną. Przyda wam się - macie moje słowo.

Jason nabrał trochę żelu i rozsmarował na policzku. Pozostała dwójka, chociaż niechętnie, zrobiła to samo. Zanim skończyli, ich irytacja sięgnęła zenitu. Jason chciał, żeby się odprężyli, inaczej gra skończy się, zanim się rozpocznie.

W zeszłym tygodniu ich plany, zaaprobowane przez resztę, szybko nabrały rumieńców. Najpierw odegrali „ucieczkę” z planety, a następnie założyli bazę w tej odosobnionej dolinie. Ze wszystkich stron miejsce to otaczały pionowe ściany, więc było dostępne jedynie z powietrza. Obóz przesiedleńców znajdował się na niewielkim płaskowzgórzu. Był to właściwie wielki występ w gigantycznym pionowym klifie - naturalne więzienie bez najmniejszej możliwości ucieczki. Zamieszkiwała tam już od pewnego czasu wyszorowana do czysta i z tego powodu mocno nieszczęśliwa rodzina koczowników - pięciu mężczyzn i sześć kobiet. Złapano ich i obezwładniono narcogazem, gdy oddzielili się od plemienia. Zdobyte w ten sposób ubrania i przedmioty codziennego użytku, odpowiednio wyczyszczone i odwszawione, przekazano Jasonowi, podobnie jak moropy. Wszystko było przygotowane, by przeniknąć do armii Temuchina. Jeszcze tylko trzeba było nakłonić tych dwoje do współpracy.

- Idziemy - zdecydował Jason. - Teraz nasza kolej. Mimo, że część prefabrykowanych domów była już prawie wykończona, "Waleczny" ze swymi pojemnymi ładowniami i kabinami był nadal używany jako baza. Schodząc w dół korytarzem w kierunku śluzy, spotkali Tece.

- Kerk mnie przysłała - powiedział - są już prawie gotowi na wasze przyjęcie.

Jason kiwnął tylko głową i ruszyli razem. Teca jakby dopiero teraz zauważył ich egzotyczne stroje, pokryte tłuszczem twarze i wściekłe spojrzenia. W korytarzu skonstruowanym z plastiku i metalu wyglądali - delikatnie mówiąc - dziwnie. Teca przenosił wzrok z jednego na drugie, w końcu wskazał palcem na Metę.

- Wiesz jak wyglądasz? - zapytał uśmiechając się. To był błąd. Meta, warcząc, rzuciła się na niego, lecz Grif był bliżej, tuż przy lekarzu. Wpakował pięść w splot słoneczny Teca. Grif miał tylko dziesięć lat, ale to był pyrrusański dziewięciolatek. Teca nie spodziewał się ataku. Wypuścił powietrze z klatki piersiowej i osunął się na ziemię. Jason czekał teraz na bijatykę. Był już spokojny. „W porządku - pomyślał - jak chcecie, to się pozabijajcie, matoly”.

Meta pierwsza wybuchnęła śmiechem, a zaraz po niej Grif. Jason przyłączył się do nich z prawdziwą ulgą. Pyrrusanie śmieją się rzadko i to tylko wtedy, gdy dzieje się coś zwyczajnego i oczywistego, na przykład, gdy ktoś zostanie nagle kopnięty w tyłek. Napięcie prysło. Ryczeli do łez. Zaśmiewali się jeszcze bardziej, gdy Teca, czerwony na twarzy, wstał i odszedł z godnością.

- Co się stało? - spytał Kerk, gdy wynurzyli się z ciemności.

- Nie uwierzyłybyś, gdybym ci opowiedział - odparł Jason. - To już ostatni? - wskazał nieprzytomnego moropa, ładowanego do mocnej sieci. Rakieta, rycząc silnikami kierunkowymi, unosiła się nad ich głowami, opuszczając linę z solidnym hakiem.

- Tak, pozostałe dwa już poleciały, razem z kozami. Po nim kolej na was.

Patrzyli w milczeniu, jak hak zaczepiał o kółka siatki, w której umieszczono zwierzę. Rakieta szybko się wzniosła. Nogi



nieprzytomnej bestii zakołysały się i wszystko zniknęło w ciemnościach.

- Co z wyposażeniem? - spytał Jason.

- Już przetransportowane. Rozbiliśmy dla was camach i wstawiliśmy wszystko do środka. Wyglądacie imponująco w tych przebraniach. Po raz pierwszy mam wrażenie, że może coś będzie z tej maskarady.

Słowa Kerka nie zawierały żadnych podtekstów. Na zewnątrz, pośród mroźnej nocy, w ostrych niczym nóż podmuchach wiatru, ich stroje były całkiem na miejscu. Były równie skuteczne, jak elektrycznie ogrzewany kombinezon ochronny Kerka. Może nawet bardziej. Ich twarze ochraniał tłuszcz, podczas gdy Kerk cierpiał od ostrych ukąszeń mrozu. Jason spojrzał uważnie na jego policzki.

- Powinieneś wrócić do środka - powiedział - albo posmarować twarz tłuszczem. Zdaje się, że masz początki odmrożenia.

- I ja tak sędzę. Jeśli mnie nie potrzebujecie, to wracam odtając.

- Dziękuję za pomoc. Resztę zabierzemy sami.

- No, to powodzenia - powiedział Kerk. Uścisnął im dłonie, nie wyłączając Grifa. - Będziemy prowadzić całodobowy nasłuch, byście mogli się zawsze z nami skontaktować.

W milczeniu czekali na powrót rakiety. Szybko zapakowali się do środka. Droga na równinę nie zabrała im wiele czasu. Po nocnym powietrzu wewnątrz kabiny wydawało się duszne i gorące.

Kiedy rakietę odleciała, Jason wskazał na zaokrąglony kształt camachu.

- Wejdźcie i czujcie się jak u siebie w domu. Idę sprawdzić, czy moropy są przywiązane. Nie chcę, żeby gdzieś poszły, kiedy się obudzą. W środku znajdziecie lampę, piecyk i atomowy zasilacz. Skorzystajcie po raz ostatni z dobrodziejstw cywilizacji.

Nim uporał się z pracą, camach był już ogrzany, a wesołe światełko sączyło się przez szpary wokół wejścia, Jason zasznurował je za

sobą i podobnie jak pozostali, zrzucił ciężkie futrzane okrycie. Z jednej ze skrytek wygrzebał żelazny garnek i napełnił go wodą ze skórzanego bukłaka. Ten i pozostałe były od wewnątrz powleczone plastikiem, co nie tylko zapewniało ich szczelność, ale również poprawiało smak wody. Postawił garnek na piecyku. Meta z chłopcem siedzieli w milczeniu, uważnie obserwując każdy jego ruch. - To jest "char" - powiedział, odłamując czarny, pokruszony kawałek od większego bloku jakiejś tajemniczej substancji. - Uzyskuje się go z pewnego gatunku krzewów. Ich liście są moczone, a następnie prasowane w cegiełki. Smak jest do wytrzymania i lepiej, żebyśmy się do niego przyzwyczaili.

Wrzucił okruchy do wody, która natychmiast przybrała odrażający odcień purpury.

- Nie wygląda to najlepiej - powiedział Grif, podejrzliwie patrząc na płyn. - Chyba nie mam na to ochoty.

- Lepiej jednak spróbuj. Jeśli chcemy uniknąć rozpoznania, musimy żyć tak, jak koczownicy. Przypomniałem sobie o jeszcze jednej ważnej sprawie. - Mówiąc to, Jason podwinął rękaw i zaczął odpinać kaburę. Pozostała dwójka przyglądała mu się ze zdziwieniem.

- Co się stało? Co ty wyprawiasz? - wykrztusiła Meta, kiedy odpiął pistolet i schował do metalowego kufra. Pyrrusanie noszą broń dzień i noc. Nie wyobrażają sobie życia bez niej.

- Odpinam pistolet - wyjaśnił cierpliwie. - Gdybym go użył lub gdyby go zobaczył jakiś tubylec, zostalibyśmy zdemaskowani. Proszę, żebyście zrobili to samo.

Jeszcze zanim przebrzmiały te słowa, rozległ się ostry świst - to pistolety wysunęły się spod futrzanych okryć i wpadły w ręce właścicieli. Jason spokojnie patrzył w nieruchome lufy.

O to właśnie chodzi. Tylko trochę się zdenerwujecie i zaraz sięgacie po broń. Nie chodzi o to, że wam nie ufam, po prostu macie zbyt nieopanowane odruchy. Pistolety ukryjemy tak, żeby zawsze były pod ręką, ale żeby się nie zdradziły. Z tubylcami będziemy musieli sobie poradzić ich własną bronią. Spójrzcie tutaj...

Meta i Grif wsunęli pistolety z powrotem do pochew. Tymczasem Jason rozwinął skórzaną płachtę, z której wyleciała spora kolekcja noży, mieczy, pałek i maczug.

- Niezłe, co? - zapytał cicho, a dwójka przytaknęła z entuzjazmem. Pyrrusanie i broń to jak cukierki i dzieci.

- Mając to wszystko, jesteśmy równie dobrze uzbrojeni jak reszta, a prawdę mówiąc - lepiej, bo każdy Pyrrusanin wystarczy za trzech barbarzyńców. Wydaje mi się, że mamy większe szansę. Z wyjątkiem jednego lub dwóch przedmiotów, są to wszystko kopie miejscowych wyrobów, tyle że z lepszej stali. No, oddajcie teraz broń.

Tym razem pistolet pojawił się tylko w rękę Grifa, ale i on po chwili namysłu go\* schował. Upłynęło piętnaście minut kłótni przeplatanej słodkimi pochlebstwami, nim Meta z wielką niechęcią dała się przekonać o konieczności rozstania z bronią. Kolejną godzinę zajęło rozbieranie chłopca. W końcu Jason nalał pełne kubki char swoim nieszczęśliwym partnerom, którzy na pocieszenie ściskali w dłoniach miecze.

- Wiem, że to paskudztwo - powiedział na widok skrzywionych twarzy pijących. - Nie musicie tego lubić, ale chociaż nauczycie się nie wyglądać tak, jakby próbowano was otruć.

Pomijając tęskne spojrzenia, które od czasu do czasu oboje rzucali na puste miejsca po kaburach, Pyrrusanie niemal pogodzili się z

utrata broni. Jason rozwinął futrzane śpiwory i wyłączył piecyk.

- Pora spać - zarządził. - Musimy wstać o świcie, by dotrzeć do miejsca, gdzie znajduje się grupa koczowników zdrażających w kierunku głównego obozu Temuchina. Chcę się do nich przyłączyć, nabrać nieco wprawy w ich zbójckim rzemiośle i bez zbytniego rozgłosu dostać się do obozu.

Jason był na nogach jeszcze przed świtem. Zanim zbudził pozostałych, schował do skrzyni wszystkie "cywilizowane" przedmioty. Zostawił tylko trzy samo podgrzewające się porcje jedzenia.

Zaczęli się pakować. Szło im to dość opornie i Jason błogosławił niebiosa, że jego porywczy towarzysze są rozbrojeni. Zdjęli skórzane pokrycie camach i metalowe paliki, stanowiące szkielet namiotu, upadły na ziemię. Przywiązano je do ramy travois w ten sposób, aby utworzyły platformę, na której miała spocząć reszta bagażu. Słońce stało już wysoko, zanim zdołali wszystko załadować na wóz. Pasące się moropy wydawały głuche pomruki, kozy zaś porozłaziły się na wszystkie strony, szczypiąc lichą trawę. Meta spojrzała znacząco na zwierzęta. Jason zrozumiał tę niemą prośbę.

- Siadajcie - zdecydował - możemy zaprząć po posiłku.

Kiedy oderwał przykrywkę, ze środka zaczął wydobywać się smakowity zapach. Odłamali przymocowane do pakietu plastikowe łyżki i jedli w milczeniu.

- Obowiązek wzywa - oznajmił Jason, wyskrobując ostatni kęs mięsa. - Meta, weź nóż i wykop dołek. Musimy pozbyć się opakowań. Ja osiodłam moropy i zaprzęgnę jednego do escung.

- Grif, weź z góry ten koszyk i pozbieraj odchody moropów. Nie będziemy marnować opału.

- Co mam zrobić?!

Jason uśmiechnął się obłudnie i wskazał na ziemię obok wielkiego trawożericy.

- Nawóz. To, co tam leży. Będziemy to zbierać i suszyć. Od tej pory będziemy gotować na gnoju. - Zarzucił na plecy najbliższe siodło i udał, że nie słyszy odpowiedzi.

Mimo, że wiedzieli jak radzą sobie koczownicy i sami też mieli nieco praktyki, to jednak kierowanie moropami było dla nich wciąż wielką sztuką. Zwierzęta były nawet bardzo chętne, ale niewyobrażalnie głupie. Najlepiej reagowały na kopanie. Jeszcze zanim wyruszyli, cała trójka była kompletnie wyczerpana.

Jason otwierał pochód. Za nim jechała Meta. Grif siedział wysoko na wozie, odwrócony tyłem do kierunku jazdy i nie spuszczał oka ze stada kóz. Zwierzęta szły tuż za nimi, przyzwyczajone trzymać się blisko swych właścicieli, którzy dostarczali im niezbędną do życia sól i wodę.

Wczesnym popołudniem, gdy byli już znużeni drogą, a siodła dały im się dobrze we znaki, zobaczyli przed sobą przesuającą się chmurę kurzu.

- Siedzicie cicho i trzymajcie broń w pogotowiu - rozkazał Jason. - Ja będę rozmawiał. Przysłuchujcie się uważnie językowi, żebyście potem mogli sami sobie dać radę.

Obcy zbliżyli się tak, że można było dostrzec ciemne figurki moropów i małe plamki kóz rozproszonych za nimi.

Trzy wierzchowce oderwały się od większej grupy i popędziły w ich stronę.

Jason podniósł rękę, dając swoim sygnał do zatrzymania, po czym z całej siły szarpnął za cugle. Jakiś impuls musiał chyba dotrzeć do małego mózdzku zwierzęcia, bowiem wzdrygnęło się, stanęło i zaczęło spokojnie żuć trawę. Jason obluzował nóż w pochwie. Zauważył, że Meta odruchowo sięga po broń.

Jeźdźcy zatrzymali się tuż przed nimi. Ich przywódca miał czarną, brudną brodę i tylko

jedno oko. Czerwony, krwawy oczodół sugerował, że musiało być wylupione niedawno. Głowę zdobił mu pogięty, metalowy hełm, zwieńczony czaszką jakiegoś długozębnego gryzonia.

- Kim jesteś, kuglarzu? - zapytał, przerzucając z ręki do ręki maczugę nabijaną ćwiekami. - Dokąd zmierzasz?

- Jestem Jason, śpiewak pieśni, opowiadacz baśni w drodze do obozu Temuchina. A ty, kim jesteś?

Mężczyzna chrząknął i podlubał w zębach poczerniałym gwoździem.

- Shamin z plemienia Szczurów. Jak pozdrawiasz Szczury?.

Jason nie miał bladego pojęcia jak się pozdrawia Szczury.

Na myśl przychodziło mu jedynie kilka najzupełniej niestosownych uwag. Zauważył, że pozostali mieli na hełmach podobne czaszki, niewątpliwie czaszki szczurów - symboli ich plemienia. Prawdopodobnie każdy ze szczurów miał inny totem. Pamiętał jednak, że Oariel nie używał takiej ozdoby, więc przypuszczalnie kuglarze pozostawali poza plemiennymi waśniami.

- Szczury pozdrawiam słowem: „witaj” - improwizował. - Wielu moich przyjaciół to Szczury.

- Czy walczyłeś w waśniach rodowych przeciwko Szczurom?

- Nigdy! - odrzekł Jason, oburzony tym podejrzeniem.;

Shamin wydawał się zadowolony i powrócił do dłubania w zębach.

- My również jedziemy do Temuchina - powiedział, nie wyjmując palca z ust. - Słyszałem, że ma zamiar uderzyć na Łasice z gór, więc idziemy się przyłączyć. Pojedziesz z nami. Dziś wieczorem będziesz dla mnie śpiewać.

- Ja też nienawidzę tych górali. Będę śpiewał wieczorem. Na gardłowy rozkaz trójka mężczyzn,

zatoczyła koło i odjechała galopem. To było wszystko. Grupka Jasona ruszyła za nimi. Z wolna dołączyli do sunącej karawany moropów, jednak trzymali się z tyłu, by ich kozy nie pomieszały się z innymi.

- Oto, do czego są potrzebne kozy - powiedział Jason, krztusząc się w chmurze pyłu.

- Gdy tylko się zatrzymamy, chcę byście zabezpieczyli nasze zwierzęta, żeby nie zgubiły się w ich stadzie.

- Nie zamierzasz mi pomóc? - spytała Meta chłodno.

- Bardzo chciałbym, ale to jest prymitywna, patriarchalna społeczność i takich rzeczy się po prostu nie robi. Moją działkę odrobuję w namiocie, ale nie na oczach wszystkich.

Nie jechali długo, co przybysze spoza planety przyjęli z należytym uznaniem. Do celu - opuszczonej studni dotarli wczesnym popołudniem. Jason, zeszywniały i poobijany, zsunął się z siodła. Kulejąc zaczął chodzić w kółko, by przywrócić czucie w zdrętwiałych nogach.

Meta z Grifem popędzali odporne kozy. Skłoniło to Jasona do przechadzki po obozie, by uniknąć morderczych spojrzeń dziewczyny. Zaciekawiała go studnia. Podszedł ją obejrzeć. Musiało chyba istnieć jakieś tabu, które zabraniało kobietom przystępu do wody. Wokół niej zgromadzili się tylko mężczyźni i chłopcy. Usuwali stos kamieni, którymi przysypano studnię. Po chwili odsłonili pokrywę z kutego żelaza. Dla zabezpieczenia przed korozją była grubo pokryta tłuszczem, jednak kamienie uszkodziły nieco warstwę ochronną i wzdłuż ryz formowały się delikatne pasma rdzy. Kiedy ją zdjęli, jeden z mężczyzn nasmarował ją ponownie z obu stron. Sama studnia miała około metra średnicy i była bardzo głęboka. Od wewnątrz wyłożono ją kamieniami dopasowanymi tak dokładnie, że trzymały się bez zaprawy. Była bardzo stara i zniszczona. Stulecia

wyżłobiły w kamieniach wokół otworu głębokie bruzdy. Jason zastanowił się, kto mógł ją wykopać.

Czerpanie wody odbywało się w najbardziej prymitywny sposób, za pomocą żelaznego wiadra na skórzanej linie. Mógł przy tym pracować tylko jeden człowiek, który pochylony nad cembrowina, cal za calem wyciągał linę. Była to ciężka praca i mężczyźni często się zmieniali. Inni stali dookoła i rozmawiali lub odnosili do swoich camachów napełnione wodą bukłaki. Jason zajął swoje miejsce przy linie, po czym wrócił do namiotu popatrzeć jak postępuje praca.

Kozy były już powiązane. Meta i Grif rozstawili żelazny szkielet camachu i właśnie walczyli ze skórzanym pokryciem. Jason swoją pomoc ograniczył do zdjęcia z wozu kutra. Skrzynia zrobiona była ze zniszczonych skór, lecz w środku znajdował się metalowy pojemnik. Zamek otwierał się jedynie na odciski palców ich trojga. Jason usiadł na nim i mrużąc pod nosem jakąś pieśń, zaczął brzdąkać na dwustronnej lutni. Była ona wierną kopią instrumentu minstrela. Przechodzący tubylec zatrzymał się i zaczął przyglądać wznoszeniu camachu. Jason rozpoznał w nim jednego z jeźdźców, którzy wcześniej przecięli im drogę. Zdecydował się nie zwracać na niego uwagi. Nucił własną wersję jednej z pijackich piosenek załóg kosmicznych.

- Dobra, silna kobieta, ale głupia. Nie umie postawić camachu - odezwał się nagle koczownik, wskazując kciukiem Metę.

Jason nie miał pojęcia jak powinien zareagować, więc milczał. Mężczyzna stał, drapiąc się po brodzie i najwyraźniej podziwiał dziewczynę.

- Potrzebuję mocnej kobiety. Dam ci za nią sześć kóz. Jason zauważył, że koczownik podziwia nie tylko siłę dziewczyny. Meta, rozgrzana pracą, zdjęła futrzane okrycie. Jej



smukłe kształty były na pewno bardziej pociągające, niż kanciaste, krępe sylwetki tutejszych kobiet. Włosy miała czyste, zdrowe zęby, gładką cerę. Mogła się podobać.

- Nie zechcesz jej - odrzekł-śpi długo, je za dużo. Drogo kosztuje. Zapłaciłem za nią sześć kóz.

- Dam ci za nią dziesięć - powiedział wojownik, zbliżając się do dziewczyny. Chwytał ją za ramię i przyciągnął do siebie, chcąc się lepiej przyjrzeć.

Jason zdrętwiał. Kobiety koczowników były pewnie przyzwyczajone do takiego traktowania, ale na pewno nie Meta. Spodziewał się awantury, dziewczyna zaskoczyła go jednak. Uwolniła się spokojnie i wróciła do pracy.

Chodź tutaj - powiedział do mężczyzny. Musiał przerwać ten incydent, nim będzie za późno. - Chodź, napijemy się, mam dobre achadh.

Spóźnił się. Wojownik krzyknął z gniewu, że słaba kobieta ośmieliła się mu sprzeciwić. Uderzył ją pięścią w skroń, po czym znowu przyciągnął do siebie. Meta odwróciła się i unosząc ramię szybkim ciosem trafiła go w krtań. Stała, gotowa do walki, podczas gdy mężczyzna zgięty w pół kaszlał ochryple, plując krwią.

Jason chciał skoczyć na przód, ale zanim zdołał zrobić najmniejszy ruch, było już po wszystkim. Wojownik miał niezły refleks, lecz Meta była szybsza. Mocno chwyciła obiema rękoma nadgarstek przeciwnika, obracając się jednocześnie wokół własnej osi, tak że nóż przeszedł obok niej. Dalszy obrót spowodował, że wykręcona ręka znalazła się na plecach napastnika. Dziewczyna zwiększyła ucisk i broń wypadła z bezsilnych palców mężczyzny. Mogła w tym momencie przerwać walkę, ale pochodziła z Pyrrusa. Zanim nóż dotknął ziemi, chwyciła go i po rękojeść zatopiła w plecach wojownika. Uwolnione z uchwytu, znieruchomiałe ciało osunęło się na ziemię.

Jason usiadł na skrzyni. Jego palec wskazujący dotknął niby od niechcienia płytki zamka. Usłyszał lekkie szczerknięcie, gdy mechanizm zadziałał.

Walce przyglądała się spora grupka widzów. W powietrzu rozległ się pomruk zdziwienia. Jedna z kobiet podeszła bliżej i uniosła ramię mężczyzny. Puszczono, opadło bezwładnie.

- Nie żyje - powiedziała ze zdumieniem, patrząc na Metę.

- Ej, wy dwoje - krzyknął Jason do przyjaciół, używając własnego "plemiennego języka", którego tłum nie rozumiał - trzymajcie broń w pogotowiu i nie oddalajcie się. Gdyby zrobiło się naprawdę gorąco, to tutaj macie pistolety i granaty gazowe. Lecz jeśli ich użyjemy, będziemy musieli albo wiać, albo wziąć do niewoli całe plemię. Zostawmy to lepiej na koniec.

Shamin na czele dwudziestki wojowników przepchnął się przez tłum i z niedowierzaniem spojrzął na martwego wojownika.

- Twoja kobieta zabiła go jego własnym nożem?

- Tak, ale to była jego własna wina. Ona tylko się broniła. Spytaj kogokolwiek.

Z tłumy dobiegł potakujący pomruk. Wódz wydawał się bardziej zaskoczony niż zły. Patrzył to na zwłoki, to na Metę, po czym podszedł do niej dumnym krokiem. Ujawszy dziewczynę pod brodę zaczął obracać jej głowę, poddając ją dokładnym oględzinom. Zacisnęła pięści, aż pobielewały jej kostki, ale trzymała się.

- Z jakiego jest plemienia? - zapytał Shamin.

- Z daleka, z gór na północy. Zwa się... Pyrrusowie. Bardzo dzielni wojownicy. Shamin chrząknął.

- Nigdy o nich nie słyszałem. Jaki mają totem? "Rzeczywiście, jaki?" - Jason myślał gorączkowo. Nie mógł to być szczur ani łasica. Jakie jeszcze zwierzęta widzieli w górach?

- Orzeł - ogłosił z nadmierną pewnością siebie. Widział raz w górach coś, co przypominało orła krążącego wysoko nad szczytami.

- Bardzo silny totem - Shamin był najwyraźniej pod wrażeniem. Spojrzał na trupa i trącił go nogą. - Miał moropa i trochę futer. Kobieta nie może ich dostać.

Spojrzał chytrze na Jasona, czekając na odpowiedź. Kobiety same były własnością, nie mogły więc niczego posiadać, a zdobycz należała się zwycięzcy. "Lecz nikt nie powie, że dinAlt nie jest szczodry" - pomyślał Jason. Zwłaszcza, gdy chodzi o zeszkapiałego moropa i stare futro.

- Oczywiście wszystko jest twoje Shamin. Tylko tak może być. Przez myśl mi nie przeszło, że mogę to zabrać, o nie! Moją kobietę zbiję dziś wieczorem za to, co zrobiła.

To była prawidłowa odpowiedź. Shamin przyjął dary jak coś oczywistego.

- Nie był dobrym wojownikiem, skoro zabiła go kobieta. Ale ma dwóch braci.

To była najwyraźniej przestroga i Jason wziął ją sobie do serca. Ludzie rozeszli się, zabierając zwłoki ze sobą. Meta i Grif skończyli ustawianie camochu i zaczęli wnosić rzeczy do środka. Jason sam wtaszczył kufer, po czym wysłał Grifa,

by przyprowadził kozy bliżej moropów. Zabójstwo mogło oznaczać kłopoty. Tak też się stało i to szybciej niż przypuszczał. Na zewnątrz dały się słyszeć głucho uderzenia. Ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk. Jason rzucił się do wyjścia, ale jego pomoc nie była już potrzebna.

Sześciu chłopców - pewnie krewnych zabitego - postanowiło swoją zemstę wykonać na Grifie. Byli starsi i więksi od niego, zaplanowali więc szybki atak i ucieczkę.

Nie wszystko poszło jednak zgodnie z planem.

Trzech chwyciło Grifa, podczas gdy reszta zabierała się do bicia. Teraz dwóch z nich leżało nieprzytomnych na ziemi, po tym jak Grif stuknął ich głowami. Trzeci, kopnięty w jądra, zwijał się z bólu. Grif klęczał na szyi czwartego, usiłując jednocześnie piątemu złamać nogę, wykręcając ją na plecy. Szósty próbował uciec, podczas gdy Grif szukał noża, by mu w tym przeszkodzić.

- Tylko nie nóż - krzyknął Jason, kopniakiem ułatwiając zbiegowi ucieczkę. - Mamy dość kłopotów bez kolejnego trupa.

Grif, pozbawiony dodatkowej przyjemności, zadowolili się słuchaniem zdławionego jęku obu ofiar. Potem wstał i patrzył, jak ocaleni kulejąc opuszczają pole walki. Sam wyszedł praktycznie bez szwanku, jeśli nie liczyć podbitego oka i rozdartego rękawa. Jason, przemawiając uspokajająco, zdołał zaprowadzić go do camachu, gdzie Meta przyłożyła zimny kompres na podbite oko, Jason zasnurował wejście patrząc na swych, wciąż jeszcze wzburzonych Pyrrusan.

- Nieźle, jak na początek - powiedział, wruszając ramionami - można powiedzieć, że mieliśmy mocne wejście.

## Rozdział VIII

Choć błyskawica były ich miecze  
ginęli niezliczonym mrowiem.  
Lot strzał przemówił do obcych  
każąc opuścić nasze pastwiska.

- Mówię ja, głos Temuchina, gdyż ja jestem  
Ahankk, wódz - powiedział wojownik, wdzierając  
się do camachu Shanina.

Jason z ulgą przerwał swą "Balladę o  
latających obcych" i odwrócił się, by  
zobaczyć, kto spowodował tę upragnioną pauzę.  
Zaczynało go już boleć gardło i był zmęczony  
powtarzaniem w kółko tej samej pieśni. Jego  
sprawozdanie z klęski statku stało się wielkim  
hitem w obozowisku.

Przybysz był wojownikiem wysokiej rangi, o  
czym świadczył jego hełm i napierśnik -  
błyszczący jak nowy i ozdobiony kilkoma grubo  
szlifowanymi kamieniami.

Wszedł dumnym krokiem i stanął w rozkroku  
przed Shaninem, z dłonią spoczywającą na  
rękojeści miecza.

- Czego chce Temuchin? - zapytał chłodno  
Shanin, chwytając za własny miecz. Nie  
podołały mu się maniery gościa.

- Będzie słuchał minstrela imieniem Jason. Ma  
się on stawić natychmiast.

Oczy Shanina zmieniły się w waziutkie szparki.

- On śpiewa teraz do mnie. Gdy skończy,  
przybędzie do Temuchina. - Dokończ pieśni -  
powiedział, zwracając się do Jasona.

Wodzowie koczowników czują się równi i trudno  
ich przekonać, by zmienili zdanie, jednak  
Temuchin i jego oficerowie mieli duże  
doświadczenie oraz skuteczne argumenty. Ahankk  
gwizdnął przeraźliwie i do camachu wpadł

oddział uzbrojonych po zęby żołnierzy z napiętymi łukami.

Shamin dał się przekonać.

- Znudziło mnie to zawrodozenie - oznajmił, odwracając się z szerokim ziewnięciem. Będę teraz pić achadh z jedną z moich kobiet. Wszyscy - precz!

Jason wyszedł, otoczony gwardią honorową i skręcił w stronę swego camachu. - Temuchin będzie cię słuchać teraz! Idź tędy!

- Zabierz łapy - syknął Jason tak, żeby nie słyszeli go najbliżej stojący żołnierze. - Muszę przywdziać swój najlepszy strój i założyć nową strunę do lutni, bo ta ledwie się trzyma.

- Pójdiesz teraz - głośno stwierdził Ahankk, popychając go.

- Najpierw pójdziemy do mojego camachu. To tutaj, blisko - powiedział Jason równie głośno, jednocześnie chwytając mężczyznę za kciuk. Ten chwyt był zawsze skuteczny. Oficer szarpał się i opierał, usiłując uwolnić, a jednocześnie lewą ręką sięgał po miecz.

- Jeśli wyciągniesz miecz, zabiję cię tym nożem, który przyłożyłem ci właśnie do brzucha! - ostrzegł Jason, trzymając pod pachą lutnię i przyciskając jej kościany gryf do żołądka Ahankka. - Temuchin powiedział: "Przyprowadź go", a nie: "Zabij go". Rozgniewa się, jeśli będziemy walczyć. No, co wolisz? Oficer wahał się jeszcze przez chwilę, gniewnie zaciskając usta, po czym schował miecz.

- Pójdziemy najpierw do twojego camachu, byś mógł przywdziać coś bardziej stosownego niż te łachy - rozkazał głośno.

Jason puścił wojownika i cofnął się nieco. Ruszył lekko odwrócony, by mieć go na oku. Mężczyzna szedł obok niego dość spokojnie, zajmując się obolałą ręką, ale w spojrzeniu, jakim go obrzucił, była czysta nienawiść. Jason wzruszył ramionami.

Zyskał nowego wroga - to było oczywiste - ale musiał pójść do camachu.

Podróż z Shaninem i jego szczepem była wyczerpująca, ale niezbyt bogata w wydarzenia. Krewni zabitego nie sprawiali więcej kłopotów. Jason wykorzystał ten czas na doskonalenie swej sztuki i obserwacje kultury nomadów. Do obozu Temuchina dotarli tydzień później i rozbili tam swój camach.

Słowo "obóz" nie było najlepszym określeniem, gdyż koczownicy byli rozrzućeni na przestrzeni wielu mil wzdłuż brudnego, zaśmieconego strumienia. Nazywali go dumnie rzeką. Właściwie był to i tak największy potok na tych równinach. Pożywienia było zawsze niewiele i zwierzęta musiały o nie walczyć. Każde z plemion potrzebowało więc sporo miejsca. Obóz wojskowy znajdował się w centrum tych osad. Jason jeszcze tam nie zaszedł i wcale nie palił się do odwiedzin. Wolał na razie obserwować życie na obrzeżach. Później planował penetrację w sercu terytorium wroga. Poza tym Temuchin już raz go widział, a wyglądał na człowieka obdarzonego doskonałą pamięcią. Skóra Jasona była teraz ciemniejsza, a dzięki odpowiednim tabletkom gęste, sumiaste wasy zwisały mu już niemal do podbródka. Od Teca dostał jeszcze specjalne wkładki, zmieniające kształt nosa. Miał nadzieję, że to wystarczy, by Temuchin go nie rozpoznał.

- Wstawać, śpiochy - krzyknął, odrzucając klapę wejściową swego camachu. - Mam stanąć przed wielkim Temuchinem i muszę się odpowiednio przyodziać.

Meta i Grif chłodno spojrzeli na wchodzących i nie raczyli nawet wstać.

Ruszcie się trochę - powiedział Jason w języku Pyrrusan. - Zakrzętnijcie się, żeby wyglądało, że jesteście pod wrażeniem tej wizyty. Podajcie temu pajacowi coś do picia i postarajcie się odwrócić jego uwagę.

Ahankk przyjął napój, ale nadal nie spuszczał oczu z Jasona.

- Masz - Jason wręczył lutnię Grifowi - załóż do niej nową strunę, albo przynajmniej udawaj, że to robisz, jeśli jej nie możesz znaleźć. I nie wściekaj się, że cię popycham. To tylko część przedstawienia.

Grif skrzywił się, ale poza tym zachował się zupełnie poprawnie. Jason zrzucił kurtkę, nałożył świeży tłuszcz na twarz i trochę na włosy. Potem otworzył skrzynię. Sięgnął po najlepsze okrycie jednocześnie ukrywając w dłoni jakiś drobny przedmiot.

- Słuchajcie uważnie rzekł - zabierają mnie do Temuchina i nic na to nie poradzę. Wziąłem jeden dentinofon, a wam zostawiam dwa. Weźcie je. kiedy tylko wyjdę. Bądźcie w kontakcie. Nie wiem jak wypadnie to przesłuchanie, ale gdyby były jakieś kłopoty, chcę, byśmy nie tracili łączności. Może będziemy musieli działać szybko. Nie wpadnijcie w panikę. Jeszcze ich dostaniemy.

Wskoczył w ubranie i krzyknął:

- Dawać mi tu lutnię. Szybko! Jeśli będą jakieś kłopoty, stłukę was oboje!

Jechali luźną grupą i może tylko przypadkiem żołnierze otoczyli ze wszystkich stron Jasona. Może. Cóż takiego mógł usłyszeć Temuchin i dlaczego chciał go widzieć? Rozważania te nie miały sensu. Jason próbował odsunąć od siebie męczące myśli i skupić się na obserwacji otoczenia, niestety bez skutku.

## Rozdział IX

Kiedy dotarli do obozu Temuchina, słońce było już nisko nad horyzontem. Pomiędzy ustawionymi



w równych rzędach namiotami widać było grupki żołnierzy.

Nagle ujrzeli szerokie przejście. Na jego końcu stał ogromny, czarny camach. Prowadził do niego szpaler zbrojnych wojowników. Jason nie potrzebował żadnych wyjaśnień, by stwierdzić, czyja to siedziba. Zsunął się z moropa, wziął lutnię pod pachę i ruszył dumnym krokiem.

Ahankk wszedł pierwszy, by zapowiedzieć ich przybycie. Gdy tylko odwrócił się, Jason wsunął ukradkiem do ust dentinofon i językiem wcisnął go we właściwe miejsce ~ nad górnym trzonowym zębem. Pasował idealnie. Zasilanie uruchomiła ślina.

- Uwaga, sprawdzam. Jak mnie słyszycie? - szepnął pod nosem.

Superminiaturowe urządzenie miało automatyczną regulację wzmocnienia i mogło nadawać wszystko - od szeptu do krzyku.

- Głośno i wyraźnie - zabrzmiał mu w uchu głos Mety, niesłyszalny dla nikogo poza nim. Odbiornik przetwarzał sygnał radiowy na drgania mechaniczne, które poprzez zęby przenosiły się do kości czaszki, a następnie do ucha.

Przechodź dalej - Ahankk szarpnął go za ramię. Jason zignorował go i sam podszedł do mężczyzny, siedzącego w fotelu z wysokim oparciem. Temuchin rozmawiał właśnie z dwoma oficerami i nie patrzył w jego stronę. Jason nie mógł opanować zdumienia, gdy zobaczył z czego zrobiono tron. Było to siedzenie od traktora, ustawione na pozbawionych zamków strzelbach, z których skonstruowane było też oparcie. Karabiny związane sznurem ze ścięgien zwierzęcych, a na nich nanizane były zmumifikowane kciuki. Z niektórych pozostały już tylko kostki, z innych zwisały poczerńiałe resztki mięsa. Temuchin - to znaczy Zabójca Najeźdźców.

Jason podszedł bliżej. Wódz odwrócił głowę, mierząc go obojętnym, zimnym wzrokiem. Jason uklonił się. Chciał w ten sposób raczej uniknąć wzroku, niż okazać uległość. Czy go rozpozna? Nagle wkładki w nosie i opadające wasy wydały mu się marnym przebraniem. Mógł to zrobić lepiej. Temuchin już go kiedyś widział i to z bliska. Rozpozna go na pewno. Jason powoli się wyprostował. Wódz wciąż wpatrywał się w niego chłodnym, przesywającym wzrokiem, ale nic nie powiedział.

Jason wiedział, że powinien milczeć i pozwolić, by Temuchin przemówił pierwszy. Ale czy na pewno? Gdyby występował tu we własnym imieniu, to w tym momencie spróbowałby zbić z tropu przeciwnika i szybko wykorzystać przewagę. Wytrzymać jego spojrzenie i zmusić do uległości. Ale na pewno nie tego oczekiwano od wędrownego grajka. Minstrel musi z pewnością czuć się niepewnie, bez względu na wszystko.

- Czym zasłużyłem sobie na ten honor, że raczyłeś posłać po mnie, Wielki Temuchinie? - Jason ponownie się uklonił. - Chcesz posłuchać mych pieśni?

- Nie - zimno odparł Temuchin.

Jason uniósł brwi: pozwolił sobie na okazanie lekkiego zdziwienia.

- Żadnych pieśni? Czegóż więc wódz ludów może chcieć od biednego wędrowca?

Temuchin obrzucił go lodowatym spojrzeniem. Jason zastanowił się, do jakiego stopnia jest ono prawdziwe, a na ile zrećźnie wystudiowanym, teatralnym gestem.

- Chcę informacji - powiedział Temuchin.

W tym samym momencie ożył dentifon w ustach Jasona. Usłyszał głos Mety:

- Jason mamy kłopoty. Jacyś zbrojni chcą, byśmy wyszli z namiotu. Groza, że w przeciwnym wypadku nas zabiją.

- Obowiązkiem mistrela jest opowiadać i uczyć. Co chciałbyś wiedzieć? - Jednocześnie szepnął:

- Żadnych pistoletów! Walczcie z nimi, ja sprowadzę pomoc.

- Co to było? - Temuchin pochylił się groźnie.

- Co tam szepczesz?

- Nic, nic. To tylko... - Nagle z przerażeniem uświadomił sobie, że w języku „pomiędzy” nie może powiedzieć: "tik nerwowy". - To taki... zwyczaj grajków. Powtarzam po cichu słowa pieśni, żeby nie zapomnieć.

Temuchin cofnął się. Głęboka zmarszczka przecięła mu czoło, najwyraźniej nie był zachwycony tymi ćwiczeniami podczas audiencji. Jason zresztą również. Ale jak inaczej mógł pomóc Grifowi i Mecie?

- Wdzierają się do środka! - zabrzmiał krzyk dziewczyny.

- Opowiedz mi o plemienu Pyrrusan - rozkazał wódz. Jason zaczął się pocić. Temuchin musiał mieć w plemienu Szczurów swego szpiega lub sam Shamin udzielił mu informacji. Tymczasem krewni zabitego, wiedząc, że nie ma go w obozie, najprawdopodobniej usiłowali się zemścić.

- Pyrrusanie to po prostu takie plemię. Dlaczego pytasz?

- Coo? - Temuchin skoczył na równe nogi, chwytając za miecz. - Śmiesz mi zadawać pytania?

- Jason.

- Czekaaj, nic - Jason poczuł, jak pod warstwą tłuszczu na twarzy zaczynają formować się kropelki potu. - źle się wyraziłem. Przeklęty język „pomiędzy”. Co pragnąłbyś usłyszeć? Powiem wszystko, co wiem.

- Jest ich coraz więcej. Mają tarcze i miecze. Zaatakowali Grifa! Wszyscy! - W głosie Mety zabrzmiała rozpacz.

- Nigdy nie słyszałem o tym plemienu. Gdzie wypasają swoje stada?

- W górach... na północy, w dolinach, daleko, no wiesz...

- Grif leży. Nie dam rady im wszystkim! - znowu krzyk Mety.

- Co to znaczy? Co ukrywasz? Może jeszcze nie znasz praw Temuchina. Dla tych co ze mną - nagroda, dla tych, co przeciw - śmierć. A dla zdrajców - śmierć powolna.

- Powolna śmierć - powtórzył Jason, na próżno czekając na dalsze wiadomości. Temuchin chwilę milczał.

- Nie jesteś zbyt rozmowny, grajku, i coś mi się w tobie nie podoba. Zaraz zobaczysz coś, co rozwiąże ci język. Klasnął w dłonie i jeden z oficerów wystąpił do przodu.

- Sprowadźcie Daei.

Jason ze zdumieniem patrzył na człowieka, którego wniesiono na noszach i posadzono przed nim. Mężczyzna miał wokół szyi zaciśniętą pętlę. Nawet nie próbował jej rozluźnić, gdyż w miejscu, gdzie powinny znajdować się palce, pozostawały jedynie świeże kikuty. Podobnie wyglądały jego stopy.

- Powolna śmierć - powiedział Temuchin, uważnie wpatrując się w Jasona. - Daei porzucił mnie w czasie bitwy z plemieniem Łasic. - Codziennie pozbawiam go fragmentu każdej z kończyn. Oto dzisiejsza część wyroku. Wódz podniósł rękę. Żołnierze przytrzymali nieszczęśnika, chociaż i tak nie stawiał oporu. Cienkie rzemienie związane ciasno wokół kostek i nadgarstków wrzynały się głęboko w ciało. Jego ramię przyciśnięto do ziemi. Jeden z żołnierzy rąbnął w nie toporem. Dłoń odpadła, bluzgając krwią. Oprawcy metodycznie zajęli się drugą ręką, a następnie stopami.

- Jak widzisz, ma jeszcze dwa dni - rzekł Temuchin. - Jeśli będzie dość silny, by tego doczekać, trzeciego dnia może okaże mu łaskę. A może nie. Słyszałem o takim, który rok czekał na swój ostatni dzień.

- Bardzo interesujące - powiedział Jason. - Słyszałem o tym zwyczaju, ale jakoś wyleciało mi to z głowy. - Musiał coś zrobić i to

szybko. Na zewnątrz słychać było tupot moropów i krzyki mężczyzn. - Słyszałeś? Ktoś gwizdał! - Oszalałeś?!

Temuchin był wyraźnie rozgniewany. Machnął ręką ze złością i nieprzytomny człowiek został wyniesiony z namiotu, a odrąbane członki kopnięto w kąt.

- Tam ktoś gwizdał - powiedział Jason, idąc do wyjścia. - Muszę na chwilę wyjść. Zaraz wracam.

Wszyscy oficerowie, łącznie z Temuchinem, zaniemówili z wrażenia. Nikt dotąd nie potraktował wodza w ten sposób.

- Tylko chwileczkę.

- Stać! - ryknął Temuchin, ale Jason był już przy wyjściu. Strażnik zastąpił mu drogę jednocześnie dobywając miecza, ale Jason pchnął go silnie i wyszedł. Wojownicy na zewnątrz nie zwrócili na niego uwagi nieświadomi tego, co się działo w środku. Szybko, ale niby to przypadkiem, Jason skręcił w prawo i dopadł rogu camachu, zanim jego prześladowcy wyskoczyli na zewnątrz i ruszyli w pogoń. Jason skręcił za narożnik i pełną parą pognał wzdłuż bocznej ściany. W przeciwieństwie do mniejszych, okrągłych camachów, ten był prostokątny i Jason dał nura za następny róg, zanim wściekła harda zdążyła zobaczyć, gdzie zniknął. Zwolnił dopiero, gdy dobiegł znowu do ściany frontowej i zza ostatniego rogu wyszedł już wolnym krokiem. Pogoń popędziła w przeciwnym kierunku. Strażnicy, którzy stali przy wejściu zniknęli, a reszta patrzyła w drugą stronę. Jason spokojnie zbliżył się do wejścia i wszedł do środka. Temuchin, który wściekły chodził tam i z powrotem po namiocie, nagle zdał sobie sprawę z jego obecności.

- Świetnie - krzyknął. - Macie go? To ty?! - Odskoczył do tyłu, błyskawicznym ruchem wyciągając miecz.

- Jestem twym lojalnym sługą, Temuchinie - powiedział z naciskiem Jason, składając ręce na piersiach. Nie cofnął się. - Przyszedłem ci donieść, że wśród twych plemion wybuchł bunt. Temuchin nie uderzył, ale i nie opuścił miecza.

- Mów szybko. Śmierć wisi nad tobą.

- Wiem, że zakazałeś swym poddanym prywatnych waśni rodowych, ale są tacy, którzy chcieliby zamordować moją kobietę, ponieważ zabiła mężczyznę, który ją zaatakował. Byłem z nią od czasu, kiedy to się stało - do dzisiaj. Prosiłem zaufanego człowieka, by miał na nią oko i doniósł mi, gdyby coś się stało. Usłyszałem jego gwizd, bo nie śmiał wejść do namiotu Temuchina. Właśnie przed chwilą z nim mówiłem. Mój camach zaatakowali zbrojni, którzy porwali służących. Sądziłem, że wszystkich, którzy idą za Temuchinem, obowiązuje jedno prawo. Czyżbym się mylił, Temuchinie?

Za plecami Jasona rozległ się głośny tupot, gdy pogoń wpadła do namiotu. Widząc Jasona i Temuchina, wciąż jeszcze trzymającego wzniesiony miecz, zatrzymali się, wpadając na siebie. Wódz mierzył Jasona wzrokiem. W końcu opuścił broń.

- Ahankk - ryknął i wojownik skoczył do przodu. - Weź dwa razy po dwie dłonie żołnierzy i pędź do plemienia Shanina z klanu Szczurów.

- Mogę mu wskazać drogę - przerwał Jason. Temuchin skoczył do niego, przysuwając swą twarz tak blisko, że Jason poczuł na policzkach jego oddech.

- Odezwij się jeszcze raz bez pozwolenia, a zginiesz.

Jason tylko kiwnął głową. Wiedział, że przeszarżował. Po chwili Temuchin odwrócił się do oficera.

- Jedź natychmiast do Shanina i przyprowadź tych, którzy porwali służących Pyrrusanina.

Zabierz wszystkich, których tam znajdziesz, najlepiej żywych.

Ahankk zasalutował już w biegu - w hordzie Temuchina wyżej ceniono posłuszeństwo niż dobre manieri.

Temuchin wściekły chodził tam i z powrotem. Oficerowie i żołnierze ukradkiem wymknęli się z namiotu lub stanęli pod jego ścianami. Tylko Jason się nie poruszył - nawet wtedy, gdy rozgniewany wódz stanął przed nim, wymachując pięścią.

- Dlaczego ci na to pozwalam! - powiedział z zimną furją. - Dlaczego?

- Czy mogę odpowiedzieć? - cicho zapytał Jason.

- Gadaj! - ryknął Temuchin, wisząc nad nim niczym spadający głaz.

- Opuściłem wielkiego Temuchina, gdyż tylko w ten sposób mogłem być pewien, że sprawiedliwości stanie się zadość. Pozwolił mi na to fakt, który ukryłem przed tobą.

Temuchin nic nie powiedział, chociaż oczy mu błyszczały gniewem.

- Rybalki nie mają plemienia, nie noszą totemu. Tak być powinno, bo przenoszą się z plemienia do plemienia i nie powinni należeć do żadnego z nich. Lecz muszę ci powiedzieć, że urodziłem się w plemieniu Pyrrusan. Kazali mi odejść i dlatego zostałem pieśniarzem.

Temuchin nie zniżyłby się do tak oczywistego w tej sytuacji pytania, więc Jason nie wystawiał jego ciekawości na próbę.

- Musiałem odejść, bo - ciężko mi to wyznać - w porównaniu z innymi byłem słaby... i tchórzliwy...

Temuchin zachwiał się lekko. Jego twarz nabiegła krwią. Pochylił się do przodu, otworzył usta i ryknął śmiechem..

Wciąż rechocząc podszedł do tronu i ciężko opadł na siedzenie. Nikt z obecnych nie wiedział, jak się zachować. Jason pozwolił sobie na leciutki uśmiech, ale nic nie

powiedział. Temuchin skinął na służącego , który stał z bukłakiem achadh i opróżnił naczynie jednym haustem. Zachichotał, po chwili zamilkł. Znowu był chłodny i opanowany. - Rozbawiłeś mnie - powiedział - nie mam zbyt wiele okazji do śmiechu. Jesteś bystry. Może nawet za bardzo. Pewnego dnia możesz z tego powodu umrzeć. No, opowiedz mi teraz o tych twoich Pyrrusanach.

- Żyjemy na północy, w górskich dolinach i rzadko schodzimy na równiny. - Jason pracował nad tą historyjką od chwili, gdy po raz pierwszy przyłączył się do koczowników. Teraz przyszła pora ją wypróbować. - Mamy własne prawa i wierzymy w swoją siłę. Sami rzadko opuszczamy nasze doliny, ale też zabijamy każdego, kto wkroczy na nasze tereny. Jesteśmy Pyrrusanami z klanu Orła. Nasz totem jest znakiem naszej mocy, więc nawet kobieta potrafi gołymi rękami zabić wojownika z równin. Dowiedzieliśmy się, że Temuchin wprowadza prawo na równiny. Ja zostałem wysłany, by sprawdzić, czy to prawda. Jeśli tak, Pyrrusanie przyłączą się do Temuchina... Nagle obaj mężczyźni unieśli głowy, choć uczynili to z różnych powodów. Temuchin - ponieważ zaczął nasłuchiwać krzyków przybyłej grupy jeźdźców, Jason - bo w czaszce zabrzmiał mu wyraźny, choć cichy głos: "Jason!". Nie mógł poznać, czy należał do Mety, czy Grifa. Ahankk i jego wojownicy weszli do środka na wpół niosąc, na wpół wpychając więźniów. W dwóch jeńcach, z których jeden broczył krwią Jason rozpoznał nomadów z plemienia Shanina. Metę i Grifa pobitych i zakrwawionych wniesiono do środka i rzucono na ziemię. Nie ruszali się. Grif otworzył jedno, zdrowe oko, powiedział: ,,Jason" i znów stracił przytomność. Jason rzucił się do przodu, ale zdołał się opanować.



Zacisnął tylko mocno pięści, aż paznokcie wbiły się głęboko w ciało.

- Opowiadaj - rozkazał Temuchin. Ahankk wystąpił do przodu.

- Uczyniliśmy jak kazałeś, wodzu. Szybko dotarliśmy do plemienia i jeden z wojowników zaprowadził nas do camachu. Weszliśmy i walczyliśmy. Nikt nie uciekł, ale musieliśmy zabijać, by ich pokonać. Tych dwóch złapaliśmy. Oddychają, więc chyba żyją.

Temuchin w zamyśleniu drapnął się po brodzie. Jason zaryzykował.

- Czy Temuchin pozwoli, że zadam mu pytanie? Wódz rzucił mu długie, ciężkie spojrzenie, po czym skinął przyzwalająco.

- Jaka jest kara za bunt i prywatną zamstę w tym szczepie?

- Śmierć. Czyż może być inaczej?

- Pozwól więc, że odpowiem na pytanie, które wcześniej zadałeś. Chciałeś wiedzieć, jacy są Pyrrusanie. Ja jestem najsłabszy z nich. Pozwól mi zabić zdrowego jeńca. Uczynię to sztyletem, jedną tylko ręką i jednym ciosem - bez względu

na to jak będzie uzbrojony, nawet w miecz. Wygląda na dobrego wojownika.

- Dobrze - powiedział Temuchin, patrząc na wielkiego, barczystego mężczyznę, przerastającego Jasona o głowę. - Myślę, że to niezły pomysł.

- Przywiąż mi rękę - polecił Jason najbliższemu strażnikowi, zakładając lewą rękę do tyłu.

Ten człowiek i tak musiał umrzeć. Jego śmierć mogła się na coś przydać, będzie to jedyna dobra rzecz jakiej dokonał w swym życiu .., Jason, czyżbyś był hipokrytą?" - szepnął mu głos wewnętrzny. W tym oskarżeniu było wiele prawdy. Zwykle nienawidził i starał się unikać śmierci i gwałtu, a teraz okazało się, że sam tego szuka. Gdy jednak spojrział na Metę, nieprzytomną z bólu, jego nóż sam wyskoczył z

pochwy. Pokaz niezwykłej sprawności z pewnością zainteresuje Temuchina, a temu ciemnemu, zadufanemu w sobie barbarzyńcy słuszenie należy się śmierć. Albo... to on popełnia samobójstwo, jeśli sugestie nie podziała. Jeśli dadzą temu bydlakowi lancę albo maczugę, załatwi Jasona w parę chwil. Nie zmienił wyrazu twarzy, gdy żołnierze rozwiązali jeńca i Ahankk wręczył mu swój własny, długi, obosieczny miecz oficerski. Pocciwy Ahankk - jak to dobrze czasami mieć wroga. Pamiętał jeszcze wykręcenie kciuka i brał teraz odwet. Jason klepnął się w bok szerokim ostrzem broni i pozwolił, by nóż zwiślał pionowo w dół. To nie był zwykły nóż. Sam go wykuł i zahartował według pradawnej receptury zwanej "myśliwską". Był szeroki jak jego dłoń, z jednej strony ostry na całej długości, z drugiej - prawie do połowy. Mógł nim ciąć od góry i z dołu lub pchnąć jak sztyletem. Broń ważyła ponad dwa kilogramy i była zrobiona z najlepszej stali narzędziowej. Przeciwnik krzyknął i wznosząc miecz do ciosu, runął do przodu. Chciał zadać jeden jedyny cios - zamach wsparty całym ciężarem ciała. Żaden nóż nie mógłby tego wytrzymać. Jason spokojnie stał i czekał. Ruszył dopiero, gdy miecz zaczął opadać. Wysunął do przodu prawą stopę, mocno opierając się na nogach. Nóż świsnął w górę. Ramię wyprostowane w łokciu przyjęło cały impet uderzenia. Siła ciosu omal nie wytrąciła mu broni z ręki. Ale rozległ się również szcęk kruszonego metalu, gdy miękka stal zetknęła się z hartowanym ostrzem jego noża. Miecz pękł na dwoje. Na twarzy przeciwnika Jason widział przez chwilę wyraz szczerzego zdumienia. Zadał cios. Ostrze przecięło skórzane ubranie wroga i wbiło się głęboko w brzuch. Jason zebrał siły i mocno szarpnął w górę. Nóż przeciął wnętrzości i zatrzymał się na żebrach. Jason

cofnął się o krok. Ciało osunęło się na ziemię u jego stóp.

- Chcę obejrzeć ten nóż - odezwał się Temuchin.

- W naszej dolinie mamy bardzo dobre żelazo - powiedział Jason, schylając się, by wytrzeć nóż o ubranie zabitego. - Nadaje się na dobrą stal.

Podrzucił nóż w górę i łapiąc za koniec ostrza, poda! Temuchinowi. Ten oglądał go przez chwilę, po czym krzyknął na żołnierzy.

- Odsłonić szyję rannemu!

Drugi jeniec szarpał się przez chwilę, ale przestał zrozumiawszy, że jego los jest przesadzony.

Dwóch wojowników trzymało go, zaś trzeci szarpnął za włosy, odsłaniając jego szyję. Temuchin podszedł, podniósł nóż w górę i błyskawicznie spuścił go na kark ofiary.

Napięcie opadło. Żołnierz cofnął się, trzymając za włosy odciętą głowę. Bluzgające krwią ciało upadło na piach.

- Podoba mi się ten nóż - stwierdził Temuchin.

- Zatrzymam go.

- Miałem zamiar ci go ofiarować - odpowiedział Jason, kłaniając się nisko, by ukryć złość. Powinien był to przewidzieć. Trudno, to był tylko nóż.

- Czy twoi współplemieńcy znają wiele starych tajemnic? - zapytał Temuchin, rzucając nóż śludze, by go oczyścił.

- Nie więcej i nie mniej niż inne szczepy.

- Żaden z nich nie potrafi zrobić takiej stali.

- To pradawny sekret, przekazywany z ojca na syna.

- Może są jeszcze inne sekrety - jego głos był zimny i twardy. Jak stal.

- Może.

- Istnieje pewien zapomniany sekret. Jedni nazywają go ''proszkiem'' z którego tryska

ogień", inni "prochem strzelniczym". Czy wiesz coś o tym?

Czy wiesz coś o tym? Jason myślał intensywnie, próbując wyczytać coś z twarzy barbarzyńcy. Co wędrowny grajek może wiedzieć o takich sprawach? A jeśli to była pułapka, co powinien odpowiedzieć?

## Rozdział X

Meta nie opierała się, gdy Jason obmywał z kurzu jej rany i spryskiwał dermafoem. Medpakiet założył wcześniej na zranionej głowie dziewczyny czternaście szwów i opatrunek. Wkrótce doszła do siebie, ale nie ruszała się i nawet nie jęknęła, gdy Jason założył jeszcze dwa szwy na pękniętej górnej wardze. Grif chrapał pod stosem futer. Rany chłopca były powierzchowne i medpakiet zalecił jedynie spokój.

- Już po wszystkim. Odpocznij teraz.

- Było ich zbyt wielu - poskarżyła się - ale trochę oberwali. Podaj mi lustro. Zaskoczyli mnie, bo zaczęli od Grifa. Niegłupi plan. Zaraz go położyli. Potem rzucili się na mnie. Nie mogła już więcej mówić. Zerknęła w lustro z polerowanej stali, które dał jej Jason.

- Wyglądam okropnie. To stało się tak szybko. Nie wszystko pamiętam dokładnie. Niektórzy mieli pałki. Chyba kobiety. Próbowały trafić mnie w nogi. Zabiłam troje albo czworo. Chyba jakąś kobietę. Potem upadłam. Co się działo dalej?

Jason wziął bukłak z achadh i przełączył ukryty w ust-niku zawór, który zamykał dopływ

sfermentowanego mleka, a otwierał zbiornik z mocnym alkoholem - ulubionym napojem Pyrrusan. - Napijesz się? - zaproponował, ale dziewczyna potrząsnęła głową, więc sam pociągnął długi łyk. - Nie bawiąc się w szczególności: zdołałem wysłać wam na pomoc oddział żołnierzy. Przywieźli was i kilku Szczurów, którzy nie zginęli w potyczce. Teraz oni też już nie żyją. Tego, który nie był ranny, sam zabiłem. Zemsta w prawdziwie pyrrusańskim stylu. Nawet nie bardzo się tego wstydzę. Musiałem jednak oddać Temuchinowi swój nóż. Od razu zauważył wysoki poziom technologii. Szczęście, że wykułem go własnoręcznie i że ślady uderzeń młota były widoczne. Zaraz potem zapytał mnie, czy Pyrrusanie znają proch strzelniczy. Muszę przyznać, że mnie tym zaskoczył. Wykręciłem się, że ja nic nie wiem, że słyszałem tylko nazwę, ale może inni wiedzą lepiej. Na razie chyba to kupił, przynajmniej tak mi się wydaje, bo z tym facetem niczego nie można być pewnym. Ale chce, żebyśmy się przeprowadzili. O świcie mamy pożegnać Shanina i jego ludzi i rozbić nasz camp w sąsiednim obozie. Myślę, że nie będziemy za nimi tęsknić. A na wypadek, gdybyśmy chcieli zmienić zdanie, na zewnątrz czeka od-działek chłopców Temuchina. Wciąż jeszcze nie mogę się zdecydować - jesteście więźniami czy nie?

- Wyglądam okropnie - znowu jęknęła Meta.

- Dla mnie zawsze jesteś piękna - odparł pocieszająco. Po chwili uświadomił sobie, że rzeczywiście tak myśli. Nastawił medpakiet na pełną dawkę środków uspokajających i przycisnął go do ramienia dziewczyny. Nie protestowała.

Z narastającym poczuciem winy i świadomością, że to on jest odpowiedzialny za ich ból i że naraził ich na niebezpieczeństwo, położył Metę na futrach obok chłopca i przykrył oboje. Jak mógł być tak bezgranicznie głupi, by wciągnąć kobietę i dziecko w tę morderczą aferę? Potem

przypomniał sobie, że tutejsze warunki życia były mimo wszystko lepsze niż na Pyrrusie i że zabierając ich stamtąd, prawdopodobnie ocalił im życie. Spojrzał na ich sińce i mimo woli się wzdrygnął. Zastanawiał się, czy będą mu za to wdzięczni.

O świcie dwoje rannych Pyrrusan miało już tyle siły, by wywlec się z camachu. Jason sam nadzorował rozbieranie namiotu przez żołnierzy. Narzekali wprawdzie na babską robotę, ale Jason nie dopuścił do swoich rzeczy nikogo z plemienia Shanina. Był pewny, że po ostatnich wydarzeniach krąg osób zainteresowanych zemstą znacznie się poszerzył.

Żołnierze dziarsko zabrali się do zwijania namiotu i ładowania rzeczy na escung dopiero, gdy Jason pokrzepił ich buklakiem achadh. Jason usadowił Metę i Grifa na wozie i przykrył futrami. Niewielka karawana wyruszyła, odprowadzana posępnymi spojrzeniami.

W obozie Temuchina było dość kobiet, które można zaprząć do poniżającej pracy. Mężczyźni mogli więc stać i przyglądać się, co było ich zwykłym zajęciem w takich sytuacjach. Nadzór nad wszystkim Jason musiał zostawić Mecie. Otrzymał wiadomość, iż ma się natychmiast stawić przed Temuchinem.

Dwóch strażników przed wejściem do namiotu wodza rozstąpiło się przed nim. Przynajmniej miał jakieś względy u najemników. Temuchin był sam. W rękę trzymał zakrwawiony nóż. Jason zatrzymał się. Odetchnął jednak widząc, jak wódz chwytając za koniec ostrza, szybkim ruchem rzuca broń przed siebie. Nóż ze świstem przeciął powietrze i utkwiał w kozim zewłoku, który służył za cel.

- Nieźle wyważony - stwierdził Temuchin. - Dobrze się nim rzuca.

Jason bez słowa przytaknął, zdając sobie sprawę, że wezwano go chyba w innym celu.

- Powiedz mi wszystko, co wiesz o proszku, z którego tryska ogień - rozkazał Temuchin, pochylając się, by wyciągnąć nóż.

- Niewiele mam do powiedzenia.

Temuchin spojrział Jasonowi w oczy. Uderzył rękojęścią w otwartą dłoń.

- Mów wszystko, co wiesz. Natychmiast. Czy mając proszek możesz sprawić, żeby wybuchł z wielkim hukiem, zamiast palić się i dymić?

"A więc o to chodzi! - pomyślał Jason. - Jeśli Temuchin stwierdzi, że kłamię, równie łatwo zatopi ten nóż w moich wnętrznościach, jak w kozim mięsie. Wódz miał dość szczegółowe informacje o fizycznych właściwościach prochu. Nie blefował. Trzeba zaryzykować".

- Choć nigdy nie widziałem prochu, jednak wiem, co o nim mówią. Słyszałem, jak wywołać eksplozję.

- Tak sądziłem. - Nóż ze świstem wbił się w kozie mięso.

- Myślę, że wiesz dużo innych rzeczy, o których nie chcesz mówić.

- Mężczyźni mają tajemnice, których przysięgali dochować, ale Temuchin jest moim panem i będą mu pomagał ze wszystkich sił.

- Dobrze. Pamiętaj o tym. Teraz mi powiedz, co wiesz o ludziach z nizin.

- Z nizin?... Nie wiem nic. - Pytanie było dla niego zupełnym zaskoczeniem.

- Ani ty, ani nikt inny. Ale to się zmieni. Słyszałem o nich co nieco, a mam zamiar dowiedzieć się więcej. Planuję mały wypad na niziny, a ty pojedziesz ze mną. Przygotuj się. Ruszamy w południe. Jesteś jedynym, który wie, że to nie będzie zwykłe polowanie. Jeśli piśniesz komuś choć słówko - zginiesz.

- Nie puszczę pary z ust. Nawet na mękach. Jason wrócił do swojego camachu głęboko zamyślony.

Natychmiast zdał Mecie relację z rozmowy.

- Dziwnie to brzmi - powiedziała, kuśtykając w stronę ognia. Mięśnie miała jeszcze zeszywniałe po obiciu. - Jestem głodna i nie mogę rozpalic tego ogniska.

Jason rozdmuchał ogień, krztusząc się dymem.

- Coś mi się zdaje, że odchody moropów, których używasz, nie są w najlepszym gatunku. Powinny być dobrze wysuszone, żeby się równo paliły. Dla mnie to również dziwne - powrócił do tematu - jak oni chcą zejść w dół pionowym klifem o wysokości ponad dziesięciu kilometrów.

Chociaż jedno jest pewne - o prochu nie mógł dowiedzieć się tu, na równinach.

Zakaszła znowu. Zrezygnowany, zasypał ogień piaskiem.

- Dość tego. Ty i Grifi tak potrzebujecie czegoś bardziej pożywnego niż potrawka z kozy. Naruszę nieco nasze żelazne pocię.

Meta podniosła topór i stanęła przy wejściu, by można było bezpiecznie otworzyć skrzynię. Jason wyjął opakowania z żywnością i rozpieczętował je. Potem wskazał na radio.

- O północy połączysz się z Kerkiem. Opowiesz mu wszystko, co się wydarzyło. Powinniście być tu bezpieczni, ale gdyby pojawiły się jakieś trudności, powiedz mu, żeby was zabrał.

- Nie. Zostaniemy tutaj, dopóki nie wrócisz. Zatopiła łyżkę w jedzeniu i posilała się łapczywie. Grif wziął drugą porcję, a Jason pilnował wejścia.

- Puste puszki do kufra, aż znajdziemy bezpieczne miejsce, by je zakopać. Chciałbym zrobić dla was coś więcej.

- O nas się nie martw. Wiemy, jak sobie poradzić - powiedziała stanowczo Meta.

- Tak - potwierdził bez uśmiechu Grif. - W porównaniu z Pyrrusem ta planeta to fraszka. Tylko jedzenie jest tu marne.

Jason spojrział na nich z podziwem. Otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Właściwie nie miał tu nic więcej do dodania. Zapakował niezbędne



drobiazgi, które mogły mu się przydać w podróży. Nieco zapasowej odzieży i zminiaturyzowany nadajnik, który ukrył w wydrążonej rękojeści topora. Topór i krótki miecz stanowiły całe jego uzbrojenie.

Próbował używać laminowanych rogowych łuków, ale szło mu to tak niezdarnie, że czuł się lepiej, jeśli nią miał niczego podobnego pod ręką. Zawiesił tarczę na lewym ramieniu, pomachał na pożegnanie i wyszedł.

Podjechał na swoim moropie do grupy ludzi liczącej około pięćdziesięciu osób. Nie mieli z sobą żadnego wyposażenia ani żywności, było więc oczywiste, że podróż nie potrwa długo. Dopiero, gdy przywitały go chłodne spojrzenia uświadomił sobie, że jest jedynym obcym w grupie. Wszyscy pozostali byli oficerami wysokiej rangi, bliskimi towarzyszami Temuchina, członkami jego szczepu.

- Ja też potrafię dochować sekretu - powiedział dr Ahankka, który patrzył na niego spode łba. ale usłyszał w odpowiedzi wiązaną przekleństw.

Gdy pojawił się wódz, ruszyli za nim w podwójnej kolumnie.

Jazda była męcząca i Jason gratulował sobie tygodni spędzonych w siodle. Początkowo skierowali się w stronę wzgórz na wschodzie, ale gdy tylko stracili z oczu obóz i byli pewni, że nikt ich nie może zobaczyć, zawrócili i pognali na południe. W miarę, jak się zbliżali, góry wydawały się być coraz potężniejsze.

Jason oddychał przez szal, ale i tak czuł drapanie w gardle - nie mógł uwierzyć, że powietrze może być tak zimne. O zachodzie przełknęli krótki, zimny posiłek i ruszyli dalej. Było za zimno na dłuższy postój.

Jechali teraz pojedynczo. Ścieżka zrobiła się tak wąska, że Jason. podobnie jak wielu innych, zsiadł ze swego wierzchowca i prowadził go, próbując rozgrzać się marszem.

Zimne światło rozgwieżdżonego nieba rozjaśniało im drogę. Gdy dotarli do styku dolin, Jason rozejrzał się wokół. Na prawo zobaczył szare morze, rozpościerające się za niemal pionowymi skałami. Morze?! Zatrzymał się gwałtownie. Nie, to nie może być morze! Byli w samym sercu kontynentu. I to wysoko. W chwilę później zrozumiał - przed sobą miał morze, ale chmur! Patrzył na nie, dopóki nie zniknęły za zakrętem. Szlak zaczął się obniżać, co zresztą było do przewidzenia. Jason zatrzymał moropa i wspiął się na siodło. Gdzieś przed nimi znajdował się skraj świata. Tutaj, na rozciągającym się w poprzek całego kontynentu klifie, na potężnej, sięgającej dolin pod nimi, skalnej ścianie kończyło się królestwo nomadów. Tu również zmieniał się klimat. Ciepłe południowe powietrze docierało do skał, gdzie unoszone w górę zamieniało się w chmury, by w końcu w postaci deszczu spaść na wyschnięte równiny. Jason zastanawiał się, czy ziemia w pobliżu urwiska kiedykolwiek oglądała słońce. Połyskujący w zagłębieniach śnieżny pył wskazywał, że północnym wichrom udawało się jednak przedrzeć nawet przez tę naturalną barierę. Ścieżka schodziła w dół wąskiej przełęczy. Dochodząc do niej, Jason ujrzał kamienną chatę przycupniętą pod skałą. Pilnujący jej strażnicy ze stoickim spokojem przyglądali się ich przemarszowi. Cel wyprawy musiał być blisko. Nagle zatrzymali się. Jasonowi kazano stawić się u Temuchina. Powłókł się na czoło pochodu tak szybko, jak mu na to pozwalały odrętwiałe mięśnie. Temuchin niespiesznie przeżuwał oporny kawałek suszonego mięsa i Jason zaczekał, aż wódz przepłucze sobie gardło łykiem na wpeł zamrożonego achadh. Niebo na wschodzie pojaśniało. Był już prawie świt, co według koczowników następowało wtedy,

gdy można było odróżnić czarny kozi włos od białego.

- Przyprowadzisz mojego moropa powiedział Temuchin, ruszając przed siebie.

Jason poprowadził za wodzem zmęczone zwierzę, a za nimi podażyło trzech oficerów. Po dwóch ostrych zakrętach ścieżka otwarła się na szeroką skalną półkę, której dalszy kraniec był jednocześnie krawędzią klifu. Temuchin podszedł bliżej i spojrział z podziwem na kłębiącą się w dole białą masą chmur. Jason zafascynowało jednak wielkie, przeżarte rdzą urządzenie. Największe wrażenie sprawiała masywna konstrukcja w kształcie litery A, mocno osadzona w litej skale na skraju przepaści.

Ośmiometrowa rama była wykuta ręcznie - musiano w to włożyć ogrom pracy. Była wzmocniona dwoma skrzyżowanymi prętami i oparta na występie skalnym brzegu urwiska, wznosząc się nad otchłanią pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Na końcu ramy znajdował się krążek, z którego zwisała elastyczna lina z jakiegoś czarnego włókna. Jej drugi koniec oprzechodził przez otwór w skale, stanowiącej podporę konstrukcji. Jason obszedł ją dookoła, by obejrzeć znajdujące się za nią urządzenia.

Ta część maszyny, chociaż mniejsza, zasługiwała na większą uwagę, niż wisząca nad przepaścią rama. Lina przechodziła przez otwór w płycie skalnej i była nawinięta na bęben. Ten, osadzony na osi o grubości ludzkiego ramienia, był przytwierdzony prostopadle do skały czterema mocnymi wspornikami. W ten sposób urządzenie wytrzymywało ogromne obciążenia - cały nacisk przenoszony był bezpośrednio na skalną podstawę.

Przymocowane do bębna, metrowej średnicy koło zębate współpracowało z mniejszą zębatką, którą można było obracać za pomocą długiej, drewnianej korbki. Ostatnim odkryciem Jason nie

poświęcił zbyt wiele uwagi. Ilość dźwigni i zapadek dawała pewność, że nic tu nie może się ześlizgnąć.

Nie trzeba było być geniuszem mechaniki, by zrozumieć do czego to urządzenie służyło. Jason odwrócił się do Temuchina i zapytał:

- Czy za pomocą tego mechanizmu mamy spuścić się na równiny?

Wódz zdawał się być równie zafascynowany urządzeniem.

- Owszem. Nie wygląda to na rzecz, której normalnie można by powierzyć życie, ale nie mamy wyboru. Ludzie, którzy to wybudowali i odslużiwali przysięgają, że używali tego często do wypadów na niziny. Pochodzą z jednej z gałęzi klanu Gronostai. Wiele opowiadali, a na dowód pokazywali drewno i proch. Jeńcy, którzy przeżyli, są tutaj i będą przy tym pracować. Zginą, jeśli będą jakieś trudności. My pójdziemy pierwsi.

- Niewiele nam to pomoże, jeśli coś się nie uda.

- Człowiek rodzi się po to, by umrzeć. Życie składa się jedynie z codziennego odkładania tego, ci nieuniknione.

Jason nic już nie odpowiedział. Spojrzał w górę, gdy usłyszał krzyki. W stronę dźwigu prowadzono grupę mężczyzn i krępych kobiet.

- Odsuńcie się i pozwólcie im robić swoje - rozkazał Temuchin i żołnierze bezzwłocznie się wycofali. - Obserwujcie ich uważnie. Gdyby popełnili jakiś błąd lub próbowali zdradzić - zabić natychmiast.

Zachęceni w ten sposób ludzie ze szczepu Gronostaj przystąpili do pracy. Kilku kręciło korba, podczas gdy inni sprawdzali pracę zapadek. Jeden wdrapał się nawet na ramę, daleko poza krawędź urwiska, żeby natłuścić blok na końcu.

- Pojadę pierwszy - zdecydował Temuchin, sadowiąc się w ciężkiej, skórzanej uprzęży.

- Mam nadzieję, że lina jest dostatecznie długa - powiedział Jason i pod wpływem wzroku Temuchina natychmiast pożałował swoich słów.

- Ty pojedziesz następny, ale najpierw spuścisz mojego moropa. Dopilnuj, by zwierzęciu zawiązano oczy, inaczej się przestraszy. Potem ty, potem następny morop i tak dalej.

Moropy przyprowadzać nad krawędź pojedynczo, tak żeby nie widziały, co się dzieje z ich poprzednikami. - Odwrócił się do oficerów. - Słyszeliście moje rozkazy!

Pojękując jeńcy chwycili za korbę i przy dźwięku pracujących zapadek zaczęli nawijać linę na bęben.

Zanim Temuchina uniesiono w górę, uprząż mocno się napięła. Wreszcie jego stopy oderwały się od ziemi i wódz, chwyciwszy za linę, zawisł nad przepaścią. Gdy drgania ustały, obsługujący urządzenie zmienili kierunek ruchu i Temuchin zaczął powoli nikać z pola widzenia. Jason podszedł do krawędzi i patrzył, jak postać wodza stawała się coraz mniejsza, by w końcu roztopić się w skłębionej warstwie chmur. Nagle spod stóp obsunął mu się kawałek skały. Czym prędzej wycofał się do tyłu.

Mniej więcej co sto metrów, gdy pojawiał się węzeł łączący dwa odcinki elastycznej liny, mężczyźni pracujący przy korbie zwalniali. Uważnie obracali bęben, dopóki połączenie nie przeszło gładko przez blok. Ludzie zmieniali się przy tej pracy bez zatrzymywania dźwigu, tak aby lina odwijiała się ze stałą prędkością.

- Z czego to jest? - zapytał Jason jednego z Gronostai. Osobnik o wysmarowanych tłuszczem włosach, którego jedyny ząb dziwnie wystawał nad górną wargą, zdawał się kierować pracą dźwigu.

- Rośliny. Coś co rośnie. Długie. Ma liście. Nazywa się "mentri"

- Pnącza? - zgadywał Jason.

- Tak, pnącza. Wielkie. Trudno znaleźć. Rosną na dole. Rozciągają się. Bardzo mocno.

- Lepiej dla ciebie, żeby były mocne - mruknął Jason. Nagle złapał mężczyznę za ramię, wskazując na linę, która zaczęła niebezpiecznie drgać. Jeniec, wijąc się w żelaznym uścisku, pospieszył z wyjaśnieniami.

- Wszystko dobrze. To znaczy, że człowiek jest na dole i puścił linę. Dlatego skacze. Ciągnijcie do góry! - krzyknął do obracających bęben.

Jason rozluźnił chwyt. Mężczyzna szybko się odsunął, rozcierając obolałe miejsce. To miało sens - kiedy Temuchin puścił linę, nagłe zmniejszenie obciążenia mogło wywołać drgania, aczkolwiek niezbyt duże. Masa wojownika stanowiła jedynie niewielką część całkowitego jej ciężaru.

- Teraz morop - rozkazał Jason, kiedy hak i rzemienie wciągnięto w końcu na górę. Przyprawiono zwierzę, które podejrzliwie łypało swymi małymi, czerwonymi oczkami w stronę krawędzi. Gronostaje sprawnie założyli uprząż na moropa, a oczy zakryli mu skórzanym workiem, związanym mocno pod szczęką. Zaczepiono hak. Zwierzę stało spokojnie, dopóki nie poczuło, że coś je unosi w górę. Ogarnięte paniką zaczęło walczyć, odrywając pazurami fragmenty skały i znacząc bruzdami jej powierzchnię. Obsługa miała jednak duże doświadczenie. Mężczyzna, z którym Jason poprzednio rozmawiał, podbiegł do moropa z wielkim młotem i wprawnym ruchem uderzył w worek okrywający głowę zwierzęcia, w miejsce tuż powyżej jego oczu. Morop natychmiast znieruchomiał. Z wielkim wysiłkiem, pośród mnóstwa okrzyków, podniesiono bezwładne cielsko do góry i zaczęto opuszczać w przepaść.

- Dobrze trzeba -- powiedział mężczyzna. - Za mocno -zabić. Za słabo - szybko się obudzi, zacznie szarpać i zerwie linę.

- Niezły cios - powiedział Jason, mając nadzieję, że Temuchin nie stoi pod skałą. Na razie wszystko szło drobroze i lina odwijala się bez przeszkód, przy monotonnym skrzypieniu metalu. W pewnym momencie Jason zorientował się, że drzemie, odsunął się więc od skraju przepaści. Nagle usłyszał krzyki i otworzywszy oczy zobaczył, że lina zaczęła gwałtownie skakać. Drgania były tak silne, że zeskoczyła z bloku i jeden z tubylców musiał wspinać się na ramę, by założyć ją z powrotem na miejsce.

- Zerwała się? - Jason zapytał najbliższego mężczyznę.

- Nie. Wszystko dobrze. Mocno skacze, bo odcepili moropa.

To było jasne. Elastyczne pnącze, uwolnione od znacznego ciężaru potężnej bestii wpadło w drgania o dużo większej amplitudzie. Znowu zaczęli wciągać linę. Jason zorientował się, że teraz kolej na niego. Nagle poczuł ssanie w dołku. Dałby wiele, by nie korzystać z tej przedpotopowej windy.

Już sam początek był kiepski.

W pewnym momencie stwierdził, że jego nogi wloką się po ziemi. Lina musiała się rozciągnąć pod dodatkowym ciężarem. Próbował wstać, ale grunt usuwał mu się spod nóg. Koło obróciło się o jeszcze jedną zapadkę i znalazł się w powietrzu, kołysząc nad chmurami. Raz tylko spojrzał w dół. Potem wolał skoncentrować się na tym, co się działo u góry. Szczyt skały zaczął się powoli oddalać. W końcu brudne twarze koczowników znikły mu z oczu. Próbował myśleć o czymś zabawnym, ale po raz pierwszy od dawna zabrakło mu poczucia humoru. Powoli obracając się w takcie opuszczania, mógł na własne oczy podziwiać niewiarygodny ogrom rozciągającego się w poprzek całego kontynentu skalnego prog.

Powietrze było suche i czyste, a poranne słońce oświetlało powierzchnię klifu tak ostro, że można było wyraźnie zobaczyć każdy szczegół.

Pod nim rozciągało się falujące morze białych chmur rozbijających o skalną barierę.

Dopiero teraz spostrzegł, że miejsce na klifie, gdzie zainstalowano windę, było położone znacznie niżej niż reszta progów. Przypuszczał, że odpowiada mu podobne wzniesienie na dole. W każdym innym miejscu lina musiałaby być tak długa, że nie byłaby w stanie wytrzymać własnego ciężaru, nie wspominając już o dodatkowym obciążeniu. Chmury w dole zbliżały się coraz bardziej. W pewnej chwili wydało mu się, że wystarczy tylko wyciągnąć nogę, by ich dotknąć.

Potem otoczyły go pierwsze pasma wilgotnej mgły, a w parę chwil później obłoki zamknęły się wokół niego i pograżył się w szarą nicość. Ostatnią rzeczą, jakiej się mógł spodziewać było to, że dyndając na końcu sznurka kilometrowej długości, zapadnie w sen. A jednak. Jednostajny ruch, zmęczenie całodobową jazdą i otaczająca ciemność w końcu go zmożyły. Odprężył się, głowa mu opadła i w parę chwil później smacznie chrapał.

Obudził się, gdy deszcz zaczął kapać mu na ubranie, spływając w dół po plecach. Chociaż powietrze było dużo cieplejsze, wzdrygnął się i poprawił kołnierz.

Wciąż jeszcze miał przed sobą przesuwającą się moką powierzchnię skały, ale kiedy spojrzał w dół, coś zamajaczyło mu pod stopami. Człowiek? Przyjaciel czy wróg? Jeśli tubylcy wiedzieli o ukrytej ponad chmurami windzie, na dole mogła ich oczekiwać grupa wojowników. Wyrwał z pasa topór i okręcił rzemień wokół przegubu. Na szarym polu, wśród nasiąkniętej wodą trawy, widniały porozrzucane pojedynczo głowy. Powietrze było wilgotne i lepkie.



- Odepnij uprząż i przygotuj się do jej zdjęcia - rozkazał Temuchin, idąc w poprzek łąki. - Po co ten topór?

- Na wypadek, gdyby tu był ktoś inny - odparł Jason, chowając broń za pasem i zabierając się do zdejmowania uprzęży. Nagłe szarpnięcie elastycznej liny rzuciło go na trawę.

- Teraz puść - krzyknął Temuchin.

Jason uczynił to w najbardziej niefortunnym momencie, gdy lina zaczynała się kurczyć. Wzniosła go w górę. Na chwilę zawisł w powietrzu, nim ciężko runął na ziemię. Potoczył się parę kroków, wbijając boleśnie w zębra rękojęść miecza. Nad sobą usłyszeli krótki świst liny, która uwolniona od ciężaru, poleciała do góry.

- Tędy. - Temuchin odwrócił się i ruszył przed siebie, podczas gdy Jason wciąż jeszcze usiłował wstać.

Trawa była śliska i mokra. Błoto chlupotało pod butami. Temuchin obszedł dookoła rumowisko skalne. Wskazał wznoszący się na dziesięć metrów wierzczołek.

- Stąd zobaczysz, jak będzie zjeżdżał twój morop. Obudź mnie wtedy. Mój pasie się po drugiej stronie. Pilnuj, żeby nie uciekł.

Nie czekając na odpowiedź położył się na względnie suchym miejscu i przykrył twarz kawałkiem skóry.

- Zajęcie w sam raz na taką pogodę - mruknął do siebie Jason. - Przyjemna, mokra skała i wspaniały widok na absolutną pustkę.

Wdrapał się na duży głaz i usiadł na jego szczycie.

Senność zupełnie go opuściła. Na twardych kamieniach nawet siedzieć nie było wygodnie. Wiercił się i kręcił, męcząc okropnie. Ciszę zakłócał jedynie nieustanny plusk deszczu, od czasu do czasu przerywany radosnym porykiwaniem moropa, zachwyconego nieoczekiwanym obżarstwem. Chwilami deszcz przestawał padać, odsłaniając widok na

rozpościerające się na zboczach pełne soczystej trawy pastwiska, poprzecinane bystrymi strumykami. Zdawało mu się, że upłynęły wieki, zanim usłyszał nad głową chrapliwy oddech i poprzez lekką mgłę zobaczył niewyraźny kształt zjeżdżający w dół. Zsunął się na ziemię. Temuchin obudził się, czujny, gdy tylko Jason dotknął jego ramienia.

W widoku ogromnej, bezwładnej bestii kołyszącej się nad ich głowami było coś zatrważającego. Oddech zwierzęcia stawał się coraz szybszy, a nogi zaczęły drgać nerwowo.

- Szybko - rozkazał Temuchin. - Budzi się.

Rzucili się by go złapać, lecz skurcz liny wyrwał moropa z ich rąk. Zwierzę usiłowało unieść głowę. Następne szarpnięcie liny postawiło je prawie na ziemi. Temuchin skoczył i zawisł na szyi zwierzęcia, przyciskając je swym ciężarem do wilgotnej ziemi.

- Odepnij go! - krzyknął.

Pasy były przymocowane specjalnymi sprzączkami. Odpinało się je przez odciążenie żelaznej przetyczki. Przy rozciągnięciu, naprężonym sznurze, otwarcie zwyczajnych zapięć byłoby niemożliwe. Morop zaczął się rzucać, kiedy Jason odpiął ostatnią sprzączkę. Odskoczył. Skurcz elastycznej liny wyrwał rzemienie spod zwierzęcia prawie je przewracając i raniąc skórę tak mocno, że zawyło z bólu. Pobrząkując kłamrami, uprząż natychmiast znikła z oczu.

Reszta dnia minęła podobnie. Temuchin, widząc że jego minstrel wie co robić, skorzystał z panującego spokoju i znowu zasnął. Jason musiał przejąć dowodzenie.

Żołnierze i wierzchowce pojawiali się w równych odstępach czasu. Jedna grupa żołnierzy pilnowała pasących się moropów, podczas gdy druga obsługiwała lądowanie. Reszta - oprócz Ahankka - spała. Jego Jason postawił na punkcie obserwacyjnym. Na dole było już

dwudziestu sześciu ludzi i dwadzieścia pięć moropów, gdy nadszedł niespodziewany koniec. Grupka pracujących, w nieustającym deszczu prawie drzemała, kiedy otrzeźwił ich ochrypli głos Ahankka. Jason podniósł wzrok i ujrzał jakiś ciemny kształt, lecący dokładnie na nich. Spadający morop robił się coraz większy, aż w końcu z ogromnym hukiem uderzył o ziemię. Przykrył go zwój liny, której koniec upadł w pobliżu Jasona i żołnierzy. Temuchina nie trzeba było wołać. Obudziły go krzyki i odgłos uderzenia. Rzucił jedno spojrzenie na skrwawione, zdeformowane ciało zwierzęcia i odwrócił się.

Zaprzac cztery moropy. Odciągnąć martwe zwierzę i linę. Daleko.

Oficerowie pośpiesznie wykonywali rozkaz, a Temuchin zwrócił się do Jasona.

- Właśnie dlatego wysłałem najpierw człowieka, potem moropa. Dwu z nich będzie musiało jechać na jednym wierzchowcu. Gronostaje ostrzegali mnie, że lina zawsze się zrywa w czasie pracy - nigdy nie wiadomo kiedy. Zazwyczaj pęka pod dużym ciężarem.

- Ale zdarzało się, że trzaskała, gdy zjeżdżał człowiek?

Już wiem, dlaczego pojechałeś pierwszy. Nieźle to rozegrałeś wodzu - wyraził mu swoje uznanie Jason.

- Ja jestem dobrym graczem - spokojnie odrzekł Temuchin, wycierając rdzewiejący miecz kawałkiem natłuszczonej skóry. - Jest tylko jedna lina w zapasie. Kazałem przerwać opuszczanie, gdy ta się zerwie. Zanim wrócimy, założą nową i spuszczą strażników. Będą na nas czekać. Teraz ruszamy.

## Rozdział XI

- Czy wolno mi zapytać, dokąd jedziemy? - odezwał się Jason.

Oddział wolno posuwał się w dół trawiastego zbocza. Szereg jeźdźców rozciągał się w szeroki półksiężyc, pośrodku którego jechali Temuchin i Jason, obok moropów ciągnących trupa swego towarzysza.

- Nie - odpowiedział wódz.

Odebrało to Jasonowi ochotę do dalszych pytań. Stok opadał łagodnie, jakby sama nizina biegła na spotkanie uskokowi, niewidocznemu teraz za zasłoną deszczu. Wzgórze porośnięte było trawą i małymi krzaczkami. Gdzie niegdzie przecinały je wezbrane potoki. Gdy zjechali niżej, zaczęły się one łączyć w coraz większe strumienie. Moropy chlapały w nich, parskając na widok takiej obfitości wody. Temperatura

rosła. Żołnierze rozluźniali rzemienie, którymi była spięta ich odzież. Jason zsunął do tyłu hełm, chłonąc mżawkę, opadającą mu na rozpaloną twarz. Wytarł tłuszcz pokrywający skórę. Marzył o kąpieli.

Zbocze nagle urwało się, przechodząc w poszarpany, urwisty brzeg spienionej rzeki. Temuchin kazał przyciągnąć nad krawędź ciała martwego zwierzęcia i resztki liny. Żołnierze z wysiłkiem zepchnęli je ze skarpy. Uderzyło w wodę, rozpryskując ją we wszystkie strony. Po raz ostatni machnęło uzbrojoną w pazury łapa, zawirowało i odplynęło, znikając im z oczu.

Temuchin bez wahania poprowadził grupę wzdłuż brzegu rzeki, na południowy zachód. Było oczywiste, że wiedział o tej przeszkodzie. Kontynuowali pochód, pokonując kolejne kilometry. Późnym popołudniem deszcz przestał padać. Zmienił się też zupełnie krajobraz. Równinę znaczyły kępy drzew i krzewów, a niedaleko przed nimi w promieniach zachodzącego słońca, widać było rozległy las. Gdy tylko Temuchin go ujrzał, zatrzymał pochód.

- Stać - rozkazał. - Ruszymy o zmroku. Jasonowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Pierwszy zeskoczył na ziemię. Wyciągnął się na trawie i zamknął oczy. Wodze moropa owinał wokół kostki. Po przeżyciach całego dnia - ciosie w łeb, obfitym żarciu, picciu i wyteżonym galopie - zwierzę było także uszczęśliwione wypoczynkiem. Wyciągnęło się na całą długość obok swego o jeźdźca z pyskiem w głębokiej trawie, która żuło jeszcze przez sen.

Jasonowi zdawało się, że dopiero co zamknął oczy, gdy obudził go uścisk palców, szarpiących za nogę. Było już ciemno.

- Ruszamy - poinformował go Ahankk. Jason usiadł z wysiłkiem, prostując zeszywniałe mięśnie i przetaił oczy z resztek snu. W czasie drogi wypłukał z buklaka osad i achadh

i napełnił go świeżą wodą ze strumienia. Napił się do syta, a następnie obficie spryskał sobie twarz i głowę. Wody tu nie brakowało. Jechali teraz jeden za drugim. Temuchin prowadził, Jason był przedostatni, a Ahankk zamykał pochód jako tylna straż. Sądząc po jego czujnym, nienawistnym spojrzeniu i trzymanym w pogotowiu mieczu, było jasne, że to Jason był tym, kogo miał pilnować.

Wyprawa z odkrywczej zmieniła się w wojenną i nomadowie nie potrzebowali już pomocy wędrownego pieśniarza. Spodziewali się po nim tylko kłopotów. Jadąc z tyłu nie mógł nic zrobić. Zginałby natychmiast. Siedział więc cicho, starając się robić wrażenie posłusznego niewiniątka.

Nawet w lesie poruszali się bezszelestnie. Miękkie łapy moropów z łatwością trafiały w ślad poprzednika. Nie zaskrzypiała skóra, nie zadźwięczał metal. Niczym widma mknęli przez namokłą deszczem ciszę. Nagle drzewa rozstały się i wjechali na polanę.

Niedaleko było widać słabe światło. Patrząc na nie spod przymrużonych powiek Jason mógł rozróżnić ciemny kształt budowli.

Zachowując ciszę, żołnierze łagodnym łukiem skręcili w prawo i pojedynczym rzędem ruszyli w tamtą stronę. Byli zaledwie parę metrów od budynku, gdy otwarły się drzwi i w oczy uderzył ich nagły blask światła. W wejściu, ostro zarysowany na tle jasnego wnętrza, stał człowiek.

- Brać go żywcem. Resztę zabić! - zanim krzyk Temu-china zdążył przebrzmieć, wojownicy skoczyli do przodu.

Jason przypadkowo znalazł się najbliżej postaci stojącej w drzwiach, lecz mimo to zdawało się, że wszyscy inni zdążyli go wyprzedzić.

Mężczyzna rzucił się w tył z ochryplym okrzykiem, ale trzech koczowników uniemożliwiło mu ucieczkę, przytrzymując

drzwi, a jego samego przewracając na plecy. Wszyscy czterej znaleźli się na ziemi. Nagle znieruchomieli. Jason, który właśnie zsunął się z moropa, szybko zorientował się, dlaczego. W drzwiach pojawiło się pięciu mężczyzn, trzymających napięte łuki. Dwaj z nich klęczeli, reszta stała. W powietrzu rozległ się brzęk zwolnionych cięciw i świst strzał. Strzelali dwu, może trzykrotnie. Jason dopadł ich, gdy przerwali ogień i rzucili się do środka. Znalazł się tuż za nimi, lecz walka była już skończona. Pomieszczenie przypominające trochę stodołę, oświetlone jedną świecą było po brzegi wypełnione śmiercią. Powywracane stoły, krzesła, martwi i walczący tworzyli jedno kłębowisko. Jakiś siwowłosy mężczyzna ze strzałą w piersi jęcząc wił się na podłodze. Żołnierz pochylił się nad nim i uderzeniem topora rozplątał mu krtań. Rozległ się trzask pękającego drewna i wojownicy atakujący budynek od tym, wdarli się do środka. Ucieczka była niemożliwa. Przy życiu został już tylko jeden obrońca - ten, który poprzednio stał w drzwiach. Wciąż jeszcze walczył. Był to wysoki mężczyzna, który osłaniał się wielkim drągiem. Mogli go łatwo zabić - wystarczyłaby jedna strzała - ale nomadowie chcieli wziąć go żywcem. Jeden z nich siedział już na podłodze, trzymając się za nogę, drugi natomiast został rozbrojony na oczach Jasona; jego miecz pofrunął w kąt. Człowiek z nizin był nieosiągalny od przodu, a za sobą miał ścianę. Jason mógł pomóc. Rozejrzał się dookoła i spostrzegł oparty o ścianę stojak z rolniczymi narzędziami. Stała wśród nich łopata z długim trzonkiem. "Ta będzie dobra" - pomyślał. Chwycił jaw obie ręce i silnie uderzył środkiem styliska w kolano. Wygięła się, ale nie pękła.

- Ja go wezmę - krzyknął, rzucając się do walki. Spóźnił się o ułamek sekundy. Drag spadł na ramię koczownika, wytracając mu miecz i łamiąc kości.

Jason zajął jego miejsce i zamachnął się łopata, celując w nogi przeciwnika. Ten szybko opuścił koniec draga, by skontrolować uderzenie. Gdy drzewce zderzyły się, Jason wykorzystał siłę ciosu, by odwrócić kierunek ruchu i zataczając koło końcem styliska, usiłował trafić w szyję mężczyzny. Temu znów udało się odeprzeć cios, ale czyniąc to musiał zrobić krok naprzód. Odwrócił się od ściany. Ahankk, który wszedł razem z Jasonem, trafił go obuchem w głowę. Nieprzytomny mężczyzna osunął się na podłogę. Jason odrzucił łopatę i podniósł leżący drag.

Broń miała ze dwa metry długości i była wykonana z mocnego elastycznego drewna, okutego żelaznymi pierścieniami.

- Co to jest? - spytał Temuchin, przyglądając się zakończeniu walki.

- Kij. Prosta, ale skuteczna broń.

- A ty potrafisz jej używać? Mówiłeś, że nic nie wiesz o nizinach.

Jego twarz była pozbawiona wyrazu, ale oczy płonęły wewnętrznym ogniem. Jason zdał sobie sprawę, że jeśli nie znajdzie zadawalającego wyjaśnienia, dołączy do ciał spoczywających na ziemi.

- I nadal nic nie wiem, a władać tą bronią nauczyłem się będąc jeszcze dzieckiem. Każdy w moim plemieniu umie się nią posługiwać.

Pominał przy tym okoliczność, że chodzi mu nie o Pyrrusan, lecz o rolniczą społeczność na Pogorstorsaaand, daleko na drugim końcu galaktyki, gdzie się wychował. Przy sztywnym podziale klasowych, prawdziwą broń nosili tylko żołnierze i arystokracja. Nie można jednak zabronić człowiekowi mieszkającemu w lesie noszenia kija. Dragi były więc w



powszechnym użyciu i Jason zupełnie nieźle władał niegdyś tą nieskomplikowaną bronią. Temuchin odwrócił się. Na razie zadowolili go ta odpowiedź. Jason na próbę zakręcił drągiem. Był dobrze wyważony.

Koczownicy sprawnie plądrowali budynek, który okazał się czymś w rodzaju farmy. Żywy inwentarz, trzymany pod tym samym dachem, został również wyrżnięty. Kiedy Temuchin mówił: „zabijać”, właśnie to miał na myśli. Jason patrzył na tę rzeź, ale nie pozwolił sobie na zmianę wyrazu twarzy nawet wówczas, gdy jeden z wojowników w poszukiwaniu łupu podniósł drewnianą klatkę. Leżało pod nią niemowlę, zapewne w ostatniej chwili wepchnięte tam przez jedną z kobiet, które teraz leżały martwe na ziemi. Żołnierz beznamiętnie przeszył dziecko mieczem.

- Związać i przyprowadzić jeńca - rozkazał Temuchin, podnosząc z podłogi kawałek gotowanego mięsa. Oczyszczył je z brudu i odkroił kęs.

Mężczyźnie wykręcono ręce na plecy i sprawnie związane w przegubach rzemieniami, po czym oparto o ścianę. Kiedy trzy wiadra wody wylane na twarz nie przywróciły mu świadomości, Temuchin rozgrzał ostrze swego sztyletu nad płonąca świecą i przytknął do skóry na ramieniu jeńca. Ten jęknął i próbował się odsunąć. Wreszcie otworzył nabiegłe krwią oczy.

- Czy mówisz językiem "pomiędzy"? - zapytał wódz. Kiedy jeniec odpowiedział coś niezrozumiałego, uderzył go, precyzyjnie trafiając w oparzone miejsce. Człowiek zawył, ale wciąż odpowiadał w tym samym, niezrozumiałym języku.

- Ten głupiec nie umie mówić - stwierdził Temuchin.

- Pozwól mi. - Jeden z oficerów wystąpił do przodu. -To co mówisz, przypomina język ludzi ze szczepu Węży. Tych ze wschodu, znad morza.

Przy pomocy pracowitych omówień i powtórzeń zakomunikowano rolnikowi, że zostanie zabity, jeśli im nie pomoże. Wprawdzie nie obiecywano w zamian za to żadnej nagrody, ale jeniec nie był w najlepszej pozycji przetargowej.

Zgodził się szybko.

- Powiedz mu, że chcemy dojść do miejsca, gdzie są żołnierze - powiedział Temuchin.

Więzień skwapliwie pokiwał głową na znak zgody. Było to zrozumiałe. Wieśniak w prymitywnym społeczeństwie nie pała miłością do uciskających go, zbierających podatki żołnierzy. Bełkotał pospiesznie, przekazując informacje.

Wojownik tłumaczył.

- Mówił, że jest tam wielu żołnierzy, dwie, może nawet pięć dłoni. Są uzbrojeni, a miejsce jest dobrze umocnione. Mają coś jeszcze, jakiś rodzaj broni, ale nie wiem, o czym ta kreatura mówi.

- Pięć dłoni... Temuchin uśmiechnął się, łypiąc spod oka. - Jestem przerażony.

Wszyscy ryknęli śmiechem, poklepując się wzajemnie po plecach. Jason nie widział w tym nic zabawnego.

Nagle zapadła cisza na widok dwu wojowników, którzy zbliżali się podtrzymując, a właściwie prawie niosąc rannego towarzysza. Mężczyzna skakał na jednej nodze, starając się nie dotykać drugą ziemi. Kiedy podniósł na Temuchina wykrzywioną bólem twarz, Jason rozpoznał w nim jednego z rannych w czasie walki z uzbrojonym W kij wieśniakiem.

- Co się stało? - zapytał Temuchin. Wszelki ślad rozbawienia zniknął z jego głosu.

- Moja noga... - ochryple odrzekł wojownik.

- Pokaż - polecił Temuchin.

Natychmiast rozcięto wysoki but rannego. Jego kolano zostało brutalnie strzaskane. Rzepka była rozbita do tego stopnia, że białe odłamki kości przebiły skórę. Strużki krwi saczyły się

z rany. Żołnierz musiał straszliwie cierpieć, jednak nie wydał z siebie jęku.

Jason wiedział, że aby ten człowiek mógł znowu chodzić, potrzebna była fachowa pomoc chirurgiczna. Zastanawiał się, jaki los czeka rannego w tym barbarzyńskim świecie. Dowiedział się szybko.

- Nie możesz chodzić, nie możesz jechać. Nie możesz być wojownikiem. - powiedział Temuchin.

- Wiem - odpowiedział koczownik prostując się i odchylając podtrzymujące ramiona. - Lecz jeśli mam umrzeć, chcę umrzeć w walce i być pochowanym z moimi kciukami. Nie utrzymam miecza by walczyć z demonami w podziemnym świecie, jeśli nie będę ich miał.

- Niech tak będzie - powiedział Temuchin, dobywając miecza. - Byłeś dobrym wojownikiem i towarzyszem. Życzę ci szczęścia w bitwach, które stoczysz. Będę się bił z tobą sam, gdyż to przynosi zaszczyt ponieść śmierć z ręki wodza.

Nie był to rytualny pojedynek. Wojownik pomimo rany walczył dzielnie. Jednak Temuchin poprowadził walkę tak, by przeciwnik stał całym ciężarem na zranionej nodze. Nie mógł tego zrobić, więc krótkie pchnięcie mieczem pod żebra przerwało jego cierpienia.

- Jest jeszcze jeden ranny - stwierdził Temuchin, wciąż trzymając zakrwawiony miecz. Żołnierz ze złamanym ramieniem wystąpił naprzód. Rękę miał na temblaku.

- Ramię wyzdrowieje - rzekł - skóra nie pękła. Mogę jechać i walczyć, choć nie mogę strzelać z łuku.

Temuchin wahał się przez chwilę, nim odpowiedział.

- Potrzebujemy każdego człowieka. Jeśli uczynisz tak, jak powiedziałeś, to wrócisz z nami do obozu. Ruszamy, gdy tylko pogrzebiecie tego człowieka. - Odwrócił się do Jasona.

- Ty pojedziesz przede mną, tylko nie rób żadnego hałasu

- najwyraźniej nie cenił wysoko wojennych umiejętności Jasona. - Szukamy miejsca, gdzie są żołnierze. Gronostaje odwiedzali ten kraj w przeszłości, lecz nigdy nie było ich więcej niż dwóch lub trzech naraz. Unikali wojska i atakowali farmy, ale zdarzało się im walczyć z żołnierzami. To od nich dowiedziałem się się o prochu. Zabili jednego żołnierza i zabrali mu proch, ale kiedy przytknąłem do niego ogień, tylko się spalił. Gronostaje przysięgali, że wybucha, a ja im wierzę. Zdobędziemy proch, a ty będziesz strzelał.

- Zaprowadź mnie tam - powiedział Jason - a ja ci pokażę, jak się to robi.

Błądzili po lesie, aż - dobrze po północy -jeniec przyznał się płacząco, że zgubił drogę w ciemnościach.

Temuchin zaczął bić nieszczęśnika, a w końcu, zrezygnowany, zarządził odpoczynek do rana. Deszcz znów zaczął padać. Ułożyli się jak mogli najwygodniej pod ociekającymi drzewami. Jason czuł w ustach nieprzyjemny smak. Tym razem nie sprawiło tego jedzenie gotowane na odchodach ani wstrętne achadh. Nie mógł zapomnieć masakry na farmie. "Wejdz między drzewa, a stracisz z oczu las" - pomyślał. Tak, to powiedzenie dokładnie pasowało do jego obecnego zachowania. Mieszkał wśród koczowników, żył tak jak oni i w końcu stał się częścią ich szczepu. Byli to interesujący ludzie. Od czasu, gdy przeniósł się do obozu Temuchina, odkrył w nich wiele ciepła, a poczucie humoru mieli chyba najlepsze w całej Galaktyce. Dało się z nimi żyć. Byli na swój sposób uczciwi, przestrzegali swych własnych praw, lecz jednocześnie byli przerażająco okrutni. Mordowali bezlitośnie, z zimną krwią. Nie miało znaczenia, że czynili to zgodnie ze swym systemem wartości. To nic nie zmieniło. Jason miał wciąż przed oczyma miecz zatopiony w ciele dziecka.

Znajdował się wśród drzew i stracił z oczu las. Zapomniał, że to właśnie ci ludzie wyrznęli w pień pierwszą wyprawę górniczą i że w ten sposób potraktowaliby każdego przybysza spoza ich świata. Był wśród nich szpiegiem i miał się przyczynić do ich ostatecznego upadku. Tak i tylko tak to musi wyglądać. Mógł żyć w zgodzie z samym sobą dopóki był pewien, że gra jedynie swą rolę i cała ta maskarada ma jakiś cel. Koniecznym Jest zniszczyć społeczną strukturę nomadów po to, by Pyrrusanie mogli bezpiecznie otworzyć tu swoje kopalnie.

Samotny i przygnębiony, drżący z zimna w tę deszczową noc, miał wrażenie, że cały plan nie ma szansy powodzenia. Do diabła z tym wszystkim! Ułożył się wygodniej, próbując zasnąć, jednak wciąż miał przed oczyma obraz walki. "Na swój sposób jesteś wielkim człowiekiem Temuchinie - myślał. - Ale mam zamiar cię zniszczyć".

Deszcz padał bezlitośnie. O pierwszym brzasku ruszyli dalej, posuwając się cichą kolumną przez zamglony las. Wzięty do niewoli chłop szczął zębami ze strachu, dopóki nie rozpoznał polany i ścieżki. Szczęśliwy i uśmiechnięty, pokazał im właściwą drogę. Wepchnięto mu w usta kawałek jego własnego ubrania, by nie mógł krzyczeć.

Nagle usłyszeli trzask łamanych gałązek i jakieś głosy. Kolumna stanęła w milczeniu. Do szyi jeńca przytknięto miecz. Nikt się nie poruszył. Rozmowa stawała się coraz głośniejsza i zza zakrętu wyszło dwóch ludzi. Zrobili parę kroków nim dostrzegli nieruchome, ciche postacie majaczące we mgle tuż przed nimi. Zanim zdążyli cokolwiek zrobić ugodziło ich pół tuzina strzał.

- Co to za kije mają w rękach? - spytał Jasona Temuchin.

Jason zsunął się z siodła odwrócił butem najbliższe zwłoki.

Mężczyzna był bez zbroi. Miał tylko lekki, żelazny napierśnik i hełm na głowie. Odziany był w skórę i szorstkie sukno. W ręku wciąż jeszcze ścisnął coś, co wyglądało jak prymitywny muszkiet.

- Nazywają to strzelbą - odrzekł Jason, podnosząc broń.

- Do tego właśnie używa się prochu, który wyrzuca kawałek metalu i zabija. Proch i metal wkłada się do tej rury. Kiedy naciśnie się na małą dźwigienkę, ten kamień wysyła iskrę do prochu, który wybuchą i wyrzuca metal.

Podniósłszy głowę Jason zauważył, że każdy spośród znajdujących się w zasięgu jego głosu wojowników trzyma wycelowany w niego, napięty łuk. Ostrożnie odłożył broń i sięgnął po dwa skórzane mieszki, wiszące u pasa zabitego. Zajrzał do środka.

- Tak właśnie myślałem. Tu są kule i przybitki, a tutaj proch. - mruknął drugi woreczek Temuchinowi, który spojrział do środka i powąchał zawartość.

- Nie ma tego zbyt wiele - stwierdził.

- Do tych strzelb nie potrzeba dużo prochu, ale na pewno tam, skąd przyszli jest go więcej.

- Też tak sądzę - powiedział Temuchin, dając znak do wymarszu.

Ruszyli, gdy tylko pozbierano strzały, a zwłoki po odcięciu kciuków odciągnięto na bok. Temuchin sam wiozł oba muszkiety.

Nie minęło dziesięć minut, gdy ścieżka przywiodła ich na skraj lasu. Przed nimi rozpościerała się ogromna łąka. Przez jej środek płynęła rzeka. Nad brzegiem stał kamienny

budynek z wysoką wieżą. Na jej szczycie widać było dwie postacie.

- Jeniec mówi, że to jest miejsce, gdzie są żołnierze - odezwał się oficer, który pełnił rolę tłumacza.

- Zapytaj go, ile jest wejść do budynku -  
rozkazał Temuchin.

- Mówi, że nie wie.

- Zabij go.

Krótkie pchnięcie mieczem zlikwidowało jeńca,  
a jego zwłoki wylądowały w krzakach.

- Z tej strony jest tylko jedno, małe wejście  
i kilka wąskich otworów, przez które mogą  
strzelać z łuków i muszkietów - powiedział  
wódz. - To mi się nie podoba. Niech dwóch  
ludzi obejrzy pozostałe ściany. Co to za  
okragła rzecz. tam nad murem? - zapytał  
Jasona.

- Nie wiem, ale się domyślam. To może być  
strzelba, taka sama jak te, tylko dużo  
większa, która wyrzuca duży kawał metalu.

- Tak też myślę - powiedział Temuchin i  
zmrugał oczy w zamyśleniu.

Wydał jakieś rozkazy dwóm żołnierzom, którzy  
zawrócili i pojechali ścieżką z powrotem.  
Zwiadowcy zsiadli z wierzchowców i cicho  
ukryli się w trawie. Koczownicy, którzy  
nauczyli kryć się na całkowicie jałowych  
równinach, wśród drzew rozpląnęli się  
zupełnie.

Nie schodząc z wierzchowców, wojownicy  
cierpliwie czekali na powrót zwiadu.

- Jest tak, jak myślałem - odezwał się  
Temuchin, gdy po powrocie złożyli mu raport. -  
Miejsce jest solidnie zbudowane. Przeznaczone  
specjalnie do obrony. Z drugiej strony, nad  
wodą, jest taka sama brama. Nocą łatwo  
zdobylibyśmy tę wartownię, ale nie chcę czekać  
tak długo. Czy umiesz użyć tej strzelby? -  
zwrócił się do Jasona.

Jason niechętnie kiwał głową. Przejrzał plan  
Temuchina, jeszcze zanim zobaczył dwóch  
wojowników powracających z zabitym żołnierzem.  
W tym świecie walczyli wszyscy, nawet grający  
na lutni eksperci od broni palnej. Jason  
próbował znaleźć jakiś sposób, by się od tego  
wymigać, ale było to niemożliwe. Wolał więc

zgodzić się dobrowolnie. Temuchinowi nie spawiało to zresztą żadnej różnicy. Chciał, by brama została otwarta, a Jason najlepiej nadawał się do tej roboty.

Przebierając się w mundur żołnierza zdołał zakryć w nim dziury po strzałach i usunąć większość krwi. Resztę plam zamaskował błotem. Zaczął padać ulewny deszcz, który powinien mu pomóc. Wkładając mundur zawołał oficera, który przedtem służył za tłumacza i kazał mu w kółko powtarzać w miejscowym języku prosty zwrot: „Otwieraj szybko” tak długo, aż stwierdził, że się go nauczył. Nie było to skomplikowane. Jeśli będą nalegać na dłuższą konwersację, to właściwie już nie żył.

- Zrozumiałeś, co masz robić? - spytał Temuchin.

- To proste. Podchodzę pod bramę od strony rzeki, kiedy wy będziecie czekać w lesie nad jej brzegiem. Powiem, by otworzyli, a oni otworzą. Wchodzę do środka i robię wszystko, by brama nie została zamknięta dopóki nie nadjedziecie.

- Będziemy bardzo szybko.

- Wiem, ale i tak będę sam...

Jason kazał jednemu z żołnierzy potrzymać hełm nad panewką, po czym zdmuchnął wilgotny proch. Chciał mieć pewność, by muskiet wypalił ten jeden, jedyny raz. Nasypał na panewkę świeżego prochu i dla zabezpieczenia przed wilgocią, owinał go kawałkiem skóry. Wskazał na strzelbę.

- Ta rzecz wystrzeli tylko raz, gdyż nie będę miał czasu załadować powtórnie. Nie podoba mi się też ten miecz, więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym dostać z powrotem nóż Pyrrusan.

Temuchin bez słowa podał mu nóż. Jason odrzucił miecz i wsunął nóż za pas. Hełm śmierdział potem, ale zapadał nisko na oczy, Jason był z tego powodu zadowolony. Wolał miecz zasłoniętą twarz.



- Idź już - Temuchina najwyraźniej irytowała zwłoka.

Jason uśmiechnął się chłodno i ruszył między drzewa. Nie zdążył przejść nawet pięćdziesięciu metrów przez gęsty, bagnisty teren, a był już przemoczony do pasa. Ale nie to go martwiło. Przedzierając się przez mokry las, zastanawiał się, jak to się stało, że dał się wciągnąć w takie szaleństwo. Proch - tak, to był powód. Kłął głośno i soczyście. W końcu wyjrzał ostrożnie na ufortyfikowany budynek, ledwie widoczny w deszczu. Jeszcze dwadzieścia metrów. Przyspieszył. Opuścił bezpieczny las i ruszył w stronę rzeki.

Stanął na brzegu i spojrzął w dół. Rzeka niosąca w swym nurcie tony błota była pełna wirów. Deszcz siekł powierzchnię wody, tworząc coraz to nowe kręgi. Jason miał ochotę sprawdzić proch na panewce, ale wiedział, że nie byłoby to zbyt rozsądne. "Zrób to pomyślał. - Po prostu - zrób to". Z opuszczoną głową ciężko powłókł się w stronę majaczącego w deszczu budynku.

Jeśli nawet ktoś go obserwował z wieży, nie było żadnej reakcji. Zerkając spod krawędzi hełmu Jason podszedł bliżej, przyciskając muszkiet do piersi. Był już na tyle blisko, że widział powykruszaną zaprawę między grubo ciosanymi kamieniami i potężne sworznie, którymi były ponabijane drewniane wrota. Żołnierze zareagowali, gdy znalazł się niedaleko muru. Jeden z nich wychylił się i krzyknął coś niezrozumiale. Jason pomachał mu ręką i powłókł się dalej. Kiedy mężczyzna zawołał powtórnie, Jason krzyknął:

- Otwieraj!

Miał nadzieję, że zachował przy tym poprawny akcent. Starał się, by jego głos zabrzmiał jak najbardziej ochryple. Był pod samym murem, znikając z pola widzenia strażnika, który wciąż czegoś od niego chciał. Drzwi, potężne i nieruchome, były na wyciągnięcie ręki. Nie się

nie działało, tylko wzrosło jeszcze napięcie. Rozległ się zgrzytliwy dźwięk i zobaczył lufę muszkietu wysuwającą się przez wąskie okienko, na prawo od drzwi.

- Otwieraj, szybko! - krzyknął i zaczął walić w bramę.

- Otwieraj!

Przyłgnał płasko do drzwi, by znaleźć się poza zasięgiem lufy i dalej tłukł w bramę kolbą muszkietu. W środku fortecy słychać było poruszenie, ale Jasonowi jeszcze głośniejsze brzmiał w uszach własny puls, dudniący jak bęben.

Czy mógł się stąd wydostać? Gdyby spróbował, rozstrzelaliby go obie strony, ale nie mógł też tak stać bezsilny, w pułapce. Podniósł muszkiet, by znów zabębnić w drzwi, gdy usłyszał szcęk ciężkiego łańcucha i zgrzyt odsuwanej zasuwki. Nie odwijając skóry chroniącej muszkiet, odwiódł kurek.

Gdy tylko wrota zaczęły się otwierać, napał na nie całym ciałem, usiłując rozewrzeć je na oścież.

Nie zatrzymując się, wpadł na kwadratowy dziedziniec, znajdujący się we wnętrzu twierdzy. Kątem oka spostrzegł, że człowiek, który otwierał mu bramę, przytrzaśnięty osuwa się na ziemię. Tylko tyle zdążył zauważyć. „Uderzaj mocno, szybko i nie zatrzymuj się” - powtórzył w myślach jedną ze swych zasad. W ten sposób walczyli nomadowie. I mieli rację. Na wprost Jasona stała grupka żołnierzy, mierząc do niego z muszkietów, a nieco z boku jeden wznosił do ciosu miecz. Zanim zdążyli wystrzelić, Jason krzyknął i runął pośród nich. Tuż przed atakiem zdążył nacisnąć spust i był mile zaskoczony, gdy muszkiet wypalił z głuchym łoskotem. Jeden z przeciwników upadł, chwytając się za pierś. Był to ostatni fakt, który Jason zapamiętał dokładnie. Wywijając muszkietem jak maczugą, niczym taran runął na żołnierzy.

Zrobiło się straszne zamieszanie. Cisnął muszkiet w jednego z nich, drugiego kopnął i wyrwawszy zza pasa nóż, zaczął nim dziko wywijać. Jakiś człowiek, ranny czy zabity, upadł na niego. Jason chwycił bezwładne ciało i osłaniając się nim jak tarczą, zadawał ciosy na prawo i lewo. Nagle poczuł ostry ból w nodze, potem w ramieniu i w boku, w końcu coś go walnęło w głowę. Jeszcze raz uderzył nożem i zdał sobie sprawę, że pada. Pod sobą poczuł ziemię, a na sobie nieruchome ciało martwego żołnierza. Jeden z nieprzyjaciół usiłował dobić go mieczem. Jason prawie od niechcienia odparował cios i zatopił ostrze w podbrzuszu mężczyzny. Trysnęła krew; wróg upadł wyjąc. Jason musiał zepchnąć z siebie jego ciało, by cokolwiek zobaczyć. Zanim to zrobił, los krótkiej bitwy był już przesadzony. Pędząc na łeb na szyję w kierunku bramy, wpadł pierwszy wojownik Temuchina. Musiał nadjechać w pełnym galopie i zeskoczyć z siodła, gdy bestia wchodziła w zakręt. Był to wódz we własnej osobie. Jason rozpoznał go, gdyż z rykiem, jednym ciosem położył dwóch napastników. Reszta była już tylko rzezią niedobitków. Gdy tylko minęło bezpośrednio niebezpieczeństwo, Jason odgrzebał się spod trupów. Na chwiejnych nogach podszedł do ściany i oparł się o nią plecami. Dzwonienie w głowie zamieniło się w uporczywy szum. Zdjął hełm i zobaczył wielkie wgniecenie na jego powierzchni. Dobrze, że przynajmniej w czasie nie miał takiego dołka. Dotknął palcami bolącego miejsca, a potem uważnie obejrzał rękę. Nie było krwi. Za to ciekło jej dostatecznie dużo z nogi i z boku. Płytkie draśnięcie, tuż poniżej półpancerza broczyło obficie, chociaż rana, podobnie jak na ramieniu, była powierzchowna. Mniej krwawiła noga, zraniona poważnie głębokim pchnięciem w udo. Bolało, ale mógł chodzić; nie miał najmniejszej ochoty by go uznano za kalekę i

potraktowano jak żołnierza na farmie. W sakwach przy siodle miał parę kawałków sterylizowanej irchy, którymi mógłby zabandażować rany, ale nim się tam dostanie... Po chwili, gdy Temuchin dał nura przez bramę, nie było najmniejszych wątpliwości co do wyniku bitwy. Żołnierze z garnizonu nigdy przedtem nie spotkali wroga mogącego się równać tym barbarzyńskim demonom, które na nich napadły. Muszkiety bardziej zawadzały niż pomagały. Z łuków można było strzelać szybciej i celniej. Część żołnierzy uciekła, część została by walczyć, jednak w obu przypadkach rezultat był taki sam. Byli wyrzynani. Krzyki oddalały się i cichły, w miarę jak ci, co przeżyli, chronili się w budynku.

Krew zmieszana z deszczem pokryła dziedziniec. Wszędzie walały się ciała poległych. Samotny koczownik leżał przy bramie - tam, gdzie go zatrzymała kula. Był chyba jedyną ofiarą po stronie najeźdźców.

Jason kątem oka uchwycił jakiś ruch. Zobaczył, jak jeden ze strażników wychylił głowę nad szczytu wieży, gdzie się ukrywał. Coś krótko brzęknęło w powietrzu i w oku żołnierza utkwiała strzała. Przewrócił się na plecy, znikając z pola widzenia - tym razem na dobre. Nie było już słychać jęków, ani błagania o litość - twierdza została zdobyta. Koczownicy w ciszy snuli się między trupami, co chwila schylając się by dokonać ohydnej, rytualnej amputacji. Temuchin wyszedł z budynku, trzymając w ręku okrwawiony miecz. Przywołał jednego ze swych ludzi do stosu ciał przy bramie.

- Trzej należą do minstrala - powiedział - Reszta kciuków jest moja.

Żołnierz pochylił się i wyjął sztylet. Temuchin zwrócił się do Jasona.

- Są tam sale z różnymi rzeczami. Znajdziesz proch. Jason podniósł się, znacznie szybciej niż miał zamiar. Nagle stwierdził, że wciąż

jeszcze trzyma zakrwawiony nóż. Wytarł go w ubranie najbliższego trupa i podał Temuchinowi. Ten przyjął go bez słowa, po czym odwrócił się i wszedł do budynku. Jason poszedł za nim, starając się nie powłóczyć nogą.

Ahankk i jakiś drugi oficer stali na straży przy wejściu do niskiej piwnicy. Jason pchnął drzwi i zatrzymał się na progu. Wewnątrz znajdowały się kosze ołowianych kul, pociski armatnie, zapasowe miecze i muszkiety, a także pewna ilość pękatych beczulek, zatkanych drewnianymi szpuntami.

- To chyba to - powiedział Jason, wskazując na beczki. Zatrzymał ramieniem Temuchina, gdy ten ruszył do przodu.

- Nie wchodź tu. Spójrz na te szare ziarenka na podłodze. Tam, przy otwartej beczce. Bardzo przypominają rozsypany proch. Idąc po tym możesz spowodować wybuch. Pozwól, że to sprzątnę, nim ktokolwiek wejdzie.

Schylając się, poczuł przeszywający ból w boku i w nodze. Zrobił wszystko, by nie dać tego po sobie poznać.

Kawałkiem zwiniętego sukna zrobił ścieżkę przez piwnicę. Otwarta beczułka rzeczywiście zawierała proch. Delikatnie wysypał do środka nieregularne ziarenka i zaczął zatykać otwór. Ostrożnie podnosząc baryłkę, podał ją Ahankkowi.

- Nie upuść, nie uderz, nie zaprósz ognia i nie pozwól, by zmokła. I przyślij - policzył szybko - dziewięciu ludzi po resztę. Przekaż im, co ci powiedziałem.

Ahankk odwrócił się i w tym momencie budynkiem wstrząsnął huk eksplozji. Jason skoczył do okna. Wybuch zmiotł wielki fragment wieży. Odpryski kamieni lądowały w błocie a chmura pyłu znikła w padającym deszczu. Po chwili ściany zdrząły od nowego wstrząsu. Przez bramę wpadł koczownik, krzycząc głośno w swym narzeczu.

- Co on mówi? - zapytał Jason.

Temuchin zacisnął pięści. - Idzie wielu żołnierzy. Strzela ją z wielkiego muszkietu. Stąd ten hałas. Wiele dłoni żołnierzy. Więcej niż zdołał policzyć.

## **Rozdział XI**

Nie było żadnej paniki, zaledwie lekkie ożywienie. Wojna to wojna. Obce środowisko, deszcz, nowe bronie - nic nie mogło naruszyć spokoju barbarzyńców, czy też ich zdolności bojowej. Ludzie, którzy zaatakowali statek kosmiczny, do ładowanego przez lufę działa mogli się odnieść tylko z pogardą.

Ahankk doglądał załadunku prochu, natomiast Temuchin poszedł na ostrzelowaną wieżę, by osobiście sprawdzić, jakie są siły atakujących. Jeszcze jeden pocisk trafił w jej ścianę. Kule bzycały niczym rój pszczół, lecz on stał tam, nieporuszony, aż zorientował się w sytuacji i wydał swym ludziom rozkazy.

Jason podążył za żołnierzami niosącymi proch. Gdy wychodzili stwierdził, że wódz jest ostatnim człowiekiem opuszczającym twierdzę.

- Tędy, przez tę bramę - rozkazał Temuchin, pokazując wyjście od strony rzeki. - Tamci nie mogą jeszcze widzieć moropów ukrytych za murem. Ci, co wiozą proch - na siodła. Na mój sygnał wszyscy ruszycie prosto do lasu. Reszta spróbuje zatrzymać żołnierzy. Dołączymy później.

- Jak myślisz, ilu ich jest? - zapytał Jason, gdy grupa transportująca proch odjechała.

- Wielu. Dwie ręce razy cały człowiek, może więcej. Pojedziesz za tymi, co wiozą proch. Atak się zbliża.

Kule świszcząc, odbijały się od murów lub wpadały przez okienka strzelnic. Słychać było ryk atakujących.

"Cały człowiek - myślał Jason, kuśtykając w stronę swego moropa - to chyba palce rąk i nóg, czyli dwadzieścia. Razy jedna dłoń, to setka, a razy dwie dłonie, dwieście. Ich grupa w najlepszym wypadku liczyła dwadzieścia trzy osoby, jeżeli nikt więcej nie zginął w czasie ostatecznego ataku. Dziesięciu, razem z Jasonem w charakterze doradcy technicznego, odejdzie z prochem. Zostaje trzynastu. Trzynastu przeciw dwóm setkom! Niezłe proporcje".

Wypadki zaczęły się teraz toczyć bardzo szybko. Jason zaledwie zdążył wgramolić się na moropa, gdy tamci odjechali. Ruszył więc jako straż tylna. Gdy wyjechali na tyły fortecy, pojawili się pierwsi napastnicy. Pozostała trzynastka ruszyła do ataku i zwycięski ryk

nadciągających wojowników zmienił się w okrzyki trwogi i bólu. Jason obejrzał się przez ramię i dostrzegł wywrócone działo i uciekających we wszystkie strony żołnierzy. Zaraz potem wpadł między drzewa i musiał skupić całą uwagę, by uniknąć zderzenia z gałęziami.

Czekali, osłonięci lasem. Po minucie rozległ się tętent galopujących moropów i siedem wierzchowców wpadło między mokre krzewy. Jedno zwierzę niosło dwu jeźdźców. Z każdą potyczką było ich coraz mniej.

- W drogę! - rozkazał Temuchin. Wracajcie tą samą drogą, którą tu przyjechaliśmy. My zostaniemy tutaj, by opóźnić pogoń.

Gdy tylko Jason z towarzyszami ruszyli, oddział Temuchina zsiadł z wierzchowców i zajął stanowiska na skraju lasu. Chyba tylko zdecydowany atak mógł ich teraz pokonać.

Jason nie był zachwycony tą podróżą. Nie miał odwagi zabrać ze sobą medpakietu i teraz żałował, że nie podjął ryzyka. Nawet nie próbował opatrzeć krwawiących ran zeszywniała ircha. Nie było to możliwe w czasie jazdy krętym traktem na trzęsącym się grzbiecie moropa. Pocieszała go tylko myśl, że może już nigdy nie będzie musiał dosiadać bydlaka. Zanim dotarli do splądrowanego gospodarstwa, dołączyli do nich pozostali jeźdźcy i już cała grupa popędzili w głuchym milczeniu.

Jason zupełnie stracił orientację wśród płataniny drzew. Wszystkie ścieżki pokryte całunem mgły wydawały mu się jednakowe. Jedank nomadowie wykazywali znacznie lepszą orientację w terenie i bez wahania pędzili ku swemu celowi. Moropy zaczynały słabnąć. Poruszały się tylko dzięki temu, że jeźdźcy ciągle kłuli je ostrogami. Z boków ściekała im krew, wsiakając w wilgotne futro.

Gdy dojechali do rzeki, Temuchin zarządził postój.



- Zsiadać! - rozkazał. - Zabierzcie z juków tylko niezbędne rzeczy. Zwierzęta zostawimy tutaj. Teraz nad rzekę, pojedynczo.

Ruszył pierwszy, prowadząc swojego moropa. Jason był zbyt otępiały zmęczeniem i bólem by się zorientować, co się dzieje. Kiedy w końcu dotarł ze swym wierzchowcem nad rzekę, był zaskoczony widząc na brzegu jedynie grupę ludzi i ani jednego moropa.

- Czy masz wszystko, czego potrzebujesz? - zapytał Temuchin, odbierając wodze i prowadząc zwierzę nad wodę.

Gdy Jason potwierdził, wódz chlasnął nożem po gardle moropa, prawie odcinając mu głowę. Odskoczył, by uniknąć strugi krwi. Pchnął nogą chwiejące się zwierzę, które wpadło do rzeki. Bystry nurt szybko zabrał ciało.

- Machina nie wciągnie moropa na klif - powiedział.

- A nie chcę, by ich ciała zostały w pobliżu miejsca lądowania. Inaczej znajdą je żołnierze i będą na nas czekać. Pójdziemy pieszo.

- Spojrzał na zranioną nogę Jasona. Możesz iść?

- Oczywiście. Nigdy nie czułem się lepiej. - Odrzekł Jason. - Mała przechadzka po dwóch nieprzespanych nocach i tysiąc kilometrowej jeździe dobrze mi robi. Idziemy.

- Odmaszerował, tak szybko jak mógł starając się nie kuleć.

-Dowieziemy proch, a ja pokażę ci, jak go używać - przypomniał na wypadek,.. gdyby wódz miał krótką pamięć.

Nie był to lekki spacer. Nie robili postojów. W czasie marszu przekazywali sobie baryłki z prochem, żeby odciążyć towarzyszy. Na szczęście Jason i pozostali ranni byli zwolnieni z tego obowiązku. Również wspinaczka na wzgórze, po śliskiej trawie nie była rzeczą łatwą.

Noga Jasona bolała potwornie. Krew wciąż sączyła się do buta nieprzerwanym strumieniem.

Marsz zdawał się nie mieć końca. Jason zaczął zostawać z tyłu. W końcu wyprzedzili go wszyscy i w pewnej chwili zginęli mu z oczu za grzbietem wzgórza. Otarł z twarzy deszcz i pot. Kuśtykając dalej, starał się trzymać ścieżki mającej w wysokiej trawie. Na szczycie wzgórza pojawił się Temuchin, znacząco kładąc dłoń na rękojeści miecza. Jason zdobył się na rozsadzający płuca wysiłek i przyspieszył. Gdyby osłabi, podzieliliby los moropów.

Miał wrażenie, że idzie całe wieki. W końcu dotarł do szczytu wzgórza, mile tym faktem zaskoczony.

Na trawie, plecami do znajomej skały, siedziała grupka ludzi.

- Temuchin już pojechał - powiedział Ahankk. - Ty jedziesz następny. Pierwszych dziesięciu mężczyzn zabiera baryłki z prochem.

- Świetny pomysł - odparł Jason, padając na mokrą trawę.

Leżał długo, na wpół przytomny, nim zdołał usiąść, by jakoś założyć szorstkie opatrunki. Jeden z koczowników podał mu baryłkę prochu oplecioną rzemieniami. Skórzany pas, który był do niej przyczepiony, założył sobie na szyję. W chwilę później pojawiła się lina i Jason pozwolił się do niej przywiązać. Tym razem perspektywa upadku w przepaść nie przejmowała go w najmniejszym stopniu. Oparł głowę o baryłkę z prochem i momentalnie zapadł w sen. Spał przez całą drogę. Obudził się dopiero na szczycie klifu, gdy uderzył czołem w skalną półkę. Czekały już na nich nowe moropy. Jasonowi pozwolono od razu wracać do obozu. Nie musiał taszczyć prochu. Pozwolił zwierzęciu wlec się najwolniej, jak tylko się dało. Nie zniósłby już kołysania, ale i tak kiedy dotarł do swego camachu nie miał już siły nawet zejść z wierzchowca.

- Meta - wychrypiął - pomóż rannemu weteranowi wojen.

Zachwiał się, gdy wytknęła głowę z namiotu i bezwładnie osunął się z siodła. Złapała go w locie i na własnych rękach wniosła do namiotu. To było miłe.

- Powinieneś coś zjeść wypić.

Meta była uparta. - Dość już

- Bzdura - odrzekł, popijając z żelaznego kubka. -.Po prostu brak mi krwi. Mepakiet powiedział, że nieco jej straciłem i dla wyrównania niedoborów dał mi zastrzyk z żelaza. Poza tym jestem zbyt zmęczony, by jeść.

- Z odczytu wynika, że potrzebujesz transfuzji.

- Raczej trudno ją tutaj zrobić. Będę pił dużo wody, a co wieczór będę jadł kozią wątróbkę.

- Otwierać! - krzyknął ktoś, szarpiąc kłapę przy wejściu. - Rozkazuję w imieniu Temuchina. Meta schowała medpakiet pod futra i podeszła do wejścia. Grif, który rozdmuchiwał ogień, podniósł lancę i zaczął się nią bawić.

- Pójdiesz teraz do Temuchina.

- Zaraz przyjdzie. Powiedz mu to. Żołnierz wszczął kłótnię, lecz Meta chwyciła go za nos i wypchnęła z namiotu. Zasznurowała z powrotem wejście.

- Nie możesz iść - powiedziała.

- Nie mam wyboru. Rany zszyliśmy struną z jelit, co jest do przyjęcia. Antybiotyków nie wy kryje, a żelazo jest właśnie wchłonięte przez szpik kostny.

- Nie o to chodzi - Meta była zła.

- Wiem, ale niewiele możemy na to poradzić. Wyjął medpakiet i nastawił tarczę kontrolną.

- Taaak... Znieczulenie na nogę żebym mógł chodzić i mocna dawka stymulatorów. Wiem, że przez tę lekomanię skracam sobie życie o ładnych parę lat, ale mam nadzieję, że ktoś to doceni.

Kiedy wstał. Meta chwyciła go za ramię.

- Nie pójdiesz.

Jason użył delikatniejszego oręża - ujął w dłonie jej twarz i czule ucałował. Grif prychnął pogardliwie i odwrócił się w stronę ogniska. Ręce dziewczyny opadły.

- Jason! powiedziała z niepokojem. - Nie podoba mi się to. Nic ci nie mogę pomóc.

- Jeszcze mi pomożesz, tylko nie teraz. Po prostu, wytrzymaj jeszcze trochę. Pokażę Temuchinowi jak się robi wiekie "bum!" i zwijamy się na statek. Powiem mu, że przyprowadzę szczep Pyrrusan, co zresztą i tak miałem zrobić oraz parę innych rzeczy. Plany są ustalone i tryby maszyny zaczynają się obracać. Wkrótce dla Felicity nadejdzie nowy dzień.

Narkotyki odurzyły go nieco i święcie wierzył w każde swoje słowo. Meta, która tak wiele czasu spędziła w tym mroźnym obozie, pochylona nad ogniskiem z odchodów moropa, nie czuła takiego entuzjazmu. Pozwoliła mu jednak iść. Obowiązek na pierwszym miejscu - tego każdy Pyrrusanin uczył się od kołyski. Temuchin już czekał. Nie było po nim widać śladu zmęczenia.

- Spraw, bv wybuchło - rzekł, wskazując na baryłki z prochem stojące na podłodze camachu.

- Nie tutaj i nie w tej chwili. Chyba, że planujesz samobójstwo. Potrzebuję czegoś w rodzaju pojemnika, niezbyt dużego, który można by zaczipować.

- Mów, czego ci potrzeba. Wszystko zostanie przyniesione.

Wódz najwyraźniej chciał potraktować te wybuchowe eksperymenty jako "ściśle tajne". Jasonowi najzupełniej to odpowiadało. Camach był ciepły i względnie wygodny, jedzenie i picie miał pod ręką. Czekać na pojemnik, usiadł wygodnie na futrach, walcząc z pieczonym, kozim udźcem; następnie wytarł ręce w kurtkę i przystąpił do pracy.

Przyniesiono mu sporą liczbę glinianych garnków. Jason wybrał najmniejszy - wielkości

kubka do kawy. Potem wyciągnął szpunt z jednej z baryłek i delikatnie strząsnął trochę prochu na kawałek skóry. Ziarenka nie były jednolite, ale nie sądził, by miało to większy wpływ na szybkość spalania. Z pewnością substancja sprawdzała się w muszkietach. Używając kawałka sztywnej skóry jako czarpaka, ostrożnie napełnił do połowy garnek. Wcześniej przygotowany krążek z irchy umieścił na wierzchu i delikatnie uklepał proch zaokrąglonym końcem ogryzionej kości. Temuchin stał z tyłu, obserwując uważnie każdy etap przygotowań.

- Granulki powinny być blisko siebie dla równego spalania, a przynajmniej tak mówił pewien człowiek z mojego plemienia, który znał się na rzeczy - wyjaśniał Jason. Dla mnie to wszystko jest równie nowe, jak dla ciebie. Skóra ma przytrzymywać ziarna na swoim miejscu oraz zabezpieczyć je przed zamoczeniem.

Jason przygotował mieszaninę wody, pokruszonego nawozu i ziemi z podłogi camachu. Uzyskał z tego wilgotną, gliniastą masę, którą teraz zalepił garnek. Uklepał równo powierzchnię.

- Mówią, że proch, aby wybuchnąć, musi być całkowicie zamknięty. Jeśli są jakieś otwory, ogień przez nie wyleci i substancja po prostu się spali.

- W jaki sposób ogień dostanie się do środka? - zapytał Temuchin.'

Marszcząc brwi starał się nadażyć za wyjaśnieniami. Jak na nieradzącego sobie z rachunkami analfabetę bez szczypty wiedzy technicznej, radził sobie zupełnie nieźle. Jason podniósł jedną z wielkich stalowych igieł, używanych do zszywania skór.

- Zadałeś słuszne pytanie. Skorupa jest już dostatecznie sucha. Mogę się teraz przebić do prochu przez błoto i skórę. Potem drugim końcem igły wepchnę w dziurkę kawałek płótna. Mam go od tego wojownika, który pozabawił

ubrania jakiegoś mieszkańca nizin. Tkaninę nasaczyłem tłuszczem, by się lepiej paliła. - Zważył w rękę zrobiony z garnuszka granat. - Myślę, że jesteście gotowi.

Temuchin majestatycznie wyszedł na zewnątrz, a Jason z bombą w jednej ręce i migocącym kagankiem w drugiej, podążył za nim. Przed namiotem wodza oczyszczono plac, a żołnierze trzymali ciekawskich w należytej odległości. Rozeszła się wieść, że ma się dziać coś dziwnego i niebezpiecznego, więc koczownicy zbiegli się trumnie z całego obozowiska. Ulokowali się ciasno w przejściach między camachami. Jason położył ostrożnie bombę na środku placu

i wrzasnął:

- Jeśli to zadziała, będzie głośny huk, dym i ogień. Niektórzy z was wiedzą, co mam na myśli. A więc - zaczynamy!

Schylił się i przytknął lampę do lontu. Tkanina paliła się na tyle wolno, że mógł poczekać kilka sekund, by się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Dopiero wtedy odwrócił się i cofnął pod namiot wodza.

Nawet wywołana stymulatorami pewność siebie Jasona nie wytrzymała rozczarowania. Lont najpierw się palił, potem dymił, potem wyrzucił parę iskier i wreszcie zgasł. Jason nie bacząc na niecierpliwie pomruki, a nawet gniewne okrzyki, odczekał dłuższą chwilę. Nie miał ochoty pochylać się nad bombą i dostać w twarz ogniem eksplozji. Dopiero gdy Temuchin dotknął znacząco swego noża, Jason podszedł, mając nadzieję, że sprawia wrażenie bardziej swobodnego, niż się czuł. Spojrzał na poczerniały otwór, w który wchodził lont, mądrze pokiwał głową, po czym wrócił do camachu.

- Lont wypalił się, zanim ogień dotarł do prochu. Potrzebna jest większa większa dziura lub lepszy lont. Właśnie przypomniałem sobie

inną zwrotkę „Pieśni o Bombie”, która o tym mówi.

Wszedł do camachu, zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować. Lont powinien zawierać proch, tak by się mógł palić nawet bez powietrza. Musiał taki zrobić, inaczej ogień nie przedostanie się przez warstwę błota. Prochu było pod dostatkiem, ale w co go owinać? Najlepszy byłby papier, lecz skąd go wziąć? A może... Upewnił się, że wyjście jest dobrze zabezpieczone i że jest sam w namiocie. Sięgnął do sakwy, którą miał u pasa i wydobył medpakiet. Zabrał go, pomimo ryzyka, nie miał bowiem zielonego pojęcia, ile czasu zajmie mu ta zabawa, a nie chciał stracić przytomności, zanim nie będzie po wszystkim.

Naciśnięcie, przekręcenie i otwarcie komory dystrybutora zajęło mu zaledwie sekundę. Na ampułkach leżała zwinięta instrukcja obsługi. Akurat taka, jakiej potrzebował. Szybko schował medpakiet.

Wykonanie lontu było dość proste, chociaż musiał osobno zawiązać w papier praktycznie każde ziarno prochu, by nie palił się zbyt szybko. Kiedy skończył, natarł papier olejem i przyczernił sadzą, by ukryć jego pierwotną barwę.

- To powinno wystarczyć - powiedział do siebie. Zabrał lont i wyszedł na plac. Przygotowań było chyba aż nadto. Nomadowie drwili z niego otwarcie i obrzucali wyzwiskami, a Temuchin pobladł z wściekłości. Bomba nadal leżała niewinnie tam, gdzie ją zostawił. Udając, że nie słyszy niepocholebnych uwag, Jason pochylił się nad nią i zrobił nowy otwór w glinianej skorupie. Wolał nie ryzykować wpychając w proch nadpaloną szmatę. I tak to, co robił, było dość ryzykowne. Pot na jego czole, nie miał nic wspólnego z chłodnym powietrzem poranka.

- Teraz powinno zadziałać - stwierdził, przytykając płomień.

Papier zatlił się szybko, wyrzucając w powietrze snop iskier. Jason rzucił na szybko sunący wzdłuż lontu płomień jedno spojrzenie, odwrócił się i zaczął uciekać.

Tym razem rezultat był imponujący. Bomba eksplodowała z należytyym hukiem, a fragmenty garnka pofrunęły na wszystkie strony, dziurawiąc kilka namiotów i lekko raniąc niektórych widzów. Jason był tak blisko, że siła eksplozji przewróciła go na ziemię. Temuchin, nieporuszony, nadal stał u wejścia camachu, ale był chyba trochę bardziej zadowolony. Nieliczne okrzyki bólu utknęły w entuzjastycznej wrzawie i radosnym klepaniu się po plecach. Jason trzęsąc się usiadł i obmacał całe ciało, ale nie znalazł nowych obrażeń.

- Czy możesz zrobić większe bomby? - w oczach Temuchina zabłysła nadzieja na większe możliwości niszczenia.

- Oczywiście. Ale mógłbym co dokładniej odpowiedzieć gdybyś mi powiedział, do czego chcesz ich użyć.

Zanim Temuchin zdążył wyjaśnić, dobiegł ich zgiełk dochodzący z przeciwnej strony obozu. Przez tłum usiłowało się precyzyjnie kilku jeźdźców na moropach, co najwyraźniej nie podobało się koczownikom. Słychać było gniewne wrzaski i przekleństwa.

- Kto się zjawia bez mego pozwolenia? - Temuchin był wściekły. Sięgnął po miecz, a gardia przyboczna otoczyła go, nastawiając groźnie lance.

Pierwszy rząd gapiów rozpięchł się na boki, by uniknąć stratowania przez moropy. Jeźdźcy przedarli się na plac.

- Kto tak hałasuje? - zapytał jeden z przybyłych głosem równie nawykłym do rozkazywania, jak głos Temuchina. Jason znał skądś ten tembr. To był Kerk.

Temuchin z wściekłością postąpił naprzód w otoczeniu swych ludzi, podczas gdy Kerk, Rhes



i pozostali Pyrrusanie zsiadli z wierzchowców. Szykowało się naprawdę niezłe mordobicie.

- Czekaście - krzyknął Jason, rzucając się między dwie grupy, najwyraźniej dążące do konfrontacji. - To są właśnie Pyrrusanie! Moje plemię. Wojownicy, którzy przybyli, by połączyć się z siłami Temuchina.

- Spokojnie - szepnął do Kerka. - Odpręż się. Przykleknij nieco, zanim nas zmasakrują.

Kerk zignorował sugestię. Zatrzymał się. Wyglądał na równie poirytowanego jak Temuchin i równie znacząco dotykał rękojeści miecza. Temuchin ruszył niczym czołg; Jason musiał uskoczyć mu z drogi. Wódz zatrzymał się tak blisko, że stopami niemal dotykał nóg Kerka. Mierzyli się wzrokiem, stojąc twarzą w twarz. Byli do siebie bardzo podobni. Wódz był wyższy, ale Kerk miał potężniejszą budowę. Także ich stroje były równie okazałe, bowiem Kerk zastosował się do radiowych poleceń Jasona. Jego napierśnik zdobiła wielobarwna i prawie dwuwymiarowa sylwetka orła, zaś hełm uwieńczony był orłą czaszką.

- Jestem Kerk, wódz Pyrrusan - oznajmił, wysuwając nieco miecz, poczym schował go z przeraźliwym zgrzytem.

- Jestem Temuchin, wódz plemion. Oddaj mi pokłon.

- Pyrrusanie nie składają pokłonów przed nikim. Temuchin wy dobył z gardła głęboki charkot i rozwścieczony sięgnął po miecz. Jason ledwie się opanował, by nie zamknąć oczu i uciec. Zanosiło się na krwawą jatkę.

Kerk wiedział, co robi. Nie przyjechał po to, by obalać Temuchina - przynajmniej nie teraz - więc nie dobył miecza. Zamiast tego, błyskawicznym ruchem, do jakiego tylko Pyrrusanin był zdolny, złapał Temuchina za przegub.

- Nie przyszedłem z tobą walczyć - powiedział spokojnie. - Przybyłem jak równy do równego, by poprzeć twoją sprawę. Będziemy rozmawiać.

Głos mu nie drgnął, ale miecz Temuchina nie wysunął się ani o centymetr dalej. Wódz był niezwykle silny, ale Kerk stał niczym głaz. Nie poruszył się, ani nie okazał najmniejszego wysiłku, za to na czole Temuchina wystąpiły żyły.

Cicha walka trwała dziesięć, piętnaście sekund. Mimo śniadej skóry widać było jak Temuchin poczerwieniał, a każdy mięsień stwardniał mu z wysiłku.

Gdy wydawało się, że ludzkie ścięgna i mięśnie nie są w stanie więcej wytrzymać, Kerk uśmiechnął się. Było to lekkie uniesienie kącików ust, widoczne tylko dla Temuchina i Jasona, który stał obok. Potem wolno, systematycznie miecz zaczął wsuwać się z powrotem, aż oparł się rękojeścią o brzeg pochwy.

- Nie przybyłem z tobą walczyć - szepnął Kerk ledwie słyszalnym głosem. - Brać się za bary mogą młodzieńcy. My jesteśmy wodzami. Będziemy rozmawiać.

Rozluźnił chwyt tak gwałtownie, że Temuchin się zachwiał. Decyzja należała do niego. Znowu. Inteligencja walczyła w nim z brutalnymi odruchami urodzonego barbarzyńcy. Milczący impas trwał długo. W końcu Temuchin zaczął chichotać, by po chwili ryknąć na całe gardło. Odrzucił głowę do tyłu i rechotał jakby chciał wyzwać cały wszechświat. Potem zamknął się i klepnął Kerka po plecach. Cios ten mógłby ogłuszyć moropa lub zabić słabszego człowieka. Kerk zachwiał się nieznacznie i odwzajemnił uśmiech.

- Jesteś człowiekiem, którego mógłbym polubić - zawołał Temuchin. - O ile cię najpierw nie zabiję. Chodź do mego camachu.

Odwrócił się, a Kerk poszedł za nim. Minęli Jasona nie racząc go zauważyć. Jason wzniósł oczy do góry, szczęśliwy, że niebo nie spadło mu na głowę, a słońce nie zmieniło w kupkę popiołu. Odwrócił się i ruszył za nimi.

- Zostaniesz tutaj - rozkazał Temuchin, gdy doszli do camachu.

Patrzył na Jasona wzrokiem pełnym zimnej furii, jakby to on był winien wszystkiemu, co zaszło. Rozstawił strażę i wszedł za Kerkiem do środka. Jason nie protestował. Wolał czekać tu na wietrze i chłodzie niż być świadkiem rozmowy w namiocie. Gdyby Temuchin zginął - jak zdołają uciec? Zmęczenie i ból znowu dawały mu się we znaki. Zaczął się zastanawiać, czy nie powinien zaryzykować zastrzyku z med-pakietu. Oczywiście było to niemożliwe, więc ślaniając się na nogach, czekał.

Wewnątrz rozległy się, gniewne głosy. Jason skulił się, oczekując najgorszego. Nic się jednak nie stało. Znow się zachwiał. Stwierdził, że łatwiej będzie mu siedzieć. Osunął się na ziemię. Była lodowata. Rozmowa w namiocie przybrała ostrzejszy ton, po czym zapadła złowroga cisza. Jason zauważył, że nawet strażnicy wymieniają niespokojne spojrzenia.

Nagle rozległ się ostry dźwięk dartego materiału. Strażnicy podskoczyli, nastawiając lance. Kerk mocno szarpnął za derkę, otwierając wyjście. Tyle, że go wcześniej nie rozsznurował. Grube rzemienie pękły, a żelazna podpora wygięła się. Kerk oczywiście tego nie zauważył. Nie zatrzymując się, minął strażę. Skinął na Jasona. Ten rzucił okiem na Temuchina, który stanął w wejściu, z twarzą pałającą gniewem. Jedno spojrzenie wystarczyło. Jason odwrócił się i pognał za Kerkiem.

- Co tak się tam stało? - zapytał.

- Nic. Po prostu rozmawialiśmy, usiłując się nawzajem wy badać i żaden nie chciał ustąpić. On nie chciał odpowiedzieć na moje pytania, więc ja zignorowałem jego. Na razie jest remis. Jason był zły.

- Powinniście byli poczekać na mój powrót. Dlaczego przyjechaliście; i to w taki sposób? Odpowiedź znał. Kerk tylko potwierdził jego przypuszczenia.

- Dlaczego? Nie chcieliśmy siedzieć w górach jak więźniowie. Przyjechaliśmy sprawdzić na własne oczy, co się dzieje. Po drodze mieliśmy kilka potyczek i morale bardzo się poprawiło.

- O! Na pewno! - Jason gorąco przytaknął i stwierdził, że chciałby już wyciągnąć się w swym camachu.

## Rozdział XII

Wrócili do domów z krainy wilgoci  
Wrócili do domów z pękami kciuków  
Głosząc pieśń o chlubnych bojach  
Na ziemi pod Wielką Skarpa.

Chociaż wiatr hulał wokół camachu, chwilami sypiąc do środka kłębami śniegu, jednak wewnątrz było ciepło i wygodnie. Atomowy piecyk dawał dostatecznie dużo ciepła, by pokryć wszelkie straty, a mocny alkohol przywieziony przez Kerka lepiej rozgrzewał Jasonowi żołądek niż wstrętny achadh. Rhes zadbał o dostawę pakietów żywnościowych i Meta właśnie je otwierała. Reszta Pyrrusan rozstawiała w pobliżu swoje camachy lub dyskretnie pilnowała wejścia. Na razie byli bezpieczni.

- Świntuch! - skomentowała Meta, gdy Jason sięgnął po drugą parującą porcję. - Już jedna zjadłeś.

- Pierwsza była dla mnie. Ta jest dla moich zmaltretowanych członków i rozwodnionej krwi.

- Mając usta pełne gorącej, soczystej stawy, wskazał palcem na hełm Kerka. - Widzę, że przyłączyliście się do klanu Orła. Świetnie. Ale skąd wzięliście tyle czaszek? Nie sądziłem, że na tej planecie jest tyle orłów.

- Prawdopodobnie nie ma ich tak wiele - odparł Kerk, wodząc palcem po bezokiej, zakończonych mocnym dziobem czaszce. - Udało nam się jednak ustrzelić jednego i zrobiliśmy formę. Reszta to plastikowe atrapy. Powiedz teraz, jakie masz plany, bo ta dziecinna maskarada, chociaż zabawna, musi się skończyć. Tego chcemy. Trzeba w końcu otworzyć kopalnię.

- Cierpliwości! - jęknął Jason. - Ta operacja musi zabrać trochę czasu, ale gwarantuję wam sporo potyczek, więc będziecie mieli parę

miłych chwil i dla siebie. Pozwólcie, że najpierw opowiem, co odkryłem od czasu naszej ostatniej rozmowy. Temuchin ma za sobą większość liczących się plemion na równinach. Jest piekielnie inteligentnym człowiekiem i urodzonym przywódcą. Intuicja podpowiada mu wszystkie książkowe aksjomaty wojskowości. Najważniejszy - dostarczyć stałego zajęcia swym ludziom. Gdy tylko zaliczy jedną kampanię, rozmawia z klanami i wynajduje jedno lub dwa plemiona, z którymi mają jakieś porachunki. Wtedy je wyrzynają i dzielą łup. Tak to wyglądało do tej pory. Można być albo z nim, albo przeciw niemu - nie ma neutralnych. Wszystko to pomimo, naturalnej tendencji nomadów do chodzenia własnymi drogami i łączenia się jedynie w chwilowe sojusze. Tych kilku naczelników, którzy próbowali się wyłamać z nowego reżimu spotkała tak straszna śmierć, że reszta jest pod jej wrażeniem. Kerk potrząsnął głową.

- Jeśli zjednoczył tych wszystkich ludzi, to nic nie możemy zrobić.

- Może go zabić? - zasugerowała Meta.

- Zobaczcie, co parę tygodni spędzonych wśród barbarzyńców zrobiło z tą dziewczyną! - Jason był przerażony.

- W jaki sposób? - spytał Rhes.

- Okazując się lepszymi fachowcami niż on. Okrywając się większą chwałą, lepiej walcząc w górach oraz układając sprawy tak, by popełnił parę błędów. Jeśli to dobrze rozegramy, powinniśmy wrócić z tej wyprawy z Kerkiem jako większym lub równym Temuchinowi wodzem. To prosta społeczność i nikogo nie obchodzi, jakie były twoje zasługi w poprzednim roku; ważne jest to, czego dokonałeś ostatnio. Przypomina to szukanie igły w stogu siana, a trzeba wszystko zorganizować tak, by Kerk był głównym poszukiwaczem. Pójdziemy wszyscy, z wyjątkiem Rhesa.

- Dlaczego nie ja? - zapytał zainteresowany.

- Ty wykonasz drugą część planu. Nigdy nie poświęcaliśmy zbyt wiele uwagi nizinom, bo nie ma tam złóż metali ciężkich. Jednak zdaje się, że ich mieszkańcy mają niezłe rozwiniętą kulturę rolniczą. Temuchin znalazł sposób, by wysłać tam grupę wojowników. Wyprawa, w której szczerze mówiąc nie chciałbym powtórnie uczestniczyć miała na celu zdobycie prochu. Jestem pewny, że chce go użyć przeciw plemionom górali. Taki ukryty w rękawie atut. Te górskie przełęcze muszą być trudne do zdobycia. Pomogłem Temu-chinowi zdobyć to, co chciał. Oczywiście oczy miałem szeroko otwarte. Oprócz prochu widziałem muszkiety, działa, mundury wojskowe, worki z mąką. To mocne dowody.

- Na co? - spytał Kerk.

- Czyż to nie oczywiste? Na to, że mamy na tej planecie wysoce zaawansowaną kulturę. Chemia, jednopółowka, centralny rząd, podatki, kuźnie, odlewnie, tkalnie, farbiarnie...

- Skąd ty to wszystko wiesz? - Meta była zdumiona.

- Powiem ci wieczorem, kochanie, jak będziemy sami. Wygląda to może na przechwałki, ale jestem pewny swych wniosków. Tworzy się tam średnia klasa, a idę o zakład, że warstwa kupców i bankierów rozwija się najszybciej. Rhes się w nią wkupi. Jako rolnik, ma najlepsze przygotowanie do tego zadania. Spójrzcie, oto klucz do jego sukcesu.

Wyjął z sakiewki mały, metalowy krążek, podrzucił i podał Rhesowi.

- Co to? - zapytał Rhes.

- Pieniądz. Moneta o niewielkim nominale. Zabrałem ją jednemu z zabitych żołnierzy. To jest oś świata kupieckiego albo też smar do osi - zależy, które porównanie bardziej ci odpowiada. Zrobimy analizę i wytopimy całą masą identycznych, a nawet lepszych od oryginału. Wkupisz się nimi, założysz sklep i jako kupiec będziesz czekał na następnę

posunięcia.

Rhes spojrział na monetę z niesmakiem.

- Przypuszczam, że teraz, podobnie jak pozostali, powinienem otworzyć buzię i zapytać jaki będzie następny ruch?

- Słusznie. Szybko się uczysz. Kiedy Jason mówi, wszyscy słuchają.

- Za dużo mówisz - wtraciła Meta ponuro.

- Zgoda, ale to moja jedyna wada. Kolejnym posunięciem będzie zjednoczenie tutejszych plemion z Kerkiem u władzy, albo prawie u władzy, by powitać Rhesa, który przypłynie na północ ze swymi towarami. Cały kontynent może być podzielny klifem, który normalnie uniemożliwia kontakty między koczownikami, a ludźmi z nimi, ale nie wmówicie mi, że nigdzie na północy nie ma miejsca, gdzie mógłby przybić mały statek lub łódź. Potrzebujemy tylko kawałka plaży. Jestem pewien, że w przyszłości połączenie morzem było wykluczone jedynie dlatego, że do wykonania statków ze stali potrzebna jest wysoko zaawansowana technologia. Można oczywiście zbudować łodzie pokryte skórą o szkielecie z kości, ale wątpię czy koczownicy kiedykolwiek rozważali możliwość podróżowania wodą. Mieszkańcy nizin na pewno mają statki, ale tu nie ma niczego, co by ich skłoniło do zorganizowania wypraw odkrywczych. Wręcz przeciwnie. Ale my to zmienimy. Pod przywództwem Kerka plemiona północy pokojowo powitają kupców z południa. Na scenę wkroczy handel i rozpocznie się nowa era. Za kilka starych skór koczownik będzie mógł kupić wytwory cywilizacji i na pewno się skusi. Może złapiemy ich na tytoń, alkohol lub szklane paciorki. Musi być coś, co lubią, a co ludzie z nizin mogą im dostarczyć. Najpierw lądowanie z towarem, potem parę namiotów dla ochrony przed śniegiem, a w końcu - stała osada. Jeszcze później centrum handlowe i rynek, dokładnie w miejscu, gdzie będzie nasza kopalnia. Następny krok jest chyba oczywisty.



Zaczęła się ożywiona dyskusja. Dotyczyła jednak tylko szczegółów. Nikt nie kwestionował planu Jasona. Był prosty i wykonalny. Dawał im zajęcie, z którego byli zadowoleni. Wszyscy - z wyjątkiem Mety. Miała do końca życia dość gotowania na nawozie moropa i prostych usług obozowych. Była jednak Pyrrusanka, nic więc nie mówiła.

Narada skończyła się bardzo późno. Grif chrapał już od kilku godzin. Atomowy piecyk wyłączono i schowano, ale w camachu nadal było ciepło. Jason wczuł się do futrzanego śpiwora i westchnął z ulgą. Meta przytuliła się do niego, kładąc policzki na jego piersi.

- A co będzie, jak już zwyciężymy? - zapytała.  
- Nie wiem - odpowiedział zmęczonym głosem, gładząc ją po krótko ostrzyżonych włosach. - Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Zrobmy najpierw to, co do nas należy.

- Gdybyśmy mogli tu zostać i zbudować nowe miasto - oznaczałoby to koniec walki. Na zawsze. A co ty wtedy zrobisz?

- Nie myślałem o tym, - wymamrotał niewyraźnie. Przygarnął ją do siebie, ciesząc się bliskością jej ciała.

- Wiesz, chyba bym chciała przestać walczyć. Sądzę, że można robić w życiu coś innego. Zauważyłaś, jak tutejsze kobiety opiekują się swymi dziećmi? Nie tak, jak na Pyrrusie, gdzie oddaje się je do żłobka, by ich nigdy więcej nie zobaczyć. To może być miłe.

Jason zabrał rękę z jej włosów, jakby się oparzył. Szeroko otworzył oczy. Gdzieś w mózgu usłyszał nieprzyjemne odgłosy weselnych dzwonów, przed którymi już nieraz uciekał, a które wywoływały w nim natychmiastowy odruch obronny.

- No cóż... miał nadzieję, że zabrzmi to, jak głęboki namysł.

- Może jest to miłe dla kobiet barbarzyńców, ale na pewno nie życzyłaby tego sobie inteligentna, cywilizowana dziewczyna.

Z napięciem czekał na odpowiedź. Po godzinie z jej równego oddechu wywnioskował, że usnęła. To załatwiało sprawę, przynajmniej na razie. Trzymając w ramionach jej ciepłe ciało zastanawiał się, przed czym tak naprawdę ucieka. Kiedy rozważał ten problem, zmogło go w końcu zmęczenie i tabletki. Zasnął.

Rankiem zaczęła się nowa kampania. Temuchin wydał rozkazy i o świcie ruszyli. Wiał mroźny, przenikający do szpiku kości wiatr z północnych gór. Camachy, escungi, a nawet juczne moropy zostały w obozie. Każdy wojownik zabrał ze sobą jedynie broń i żywność. Sam też musiał troszczyć się o siebie i swego wierzchowca.

Początkowo marsz nie wyglądał imponująco - rozproszeni żołnierze torowali sobie drogę między namiotami, wśród krzyczących kobiet i dzieci, dokazujących w kurzu. Po chwili do pierwszego wojownika dołączył drugi, potem trzeci, w końcu uformował się cały oddział jeźdźców, podskakujących w takt zgodny z ruchem wierzchowców.

Opuścili obóz.

Jason jechał za Kerkiem. Za nimi, podwójną kolumną, podążało dziewięćdziesięciu czterech Pyrrusan. Odwrócił się w siodle, aby na nich popatrzeć. Kobiety pozostały w obozie, a ośmiu mężczyzn wyruszyło z Rhesem na niziny. Reszta pilnowała statku. Do wypełnienia misji zostało ich więc dziewięćdziesięciu sześciu i to oni mieli zdobyć władzę nad barbarzyńską armią i okupowaną częścią planety. Zdawało się to niemożliwe, ale zachowanie niewielkiej garstki Pyrrusan wcale na to nie wskazywało. Jechali poważni, gotowi stawić czoła wszystkiemu, co ich czeka. Jasonowi ich obecność dawała ogromne poczucie bezpieczeństwa.

Gdy tylko znaleźli się poza obozem, zobaczyli inne kolumny jeźdźców, sunące stepem równoległe do ich szlaku. Gońcy zostali

wysłani do wszystkich plemion obozujących wzdłuż rzeki, powiadamiając je o wymarszu. Armia zbierała się. Wojownicy nadciągali ze wszystkich stron, kierując się w jedną stronę. Wszędzie, po horyzont, widać było morze głów. W pochodzie panował teraz porządek. Każdy klan, uformowany w szwadron, podążał za swym wodzem. Gdzieś z przodu Jason zobaczył czarne proporce przybocznej straży Temuchina i pokazał je Kerkowi.

- Temuchin ma dwa moropy obładowane bombami. Chciał, żebym mu towarzyszył i nadzorował operację. Celowo nie wspomniał o Pyrrusanach, ale pojedziemy wszyscy, czy mu się to podoba, czy nie. Potrzebuje mnie do swych bomb, a ja chcę być ze swym plemieniem. Nie znajdzie na to argumentu.

- Zaraz to sprawdzimy - powiedział Kerk, zmuszając zwierzę do galopu.

Kolumna Pyrrusan wdarła się w pędzącą hordę, kierując ku jej przywódcy. Jechali prawym skrzydłem, aż zrównali się z ludźmi Temuchina. Wtedy zwolnili, równając z nimi krok. Jason ruszył do przodu. Temuchin obrzucił Pyrrusan długim, lodowatym spojrzeniem, po czym odwrócił wzrok.

Zachował się jak fenomenalny szachista, który widzi mata dwanaście ruchów naprzód i rezygnuje z przegranej gry. Argumenty Jasona były dla niego oczywiste i nie zamierzał ich wysłuchiwać.

- Sprawdź zamocowanie bomb - rozkazał. - Odpowiadasz za nie.

Ze swego uprzywilejowanego stanowiska u boku wodza, Jason mógł podziwiać sprawną organizację armii barbarzyńców i zaczął sobie zdawać sprawę, że Temuchin jest geniuszem wojskowości. Niepiśmienny, niewykształcony, nie posiadający żadnych wzorców, na których mógłby się oprzeć, sam odgadł podstawowe zasady taktyki i dowodzenia armią oraz prowadzenia kampanii na wielką skalę. Jego

dowódcy byli czymś więcej niż tylko naczelnikami niezależnych plemion. Działali jak sztab - odbierając meldunki i z własnej inicjatywy wydając rozkazy.

Prosty system sygnalizacji kierował ruchami tysięcy ludzi, tworząc z nich sprawną i niepokonaną armię. Byli bardzo wytrzymali. Gdy wszystkie oddziały w końcu się połączyły, Temuchin bez zatrzymywania uformował je w jedną kolumnę, szeroką na kilometr. Pochód, który rozpoczął się przed świtem, trwał bez najmniejszej przerwy do wczesnego popołudnia. Moropom, wypoczętym i dobrze nakarmionym niezbyt podobał się ten wyścig, ale popędzane ostrogami, pomimo protestów musiały biec dalej.

Na koczownikach, właściwie urodzonych w siodle, ten nieustanny galop właściwie nie robił żadnego wrażenia, lecz Jason, pomimo swych ostatnich doświadczeń jeździeckich, był wkrótce poobijany i obolały.

Przed główną grupą postępowały patrole zwiadowców.. Późnym popołudniem zauważyli pierwsze ślady ich działalności. Najpierw natknęli się na samotnego jeźdźcę, którego krew zmieszana z krwią wierzchowca zaczęła już wsiąkać w piasek. Potem jakaś rodzina miała pecha, przecinając drogę maszerującej armii. Tłące się jeszcze resztki escung i zwiniętych camachów otaczał wianuszek martwych ciał. Mężczyźni, kobiety, dzieci - nawet kozy i moropy, wszystko było wyrżnięte w pień. Temuchin prowadził wojnę totalną. Tam, gdzie się pojawił, nic nie pozostawało przy życiu. Był okrutnie pragmatyczny. Wojnę prowadzi się po to, by wygrać. Trzeba robić wszystko, co może zapewnić zwycięstwo. Celowe jest pokonanie trzydniowej drogi w jeden dzień - jeśli w ten sposób można zaskoczyć wroga. Celowe jest mordowanie każdej żywej istoty napotkanej na szlaku - wtedy nikt nie podniesie alarmu. Należy też zniszczyć

wszystko po drodze - wtedy żołnierze nie będą obciążeni łupem. Zalety tej taktyki w pełni się ujawniły, gdy tuż przed zmrokiem napadli na rozległą wioskę położoną u podnóża gór. Należała do klanu Łasic. Gdy długa linia jeźdźców przekroczyła ostatnie wzniesienie, w wiosce podniesiono alarm. Było już jednak za późno na ucieczkę. Armia Temuchina otoczyła ich. Jasonowi wydało się jednak, że kilka moropów zdołało umknąć, nim pierścień się zacisnął. "Partacka robota" - pomyślał zdziwiony, że Temuchin dopuścił się takiego zaniedbania.

Potem była już tylko jatka. Najpierw rój strzał zdziesiątkował obrońców i zmusił do wycofania się. Reszty dokonała szarża. Jason wolał się oddalić - nie z tchórzostwa, ale ze wstrętu do rozlewu krwi. Pyrrusanie walczyli wraz z innymi. Dzięki ciągłej praktyce zupełnie nieźle radzili sobie z krótkimi łukami, choć nie potrafili strzelać tak szybko jak koczownicy. Ale w bezpośrednim ataku pokazali, co umieją, Jeśli nawet mieli jakieś skrupuły, nie dali tego po sobie poznać. Runęli jak burza. Rwali szeregi obrońców, tratując ludzi kopytami wierzchowców. Przy swojej masie i szybkości nawet nie próbowali się zasłaniać ani odpierać ciosów, tylko siekli, zabijali i parli naprzód, bez wytchnienia.

Jason nie mógł im towarzyszyć. Został z dwoma nomadami, których odkomenderowano do pilnowania bomb. Brzdąkał na lutni, komponując nową pieśń upamiętniając to wielkie wydarzenie. Było już ciemno, nim skończyła się grabież. Jason przejechał wolno przez złupioną osadę.

- Temuchin chce cię widzieć. Natychmiast - rozkazał mu jakiś człowiek.

Jason był zbyt zmęczony i obolały, aby znaleźć odpowiednią replikę. Ruszyli przez zdobytą wioskę. Moropy ostrożnie stapały między

stosami martwych ciał. Jason patrzył prosto przed siebie, lecz nie mógł nie czuć unoszącego się w powietrzu odoru rzeźni. Był zdumiony, że tak niewiele camachów zniszczono i spalono. Temuchin zwołał naradę w największym z nich. Niewątpliwie należał on do naczelnika wioski; faktycznie, wódz leżał w kącie namiotu, wypatroszony i martwy. Kiedy Jason wszedł do środka, zastał tam wszystkich oficerów, z wyjątkiem Kerka.

- Zaczynamy - powiedział Temuchin, sadowiac się na futrach. Inni odczekali aż wódz usiadzie, po czym zrobili to samo. - Oto mój plan. Dzisiejsza bitwa to zaledwie początek. Na wschód od tego miejsca jest wielkie obozowisko Łasic i jutro pójdziemy w tamtym kierunku, udając że chcemy je zaatakować. Chcę, by wasi ludzie tak myśleli. Tak samo muszą sądzić ci, którzy obserwują nas ze wzgórz. Pozwoliliśmy kilku uciec, by obserwowali nasze ruchy.

"Oto mija teoria o partackiej robocie - pomyślał Jason.

- Powiniennem był wiedzieć".

- Dzisiaj wasi ludzie jechali szybko i walczyli dobrze.

Dziś w nocy żołnierze będą pili achadh, który tutaj znaleźli, będą ucztować i jutro wstaną późno. Zabierzemy nieuszkodzone camachy, a resztę spalimy. To będzie krótki dzień i wcześniej rozbijemy obóz. Postawimy camachy i rozpalimy wiele ognisk. Na wzgórze wyślemy patrole, tak by obserwatorzy nie podeszli zbyt blisko.

- A to będzie podstęp - powiedział Ahankk, uśmiechając się pod wąsem. - W końcu nie zaatakujemy na wschodzie?!

- Masz rację. - Plan wodza całkowicie ich zaabsorbował. Nie świadomie pochyłili się do przodu, by nie uronić ani słowa. - Gdy tylko zapadnie ciemność, horda ruszy na zachód. Będziemy jechać dzień i noc, aż dotrzemy do

Wielkiego Wąwozu - doliny, która prowadzi do serca ojczyzny Łasic. Zaatakujemy obrońców bombami, zniszczymy ich umocnienia i zdobędziemy je, zanim przybędą posiłki.

- Tam zła wojna - poskarżył się jeden z oficerów, pokazując zabliznioną ranę. - Tam nie ma po co walczyć.

- Nie ma po co?! Ty bezmózgi draniu! - Temuchin mówił z tak lodowatą wściekłością, że wojownik aż się wzdrygnął. - To jest brama do ich ojczyzny. W Wielkim Wąwozie kilkuset ludzi może zatrzymać całą armię, ale gdy tylko go zdobędziemy, są zgubieni. Będziemy wówczas niszczyć ich plemiona jedno po drugim, aż po klanie Łasic zostanie tylko wspomnienie w pieśniach minstrelów. Teraz wydajcie rozkazy i spać. Czeka nas jutro długa jazda, a w nocy - walka!

Gdy zebrani zaczęli wychodzić, Temuchin przytrzymał Jasona za ramię.

- Te bomby... - powiedział - wybuchają za każdym razem?

- Oczywiście - Jason odpowiedział bardziej entuzjastycznie, niż się czuł. - Masz na to moje słowo.

To nie bomby go martwiły - podjął już bowiem odpowiednie środki, by zapewnić dużą siłę eksplozji - ale perspektywa ponownej jazdy, jeszcze dłuższej niż pierwsza. Nomadowie wytrzymają na pewno, Pyrrusanie też. A on?

Nocne powietrze wydało mu się przenikliwie zimne. Jego oddech tworzył obłok srebrnej mgły, przesłaniającej gwiazdy. Ciszę na stepie przerywały tylko prychające moropy i krzyki pijanych żołnierzy. Oczywiście, musi dać sobie radę, nawet gdyby miał się przywijać do siodła. Trochę tylko obawiał się, jak będzie wyglądał, kiedy osiągną cel. Lepiej nawet nie myśleć.

## Rozdział XIII

Wytrzymaj jeszcze chwilę. Wawóz jest już blisko! - krzyknął Kerk.

Jason kiwnął głową, ale po chwili zdał sobie sprawę, że galop moropa powoduje, iż ruch głowy jest niezauważalny. Chciał coś krzyknąć, ale z gardła wypełnionego wdzierającym się kurzem, wydobył się zamiast odpowiedzi suchy, rżący kaszel. W końcu dał po prostu znak ręką. Armia pędziła dalej.

To była koszmarna podróż.

Wyruszyli krótko po zapadnięciu zmroku. Po kilku godzinach jazdy zmęczenie i ból w połączeniu z ciemnościami, upodobniły ją do jakiegoś potwornego snu. Galopowali bez przerwy, aż do świtu. Rano Temuchin zezwolił na krótki postój dla nakarmienia i napojenia moropów. Ten popas być może dobrze zrobił wierzchowcom, ale Jasona prawie wykończył.

Zamiast zejść, spadł z moropa, a gdy próbował wstać, odrętwiałe nogi odmówiły posłuszeństwa. Kerk chwycił go i zaczął spacerować z nim w kółko, podczas gdy Pyrrusanie pilnowali zwierząt. Wreszcie Jasonowi powróciło czucie w nogach, a wraz z nim - ból.



W miejscach, gdzie ocierał się o siodło, miał zdartą skórę i nogi lepkie od krwi. Zanim wyruszyli, zaaplikował sobie słaby zastrzyk znieczulający. Zdawał sobie sprawę, że musi oszczędzać tabletki. Kiedy znacznie się bitwa, będzie potrzebował wszystkich sił i całej inteligencji. Wtedy niezbędne będą najsilniejsze lekarstwa. Z drugiej strony - mógł być z siebie dumny. Niejeden morop z jeźdźcem zginął podczas tej szaleńczej jazdy, a on - przybysz z innego świata, który jeszcze przed kilkoma miesiącami nie widział tego zwierzęcia na oczy - wciąż jeszcze żył. Zwierzęta często się potykały. Niektórzy z jeźdźców zasypiali lub tracili przytomność. Upadek między rozpędzone bestie oznaczał pewną śmierć.

Wielki Wawóz był tuż - tuż, nadszedł więc czas, by wykorzystać pigułki. Patrząc na późne, popołudniowe słońce, Jason dojrzał na tle szarych gór ciemne przecięcie - Wielki Wawóz. Dolina, której zdobycie dawało pewność zwycięstwa. Lecz w tym momencie ważniejsze były lekarstwa. Nastawił zgrabiałymi palcami medpakiet i przycisnął go do przegubu. Gdy stymulatory rozwiały mgłę zmęczenia i znieczuliły ból, Jason zdał sobie sprawę, że Temuchin zwariował.

- On wzywa do ataku! - krzyknął do Kerka, słysząc rozlegające się zewsząd dźwięki rogów.  
- Po takiej mordędze...

- Oczywiście - potwierdził Kerk - tak musi być! Tak musi być. W ten sposób wygrywa się wojny i... zabija ludzi. Jakiś rozwścieczony morop, skowycząc z bólu po dźgnięciu ostrogą stanął dęba, zrzucając jeźdźca. Nie był to odosobniony wypadek. Lecz atak rozpoczął się i wciąż trwał.

Ogromna armia tłoczyła się u wejścia do doliny. Łucznicy zeskoczyli z siodeł i wspięli się na ściany Wielkiego Wawozu, wspomagając strzałami atak. Pierwsi żołnierze zniknęli już

w dolinie - za nimi wciąż szli następni. Nad wejściem wisiała chmura kurzu. Pyrrusanie ruszyli do ataku wraz z innymi, natomiast Jason, zgodnie z rozkazem, skierował się w stronę stanowiska Temuchina. Straż osobista wodza zrobiła mu przejście. Temuchin odebrał wiadomość od łącznika i odwrócił się do Jasona.

- Bierz swoje bomby - rozkazał.

- Po co? - zapytał Jason. - Co mam z nimi robić? Rozkazuj, Wielki Temuchinie, ale muszę wiedzieć, do czego jestem ci potrzebny - dodał po chwili, widząc błysk wściekłości w jego oczach.

- Bitwa toczy się tak, jak powinna - powiedział wódz. Zaskoczyliśmy ich. Jest tu tylko mały garnizon. Zdobyliśmy dolne umocnienia, a teraz atakujemy resztę. One są wykute w stromej skale. Strzały ich nie dosięgną. Jeżeli nie chcemy stracić zbyt dużo ludzi, to musimy atakować pieszo, zasłaniając się tarczami. Szturm nic tu nie da. Zawsze tak było. Zdobywaliśmy kolejne umocnienia, przesuając się coraz dalej w głąb wąwozu. Ale przybywały posiłki i dalsza bitwa była bezcelowa. Dzisiaj będzie inaczej.

- Teraz rozumiem. Myślisz, że bomby przyspieszą atak i wykurzą obrońców?

- Dokładnie tak.

- Rozkaz, wodzu. Jason - Pierwszy Grenadier Felicity rusza do ataku. Potrzebuję paru moich ludzi do pomocy. Rzucają lepiej ode mnie.

- Dobrze. Zaraz wydam polecenie.

Zanim Jason zdołał odnaleźć juczne zwierzęta i przygotować pierwszą bombę, pojawił się Kerk z dwoma towarzyszami. Zakurzeni, spoceni, mieli na twarzach wyraz ponurego zadowolenia, pojawiający się u Pyrrusan wyłącznie w czasie walki.

- Nie porzucałbyś sobie granatami? - zapytał Jason Kerka.

- Jasne. Jaki zapalnik?

- Poprawiony. Coś się zdaje, że awarie źle wpływają na samopoczucie Temuchina. Wątpię, żeby granaty wybuchały za każdym razem. Podniósł jedną z glinianych bomb i wskazał na szmaciany knot.- Jest tu wprawdzie proch, ale tylko po to, żeby był dym i zapach. Lont to imitacja. Musisz go zapalić. W środku każdej bomby jest mikrogranat. Ten sznurek jest przywiązany do zawlecзки. Po wyrwaniu jej masz trzy sekundy na rzut.

Wyjął krzesiwo i pochylił się nad naczyniem z prochem, krzesając ogień. Nic z tego mu nie wychodziło, więc Jason - sprawdzwszy kątem oka, czy nikt go nie obserwuje - szybko zapalił ukrytą w dłoni zapalniczkę. Język ognia liznął próchno.

- Bardzo proszę - powiedział, wręczając dymiące naczynie Kerkowi. - Proponuję, żebyś to ty rzucał granaty. Rzucasz dalej niż ja.

- Dalej i celniej.

- Tak. Celniej też. Ja z innymi będziemy ci dostarczać bomby i w razie kontraktu służyć za ochronę. Idziemy.

Zostawili zwierzęta i poszli pieszo w stronę Wielkiego Wąwozu. Atakujące oddziały wciąż posuwały się w górę. Musieli więc wspinać się po stromych ścianach doliny, by uniknąć stratowania. Idąc w górę napotykali rannych wojowników, którzy odczołgivali się na bok, schodząc ze szlaku atakującej armii. Z tych, którzy nie zdążyli, pozostały zaledwie krwawe plamy. Od czasu do czasu natykali się na leżące wielkie ciała martwych moropów.

Ściany Wielkiego Wąwozu stawały się coraz bardziej strome. Nagle znaleźli się na górskiej ścieżce. Przytrzymując się, osiągnęli pierwszą fortecę. Tworzyła ją nierówna kamienna ściana. Jason wspiał się na głazy, aby zajrzeć do środka. By wysadzić umocnienia, trzeba wiedzieć, jak wyglądają. Obrońcy, krępi mężczyźni w zabrudzonych futrach, leżeli w miejscu, gdzie spotkała ich śmierć. Każdy miał

przymocowaną do hełmu czaszkę łasicy. Ich ciała były naszpikowane strzałami - kciuki już były obcięte.

- Jeżeli wszystkie umocnienia tak wyglądają, to nie powinniśmy mieć zbytnich kłopotów - stwierdził Jason, ześliznąwszy się w dół. - Te kamienie są tylko ułożone, ani śladu zaprawy. Jeżeli granat nie pozabija wszystkich żołnierzy, to przynajmniej zrobi przejście dla chłopców Temuchina.

- Jesteś optymistą - odparł Kerk. - To nie jest właściwa warownia. Główna linia obrony leży przed nami.

- Wolę być optymistą. Próbuję sobie wmówić, że przeżyję tę durną wojnę i że jeszcze kiedyś będzie ciepło.

Dalszy marsz zboczem był niemożliwy. Musieli zejść w dół i torować sobie drogę między żołnierzami. Ściany stawały się coraz bardziej pionowe. Wielki Wawóz zwężał się i Jason mógł przekonać się, jak trudno go zdobyć przy silnej obronie.

Wszystkie moropy odesłano w dół i atakujący poruszali się pieszo. Nad głową Jasona uderzyła strzała, pękając i spadając u jego stóp.

- Zatrzymajcie się tutaj. Zobaczę, jak to wygląda - powiedział.

Jason wspiął się na jeden z wielkich głazów i opuszczając nisko hełm, powoli podniósł głowę nad krawędź kamienia. W tej samej chwili w hełm uderzyła strzała. Jason pochylił głowę i spojrzał przez małą szparkę między hełmem a krawędzią kamienia. Atak zatrzymał się w miejscu. obrońcy strzelali przez skalne szczeliny i byli prawie całkowicie zabezpieczeni przed odwetem. Armia Temuchina ponosiła ciężkie straty, próbując wziąć umocnienie szturmem. Osłonięci tarczami wojownicy posuwali się krótkimi skokami od głazu do głazu. Ginęli wszyscy bez wyjątku.

- Odległość wynosi około czterdzieści metrów - powiedział Jason, zeskakując na ziemię. - Sądziś, że dorzucisz naszą niespodziankę tak daleko?

Kerk podrzucił w dłoni bombę, oceniając jej wagę.

- Pewnie - odparł. - Ale sam chciałbym zobaczyć, jaka jest odległość.

Wspiął się na miejsce Jasona, obrzucił przedpole jednym spojrzeniem i zeskoczył.

- To umocnienie jest większe. Potrzebne są co najmniej dwie bomby. Podpalę pierwszą i wyjdę ją rzucić. Ty podpalisz drugą. Podasz mi ją, jak tylko pozbędę się pierwszej. Jasne?

- Jak kryształ. Zaczynamy.

Jason zdjął bomby którymi był obwieszony, wziął jedną do ręki i podpalił. Żołnierze w pobliżu przyglądali się uważnie. Kerk poczekał, aż fałszywy lont porządnie zadymi i wyszedł zza skalnej zasłony. Jason pośpiesznie zapalił drugą bombę i czekał, gotów do jej podania.

Z doprowadzającym do szału spokojem Kerk odwiódł ramię do tyłu, podczas gdy jedna strzała śmignęła obok niego, a druga odbiła się od napierśnika. Potem opuścił bombę, poślinił palec i podniósł go, sprawdzając, skąd wieje wiatr. Jason przestępował z nogi na nogę, zaciskając zęby, by nie zacząć kłać. Wreszcie Kerk ponownie wziął zamach. Jason zauważył, że kciukiem i palcem wskazującym szybko wyrwał lont, zanim wyrzucił granat. Był to dobry, klasyczny rzut, posyłający ładunek wysokim łukiem w kierunku pozycji obronnych. Jason zrobił krok naprzód i włożył drugą bombę w nastawioną dłoń Kerka. Poleciała tak szybko, że obie razem znalazły się w powietrzu.

Kerk i Jason, pozostali na miejscu, obserwując dwa czarne punkty, szybujące za kamiennym murem.

Czekali ułamek sekundy. Nagle cała reduta wyleciała w powietrze i roztrzaskała się ma

kawałki w głębokim żlebie. Zanim Jason uskoczył za kamień, unikając spadających odłamków skał, zobaczył wyrzucone siłą wybuchu w górę ciała.

- Bardzo ładnie - ocenił Kerk.

- Mam nadzieję, że reszta też pójdzie tak gładko. Nie poszła. Obrońcy dostrzegli, że za wybuch odpowiedzialny jest jeden, rzucający coś człowiek. Następnym razem Kerk musiał szybko uciekać przed gradem padających strzał. ~ To trzeba zaplanować inaczej - stwierdził, gasząc lont.

- Dlaczego przerwałeś?! Chyżbyś się bał? - zagrział za nim gniewny głos.

Kerk odwrócił się, stając twarzą w twarz z Temuchinem, który podszedł na pierwszą linię pod osłoną tarcz osobistej straży.

- Głupota przegrywa się bitwy. Wygrywa ostrożnością.

- Ja tę bitwę wygram dla ciebie - głos Kerka był równie nabrzmiały gniewem, jak głos wodza.

- Strach czy ostrożność każe ci pozostawać za tym głazem?

- Strach czy ostrożność postawiła cię obok mnie, zamiast prowadzić żołnierzy do ataku?

Temuchin wydał zwierzęcy gardłowy ryk i wyciągnął miecz. Kerk podniósł bombę, jakby chciał ją wtłoczyć wodzowi do gardła. Jason wkroczył między dwóch rozjuszonych mężczyzn.

- Śmierć jednego z was znacznie pomoże wrogowi - powiedział, patrząc w twarz Temuchinowi. - Słońce jest już za górami i jeśli reputy nie zostaną zdobyte do zmroku, to będzie za późno. Posiłki dla obrońców mogą przybyć w nocy. To byłby koniec tej wyprawy.

Temuchin zamierzył się mieczem na Jasona, a Kerk chwycił przyjaciela za ramię, żeby go odepchnąć, lecz Jason spokojnie powiedział do Temuchina:

- Przywołaj resztę Pyrrusan i rozkaż im rzucać kamienie w kierunku obrońców. Nie spowodują one żadnych szkód, ale łucznicy nie będą

wiedzieli, kto naprawdę rzuca bomby. Jeżeli jeden człowiek skoncentruje na sobie cały ogień, skazuje się na pewną śmierć. Ale jeżeli zdołamy odwrócić ich uwagę, to przełamiemy obronę przed zmrokiem.

Temuchin uspokoił się natychmiast. Napięcie opadło. Najważniejsze jest zwycięstwo, osobiste zatargi muszą poczekać. Zaczął wydawać rozkazy, nieświadom trzymanego jeszcze wciąż w ręce miecza. Uścisk Kerka także w końcu zelżał i Jason roztarł obolałe ramię.

Teraz już nie można było powstrzymać natarcia. Postacie rzucające kamienie pojawiały się ze wszystkich stron, co zdezorientowało obrońców. Koczownicy ciskali kamienie wysoko, natychmiast wracając w ukrycie. Natomiast Pyrrusanie nieugięte maszerowali naprzód, niszcząc kolejne punkty oporu.

- Zbliżamy się do końca! - krzyknął Jason do Kerka, wskazując przed siebie.

Wąwóz w tym miejscu miał najwyżej sto metrów szerokości, ściśnięty dwoma wyniosłymi szczytami. Przez wąską szczelinę widać było purpurę wieczornego nieba i rozległą równinę. Jeżeli armia zdoła przedrzeć się przez przełęcz, nic jej już nie zatrzyma.

Jason i Kerk przepychając się do przodu ze świeżą dostawą bomb nagle stwierdzili, że w ich kierunku bieżą żołnierze. Z góry doszedł ich przenikliwy ton żelaznego rogu.

- Co się dzieje? - zapytał Kerk, łapiąc jednego z uciekających. - Co oznacza ten róg?

- Odwrót! - krzyknął żołnierz, wskazując w górę. - Nie widzisz? - Wyrwał się i pobiegł dalej.

Olbrzymi głaz spadł między uciekających w panice wojowników, rozgniatając jednego z nich jak robaka. Jason i Kerk podnieśli głowy i zobaczyli ludzi, wspinających się po krawędzi wąwozu, wysoko nad nimi. Mocowali się z ogromnym stosem kamieni.

- Po drugiej stronie też! - wykrzyknął Jason.  
- Mieli przygotowane głazy i teraz chcą je zepchnąć. Wracamy! Zaczęli się cofać. Kamieni leciało coraz więcej. Atakująca armia uratowało tylko to, że ta broń ostatniej szansy nie była nigdy używana. Skały i kamienie były gromadzone z pokolenia na pokolenie i podpory zaklinowały się mocno w skalne podłoże na krawędzi przepaści. Wojownicy próbowali je zepchnąć długimi tyczkami, ale kamienie nie chciały zlecieć. W końcu jeden odważny albo bardzo głupi góral, spuszczonej na linie, zaczął tłuc młotem w podpory. Osiągnął cel, ale zginął natychmiast, gdy głazy zaczęły spadać. Po krótkiej chwili ustąpiły także podpory z drugiej strony wąwozu. Jason i Kerk uciekali wraz z innymi. Nie było zbyt wielu zabitych, bowiem większość żołnierzy została na czas ostrzeżona. W dodatku mała szerokość wąwozu w tym miejscu zdławiła lawinę, układając spadające kamienie coraz wyżej i wyżej. Kiedy w ciszy zagrzeczotał ostatni głaz, Wielki Wawóz został zamurowany - kompletnie zablokowany skałami. Kampania była przegrana.  
- Nie podoba mi się to - powiedział Kerk. - Nie da się tego zrobić.  
- Zatrzymaj swoje wątpliwości dla siebie - syknął cicho Jason, bowiem zbliżali się do Temuchina. - I tak będę się musiał namęczyć, żeby go przekonać. Jeżeli nie możesz pomóc, to przynajmniej stój tutaj i kiwaj głową, jakbyś się ze mną zgadzał.  
- Wariactwo! - odburknął Kerk.  
- Witaj wodzu! - zawołał Jason. - Przychodzę z pomysłem, który przekształci tę nieszczęsną chwilę w zwycięstwo.  
Temuchin nie poruszył się. Siedział na głazie z rękoma opartymi na rękojeści wbitego w ziemię miecza, wpatrzony w przełęczy, która zniszczyła jego marzenia o podboju. Ostatnie



promienie zachodzącego słońca oświetlały gładkie fasady skalnych wież.

- Przejście jest teraz pułapką - zaczął Jason.  
- Jeśli będziemy próbowali sforsować rumowisko lub je usunąć, zostaniemy wystrzelani przez znajdujących się za nim ludzi. Posiłki przybędą na długo przed tym, zanim dotrzemy do przełęczy. Jednakże jest coś, co możemy zrobić. Gdybyśmy się dostali na szczyt tej wysokiej skały po lewej stronie - można by stamtąd rzucać bomby w czasie natarcia. Temuchin wolno uniósł wzrok.

- Na tę skałę nie można się wspiąć - powiedział, nie odwracając głowy.

Kerk potwierdził skinieniem głowy i już otwierał usta, aby przytaknąć. Zamiast tego wydał głębokie westchnienie, gdy łokieć Jasona wylądował na jego żołądku.

- Masz rację. Większość ludzi nie zdołałaby się wspiąć na tę skałę. Lecz Pyrrusanie są góralami i wejdą na nią bez trudu.

Wódz odwrócił się i spojrzał na Jasona jak na szaleńca.

- Zaczynajcie więc. Popatrzę sobie.

- Trzeba to zrobić w dzień. Żeby rzucać, musimy widzieć. Mamy specjalne narzędzia, które trzeba przygotować. Zaczniemy o świcie. Po południu Wielki Wawóz będzie zdobyty.

Wracając czuła na sobie wzrok Temuchina. Kerk był oszołomiony.

- O jakich narzędziach mówiłeś? Nie widzę w tym wszystkim żadnego sensu!

- Tylko dlatego, że nigdy nie miałeś do czynienia ze wspinaczką. Pierwszą rzeczą jakiej potrzebuję, to twoje radio. Muszę przywołać statek, żeby mi zrobili pozostałe. Jeśli się postarają dostarczyć nam je przed świtem. Dopilnuj żeby nasi ludzie rozbili obóz jak najdalej od innych. Będziemy musieli wyjechać niezauważeni.

Podczas gdy inni rozkładali futrzane śpiwory, Jason łączył się przez radio. Moropy ustawiono

w krąg, pośrodku którego skulił się Jason. Oficer na "Walecznym" wysłał gońca, który miał obudzić załogę, a sam zanotował polecenia Jasona. Dostawa sprzętu została obiecana przed świtem.

Jason poczekał na powtórzenie instrukcji i wyłączył się. Zjadł kolację i kazał się obudzić na wypadek lądowania rakiety. To był długi dzień. Jason znajdował się na krawędzi wyczerpania - a jutro zapowiadało się jeszcze gorzej. Wciskając się w śpiwór, nakrył twarz kawałkiem futra i natychmiast usnął.

- Odczep się - wymruczał, próbując odsunąć rękę, która ścisnęła do za ramię.

- Wstawaj - powiedział Kerk. - Wiadomość przyszła dziesięć minut temu. Rakieta z ładunkiem opuszcza właśnie statek. Musimy jechać jej na spotkanie. Moropy już osiodłane. Jason jęknął i usiadł. Zaczął drżeć z zimna.

- Med..medpakiet! - wyjąkał. - Daj mi porcję stymulatorów i znieczulenia. To będzie kosztowny dzień.

- Poczekaj tutaj - zaproponował Kerk. - Sam pojedę na spotkanie rakiety.

- Bardzo bym chciał, ale nie mogę. Muszę wszystko sprawdzić, zanim rakieta wróci na statek.

Przenieśli go do moropa i usadowili w siodle. Kerk chwycił cugle i poprowadził zwierzę. Kłusowali w ciemnościach i zanim dotarli do wyznaczonego miejsca, medykamenty zaczęły działać. Jason poczuł się trochę lepiej.

- Rakieta już schodzi w dół - zakomunikował Kerk, przytykając słuchawkę do ucha. Doszło ich delikatne brzęczenie, którego z pewnością nie było słyhać w obozie.

- Masz latarkę? - zapytał Jason.

- Oczywiście, przecież było takie polecenie. Niewyobrażalne było aby Pyrrusanin mógł zapomnieć wydane mu polecenie. - Ma pojemność 1800 lumenogodzin i pełne natężenie 1200 LF.

- Obniż natężenie. Kapsuła jest światłoczuła i będzie automatycznie kierować na każde źródło światła jaśniejsza od najjaśniejszej gwiazdy.

- Kapsuła wystrzelona, odległość około dziesięciu kilometrów.

- W porządku. Możesz nastawić światło. Daj jej coś, na co mogłaby sterować.

- Poczekaj, pilot coś mówi. Włącz światło. Jason wziął do ręki latarkę. Pokręcił potencjometr regulujący siłę światła. Wąski promień przeciął ciemność. Skierował go w stronę nisko lecące rakiety.

- Pilot mówi, że mieli kłopot z zabrudzeniem nylonowej liny. Zrobili to, ale nie mogą gwarantować, jak się będzie zachowywała pod wpływem wody. Jest dość mocno poplamiona, ale to może zejść.

- Nieważne. Musi tylko przypominać skórę. Nie spodziewam się deszczu.

Z nieba dobiegał coraz głośniejszy szum i mogli już dojrzeć słabe czerwone światło, zbliżające się do nich. Chwilę później promień odbił się od srebrnego kadłuba kapsuły. Jason zmniejszył intensywność światła. Usłyszeli cichy gwizd silników i metrowej długości rakieta ukazała się ich oczom. Wolno opadała, podczas gdy radarowy wysokościomierz badał grunt. Po minucie kapsuła z zamierzającym dźwiękiem silników siadła na ziemi. Jason odpiął pokrywę zasobnika i wyjął zwój brązowej liny.

- Doskonała - ocenił, wręczając ją Kerkowi. Pogrzebał głębiej i wyciągnął wytopiony z jednego kawałka stali młotek. Narzędzie było dobrze wyważone, a skórzana pętla zwisająca od końca trzonka pozwalała go dobrze uchwycić. Kwas wytrawił na nim drobne wgłębienia, a całość była przybrudzona.

- Co to jest? - zapytał Kerk, wyciągając metalowe ostrze z zasobnika i obracając je do światła.

- Hak, mocny hak. Potowa powinna być taka, a połowa z karabińczykami. O, to te - pokazał podobny hak, który na szerszym końcu miał wywierconą dziurę, przez którą przewleczony był zatrzask.

- Nic mi to nic mówi - powiedział Kerk.

- Nie musi Jason opróżniać zasobnik. - Ja będę się wspinał na skalę ; to ja muszę wiedzieć, jak się tego używa. Chciałbym mieć nowocześniejszy sprzęt, ale to od razu by nas zdradziło. Zresztą i tak nie marny takiego na statku. Są haki, które się wstrzeliwuje w najtwardszą skalę i haki samo przylegające, które w sekundę łączą się z nią. Nic takiego nie mogę tutaj użyć. Ale za to ta Sina posiada w środku rdzeń z włókna ceramicznego. Ma wytrzymałość dwóch ton. To wystarczy, żeby się wspiąć na skalę. Po prostu wejść tak szybko, jak będę mógł bez sprzętu. Tam się zatrzymam. Zagrały odrzutowe silniki, obsypując ich twarze piaskiem. Pojemnik uniósł się i zniknął. Kerk splótł skórzaną linę z nylonową. Potem włożył resztę ekwipunku Jasona do torby na plecach. Kiedy popędzili w kierunku obozu, na horyzoncie zaczął jaśnieć poranek.

Dochodząc do Wielkiego Wąwozu, Pyrrusanie zdali sobie sprawę, jak dramatyczną walkę stoczono tu w nocy. Zapora ze skalnego rumowiska i głazów wciąż jeszcze zatykała gardziel przełęczy, lecz teraz obsypana była czarnymi punktami trupów. Żołnierze spalili na kamieniach, poza zasięgiem strzał wroga. Wielu było rannych. Zakrwawiony wojownik z totemem klanu Jaszczurki na hełmie siedział spokojnie, podczas gdy jego współplemieniec obcinał drzewce strzały, która wbita mu się w ramię.

- Co tu się działo? - zapytał Jason.

- Atakowaliśmy w nocy - odparł ranny. - Nie mogliśmy iść cicho, bo kamienie osuwały się nam spod nóg. Wielu zostało nimi zranionych. Pod samym szczytem Łasice obrzucili nas wiązkami płonącej trawy, a sami byli na górze,

w ciemnościach. Nie mogliśmy oddawać ciosów. Przeżyli tylko ci, co nie byli zbyt wysoko. Bardzo źle.

- Dla nas bardzo dobrze - mruknął Kierk, kiedy odeszli parę kroków. - Temuchin straci twarz po tej porażce, a my zyskamy na znaczeniu, kiedy wejdziemy na skałę. Jeżeli wejdziemy...

- Znowu te wątpliwości! - oburzył się Jason. - Stój spokojnie u podnóża skały i udawaj, że wiesz doskonale, co się dzieje.

Jason zdjął z siebie ciężkie, zewnętrzne okrycie. Zadrżał z zimna. Rozgrzeje się szybko, gdy tylko zacznie się wspinać. Właśnie zawiązywał rzemień młotka na przegubie, gdy podszedł Ahankk. Mięśnie jego twarzy pracownicy usiłowały wyrazić zarazem szyderstwo i wątpliwość.

- Powiedziano mi, kuglarzu, że jesteś na tyle głupi, że chcesz wejść na skałę.

- Nie tylko ci to powiedziano - odparł Jason, zakładając torbę na plecy. - To Temuchin kazał ci tu przyjść i patrzeć, co się dzieje. Usiądź wygodnie. Daj odpocząć swoim nogom, abyś szybko mógł zanieść wiadomość o moim zwycięstwie.

Kerk z niepokojem popatrzył na pionową ścianę skalną.

- Może ja to zrobię. Jestem silniejszy od ciebie.

- Słusznie - zgodził się Jason. - Gdy tylko wejdę na szczyt, rzucę na dół linę. Wejdziesz do niej z bombami. Ale nie możesz iść pierwszy. Wspinaczka jest sztuką, której nie można się nauczyć w kilka minut. Bardzo ci dziękuję, ale tylko ja mogę wykonać to zadanie. Idziemy. Możesz mnie podsadzić?

Kerk schylił się, złapał Jasona za kostki u nóg i podniósł w górę. Jason uchwycił się skalnego występu: wspinaczka się zaczęła. Jason był co najmniej dziesięć metrów nad ziemią, kiedy musiał wbić pierwszy hak. Spora półka, wystarczająca, aby się na niej położyć,

znajdowała się daleko poza zasięgiem jego palców. Skalna ściana poznaczona była pęknięciami.

Wbił pierwszy hak w jakąś szczelinę. Cztery mocne uderzenia młotka solidnie go zaklinowały. Od czasu kiedy ostatni raz naprawdę się wspinał, minęło już ponad dziesięć lat. Ostrożnie zrobił krok i oparł się na haku całym ciężarem. Wyprostował nogę, podciągając się w górę. Złapał się półki. Potem podciągnął się i usiadł na niej. Oddychając ciężko popatrzył z góry na twarze towarzyszy. Oglądali go teraz wszyscy żołnierze, nawet Temuchin. Wróg z pewnością także zainteresował się tym, co się dzieje, lecz skała zasłaniała go przed strzałami. Mogli podejść aż na krawędź ściany kanionu, lecz nie dostaną go, zanim sami nie wejdą na skalną wieżę.

Zaczęło mu być zimno. Nie miał możliwości dokładnej oceny wysokości, lecz sądził, że skała musi być co najmniej tak wysoka jak ściany kanionu.

Usłyszał krzyki z dołu. Schylił się i zawołał:  
- Co? Nic nie słyszę!

Właśnie wtedy od skalnej ściany, w miejscu, gdzie przed sekundą była jego głowa, odbiła się strzała.

Odwracając się, zobaczył uwiązanego na linie obrońcę przełęcz. Ludzie trzymający linę byli niewidoczni zza krawędzi ściany, lecz opuszczając wojownika, zdołali umieścić go w odległości umożliwiającej trafienie. Mężczyzna miał już założoną drugą strzałę. Ostrożnie napiął łuk i przykładając cięciwę do policzka, celował. Jason miał do prawego przegubu przywiązany młotek, lecz w lewej ręce ciągle jeszcze trzymał hak. Niemal odruchowo cisnął go w stronę łucznika. Tępy koniec uderzył go w ramię. Nie zranił go, lecz spowodował, że i druga strzała nie trafiła do celu. Nie zrażony

tym nieprzyjaciel wyciągnął zza pasa trzecią i założył ją na cięciwę.

Żołnierze z dołu także strzelali, lecz odległość była zbyt duża. Jedna strzała dosięgła uda łucznika, lecz ten ją zignorował. Jason puścił młotek i wyciągnął hak. Była to hartowana stal, dobrze wyważona i na końcu ostra jak igła. Łapiąc końcami palców za zastrzony koniec, uniósł rękę nad głowę i rzucił. Ostrze utkwilo łucznikowi w szyi. Weszło głęboko. Nieprzyjaciel upuścił łuk, drgnął konwulsyjnie - i umarł. Jego ciało zostało podciągnięte w górę. Ktoś na dole uciszył krzyczących żołnierzy. W nagłej ciszy Jason usłyszał głos Kerka:

- Trzymaj się mocno!

- Jason powoli spojrział w dół i zobaczył, że Pyrrusanin odszedł od ściany i, trzymając w ręce jedną z bomb, pochylił się, zapalając lont. Następnie Kerk wyrzucił ładunek prawie pionowo w górę. W ciągu jednej, straszliwej sekundy Jason myślał, że bomba leci wprost na niego. Oczywiście, przeszła bokiem. Widział jak zwolniła, osiągając wierzchołek paraboli i wreszcie zniknęła za zakrzywieniem szczytu skały. Jason mocno przytulił się do zimnego kamienia. Rozległ się łoskot wybuchu. W powietrzu uniosły się fragmenty ciał i skalne odłamki.

Wiedział, że od skrzydła jest bezpieczny. Kerk będzie czuwał, gdyby spróbowali powtórzyć ten trick. Jednak uczucie niepokoju nie zniknęło.

- Kerk! - krzyknął w języku Pyrrusan. - Hak! Co się stało z hakiem?! Z tym, co spadł! Jeżeli Temuchin go zobaczy...

Jedno spojrzenie wystarczy by odkryć, że nie jest z tej planety. Koczownicy dość dobrze potrafią ocenić, co potrafią wytworzyć tutejsi ludzie. Z mocno bijącym sercem czekał na odpowiedź Kerka.

- W porządku! Widziałem gdzie leciał! Podniosłem go, kiedy patrzyli na ciebie! Czy jesteś ranny?!

- To dobrze - westchnął Jason, głęboko wdychając powietrze. - Nie, nie jestem! - krzyknął. - Idę dalej!

Siły go opuszczały i zanim osiągnął podstawę komina wiodącego do szczytu, musiał zaaplikować sobie z medpakietu najmocniejsze środki. Komin wydawał się mieć około dziesięciu metrów wysokości, a jego dwie ściany biegły cały czas równoległe do siebie.

- Ostatnia próba - powiedział do siebie, spluwając na dłonie. Pożałował tego natychmiast, widząc jak ślina zamarza mu na rękach. Wytarł je i zdjął torbę. Im mniej ciężarów, tym lepiej. Zostawił nawet młotek. Poukładał niepotrzebne rzeczy u podstawy komina i założył sobie na szyję zwój liny.

Opierając się plecami o jedną ścianę, postawił nogi na drugiej i jego ciało znalazło się w poziomym położeniu. Zaparł się mocno i centymetr po centymetrze posuwał w górę. Szybko zdał sobie sprawę, że nie da rady. Równocześnie wiedział, że musi to zrobić. Zejście w dół byłoby tak samo trudne, jak wejście na górę. Jeżeli spadnie, złamie rękę lub nogę. Leżałby tam po prostu i zdechł z pragnienia. Nie było szans, aby ktoś mu pomógł. Musiał dać sobie radę sam.

Gdy w końcu prawie osiągnął szczyt, nie miał siły, aby przeciągnąć się przez krawędź. Odpoczywał parę sekund, wciągnął głęboko powietrze i wyprostował nogi. Robiąc jednocześnie skręt, uchwycił się skalnego załomu. Przez moment tak wisiał. Wreszcie bardzo wolno, czepiając się palcami małych występów, wciągnął się i położył, wyczerpany na szczycie.

Wierzchołek był zdumiewająco mały - widział to teraz, łapiąc powietrze. Nie większy niż kanapa.



Podczołgał się do krawędzi i pomachał ręką do żołnierzy w dole. Przywitał go ryk radości, kiedy go zobaczono. Z czego tu się cieszyć? Podszedł do przeciwnej krawędzi i od razu się cofnął. Z leżącego poniżej urwiska łucznicy wypuścili w jego stronę chmurę strzał. Tylko dwie z nich osiągnęły taką wysokość, że mogły go trafić. Spojrzał jeszcze raz i zobaczył pozycje wroga. Wszystko było widoczne i w zasięgu rzutu - zarówno pozycje na krawędzi urwiska, jak i rząd łuczników, strzegących grani.

- Jesteś dobry, Jason - powiedział głośno. - Sprawdzasz się w każdym świetle!

Siedząc ze skrzyżowanymi nogami, zrobił na końcu liny wielką pętlę, otaczając nią szczyt skały. Na pewno się nie ześlizgnie. Następnie opuścił powoli jej koniec przez krawędź skały. Krótkie szarpnięcie dądo mu znać, że lina dotarła do gruntu. Skrócił linę i trzema pociągnięciami zasygnalizował, że wejście jest bezpieczne. Potem usiadł i czekał.

Wstał dopiero wtedy, gdy lina zaczęła gwałtownie drgać. Kerk był już blisko, w ogóle nie zadyszany, niosąc na plecach olbrzymi wór z bombami.

- Możesz mi podać rękę i pomóc przejść przez krawędź? - zapytał.

- Oczywiście. Tylko nie ściskaj mi jej za bardzo, bo złamiesz.

Jason położył się twarzą do skały i wyciągnął dłoń. Kerk puścił linę i w akrobatycznym chwycie złapał się za przeguby. Jason nie próbował ciągnąć - nawet gdyby próbował, to i tak nie dałby rady unieść Kerka. Rozciągnął się tylko płasko na skale, próbując znaleźć najlepsze oparcie. Kerk przerzucił ramię przez krawędź i wspiał się na szczyt.

- Bardzo dobrze - ocenił, patrząc w dół na nieprzyjacielskie pozycje. - Nie mają szans. Wziąłem trochę dodatkowych mikrogranatów. Zaczynamy?

- Może pozwolisz mi rzucić pierwszą bombę na otwarciu sezonu?  
Kiedy rozległ się łoskot eksplozji, armia Temuchiua odpowiedziała jak echo zwycięskim rykiem i zaczęła forsować skalne rumowisko. Bitwa wkrótce zostanie wygrana, a wraz z nią cała wojna. Jason usiadł i przyglądał się Kerkowi, który ciesząc się jak dziecko, radośnie bombardował wrogie pozycje. Ta część planu została osiągnięta. Jeśli reszta pójdzie równie dobrze, Pyrrusanie będą mieli swoje kopalnie i planetę. Ich ostatnia bitwa będzie wygrana. Szczerze w to wierzył. Był coraz bardziej zmęczony.

## Rozdział XV

Czarodziejskim grzmotem i błyskawicą  
Zabił łasice, . oczyścił góry.  
Stos kciuków sięga wysoko  
Wyżej, niż głowa człowieka.  
Gdy wieść, nadeszła o obcych,  
Ogromną zebrał armię  
Wielki Temuchin.  
I ruszy; zabijać wrogów...  
(z "Pieśni o Temuchinie)

Jason dinAlt zatrzymał moropa na szczycie wzgórza. Szukał ścieżki prowadzącej w dół. Wicher, wilgoć i zimno ciągnące od jednej ze szczelin uderzył go w twarz. Daleko w dole widział ocean, poznaczony spienionymi grzywami fal. Niebo było ciemne, gdzieś daleko zadudnił

grzmot. Ledwie widoczna ścieżka schodziła w dół skalistego zbocza.

Jason ukiął moropa ostrogami i zwierzę ruszyło do przodu. Od razu zdał sobie sprawę, że ścieżka była używana od dawna. Koczownicy muszą tędy często przechodzić - prawdopodobnie po sól. Inspekcja z pokładu statku wykazała, że jest to jedyna na przestrzeni tysiąca kilometrów wyrwa w ścianie klifu. W miarę jak posuwał się w dół, powietrze stawało się cieplejsze i wilgotne.

Ostatni zakręt zaprowadził go na zatokę, dookoła której wznosiły się ściany klifu. Piasek na plaży był czarny. Na brzeg wyciągnięte były dwie małe łódki. Obok stały żółte, płócienne namioty. W głębi zatoki kołysał się statek zbrudzonym sadzą kominem na rufie i żaglami ze skóry.

Dostrzeżono już pojawienie się Jasona. Jakiś wysoki człowiek zmierzał w jego kierunku. Jason zatrzymał moropa i zeskoczył, aby go przywitać.

- Masz śliczne ubranko, Rhes - powiedział, ściskając przybyłemu rękę.

- Nie lepsze niż ty - odparł tamten, uśmiechając się.

Miał na sobie wysokie buty z żółtego zamszu i błyszczący hełm ze złotym szpikulcem na szczycie. Szpikuliec był najbardziej imponujący. Mężczyzna był owinięty w purpurową szatę.

- Tak się ubiera bogaty kupiec z Ammh - dodał.

- Z raportów dowiedziałem się, że świetnie sobie radziłeś tam na dole - powiedział Jason.

- Nigdy się lepiej nie bawiłem. Ludzie z Ammh to rolnicy. Bardzo ciężko pracują. Są bardzo wyraźnie podzieleni na warstwy. Na samej górze kupcy i wojsko. I trochę kapłanów, żeby utrzymać chłopów w posłuszeństwie. Miałem dość kapitału, aby zostać kupcem - i udało się. Idzie nieźle; tak że teraz sam się finansuję. Posiadam magazyn w Camar - jest to port

morski, najbliższy skalnej bariery. Czekałem na wiadomość, żeby pożeglować na północ. Co byś powiedział na szklaneczkę wina?

- I trochę jedzenia.

Doszli do namiotu, w którym stał stół zastawiony butelkami i kawałkami wędzonego mięsa. Rhes uniósł zieloną butelkę z długą szyjką i wręczył ją Jasonowi.

- Spróbuj tego - powiedział. - Sześćioletnie, bardzo dobre. Zaraz ci podam nóż, żebyś mógł otworzyć.

- Nie sprawiaj sobie kłopotu - odparł Jason, tłukąc szyjkę butelki o kant stołu.

Pociągnął głęboki łyk bulgoczącego, złotego wina, po czym otarł usta.

- Przecież jestem barbarzyńcą. To przekona twoją straż o moim gwałtownym charakterze - skinął głową, wskazując na przyglądających mu się żołnierzy.

- Nabyłeś dzikich zwyczajów - odparł Rhes, wycierając rozbitą szyjkę szmatką, zanim nalał sobie szklaneczkę wina. - Jak wygląda plan? Jason mówił, przeżuując wielki kawał mięsa.

- Temuchin na czele niewielkiej armii naddziąga tutaj. Większość plemion po wyróżnieniu Łasic rozeszła się do swoich siedzib. Ale wszystkie zaprzysięgły mu poddaństwo i zgodziły się przyłączyć do niego, gdy tego zażąda. Gdy tylko usłyszał o twoim lądowaniu, zebrał najbliższe plemiona i ruszył. Jest oddalony o dzień drogi, ale Pyrrusanie obozują dokładnie na jego szlaku. Powinniśmy się przyłączyć wieczorem. Masz rzeczy, o których rozmawialiśmy?

- Wszystko. Noże, stalowe groty do strzał, drzewce do strzał, garnki i dużo innych. Cukier, sól i różne przyprawy. Coś tam sobie wybiora.

- W tym cała nadzieja. - Jason spojrzał na pustą butelkę i odrzucił ją na bok.

- Masz ochotę na jeszcze jedną? - zapytał Rhes.

- Tak, ale nie mogę jej zabrać. Żadnego kontaktu z nieprzyjacielem. Będę musiał wrócić do obozu, żeby tam być, kiedy spotkamy się z Temuchinem. To jest to, co się liczy naprawdę. Musimy przeciągnąć plemiona na naszą stronę i zacząć handel. No i zostawić wodza na lodzie. Niech butelka czeka na mój powrót.

Zanim wierzchowiec Jasona wspiał się na skarpe, niebo znowu było ciemne i zasnuwane chmurami. Późnym popołudniem zjawił się w obozie. Pyrrusanie właśnie przygotowywali się do drogi.

- W samą porę - powitał go Kerk. - Mamy na orbicie rakiety ze statku, która śledzi ruchy Temuchina. Wczesnym popołudniem zboczył z drogi i skierował się na Bramy Piekieła. Prawdopodobnie zatrzyma się tam na noc.

- Nigdy nie sądziłem, że jest taki religijny.

- Z pewnością nie jest - odparł Kerk - ale chce sprawić przyjemność swoim ludziom. Ta studnia, czy cokolwiek by tonie było, jest zdaje się jednym z niewielu świętych miejsc na tej planecie. Temuchin będzie odprawiał obrzędy.

- Miejsce do spotkania równie dobre, jak każde inne.

Jedźmy.

Popołudnie niepostrzeżenie zmieniło się w wieczór. Ciężkie chmury zeszły nisko. Śnieg zbierał się w załamaniach ubrań i na futrach moropów. Nastąpiła prawie zupełna ciemność. W końcu przybyli do obozu Temuchina. Ze wszystkich stron rozległy się powitalne okrzyki, kiedy przedzierali się do wielkiego camachu, w którym spotykali się przywódcy klanów. Kerk i Jason zsiadli ze swoich wierzchowców i zaczęli przepychać się przez straż strzegącą wejścia. Wszyscy siedzący półkolem mężczyźni odwrócili się na ich widok. Temuchin patrzył na nich wzrokiem pełnym nienawiści.

- Któż to ośmielił się wtargnąć nieproszony na spotkanie Temuchina z wodzami?

- Któż to jest Temuchin, że ośmiela się zabronić Kerkowi, zdobywcy Wielkiego Wąwozu, spotkać z wodzami plemion na stepach? - odparł Kerk. Wszyscy obecni zdawali sobie sprawę z tego, że walka się zaczęła. Całkowita cisza przerywana była tylko szumem zamieci na zewnątrz. Temuchin był pierwszym wodzem, który zjednoczył wszystkie plemiona pod jednym sztandarem. Jednakże nie mógł rządzić bez zgody reszty wodzów. Niektórzy z nich byli już niezadowoleni z surowości jego rozkazów. Obserwowali starcie z największą uwagą.

- Walczyłeś dobrze w Wielkim Wąwozie - odparł Temuchin. - Tak jak wszyscy. Teraz możesz nas opuścić. To, o czym mamy mówić, nie dotyczy bitwy ani też ciebie.

- Dlaczego? - zapytał Kerk, siadając obok wodzów.

- Co chcesz przede mną ukryć?

- Zarzucasz mi... - Temuchin aż poblądł z gniewu i chwycił za miecz. - Oskarżasz mnie?

- Nikogo nie oskarżam. Sam siebie oskarżasz. Spotykasz się w sekrecie przede mną. Zabraniasz mi wejścia. Obrażasz mnie, zamiast mówić prawdę. Jeszcze raz pytam: co ukrywasz przede mną?

- To sprawa niewielkiego znaczenia. Paru ludzi z nizin wylądowało na naszym brzegu. Zniszczymy ich.

- Dlaczego? To tylko handlarze - powiedział spokojnie Kerk.

- Czy nigdy nie słyszałeś "Pieśni wolnego człowieka"?

- Znam ją lepiej od ciebie. Pieśń mówi, by burzyć domy, które zrobią z nas więźniów. Czy są w okolicy jakieś domy do zburzenia?

- Nie, nie ma. Lecz wkrótce będą. Już postawili swoje namioty...

Jeden z wodzów wpadł mu w słowo, śpiewając wers z "Pieśni":

"...Nie znając domu innego, niż namioty nasze..."

Temuchin zdołał opanować gniew.

- Ci handlarze są jak ostrze miecza, którym można zrobić małą rysę. Dzisiaj są w namiotach, a potem postawią domy; po to, żeby lepiej handlować. Na początku ostrze miecza, a później cały miecz, który nas rozdzieli i zniszczy. Trzeba ich wyplenić od razu!

To, co mówił Temuchin, było absolutnie prawdziwe. Nie wolno było dopuścić, aby inni wodzowie zdali sobie z tego sprawę. Kerk milczał przez chwilę.

- W tej sprawie musimy się kierować "Pieśnią wolnych ludzi" wtrącił Jason. - Pieśń ta mówi nam...

- Skąd się tu wzięłeś, kuglarzu? - przerwał mu Temuchin. - Wyjdz stąd.

Jason otworzył usta, ale nie mógł wymyślić nic mądrego. Temuchin miał niewątpliwie rację. Skłonił się wodzowi, szepcząc jednocześnie Kerkowi:

- Będę wszystko słyszał przez dentifon. Jak bym coś wymyślił, to ci podpowiem.

Kerk powiedział coś cicho. Jego głos brzmiał czysto w małym radiu w ustach. Jasonowi nie pozostało nic innego, jak opuścić namiot. Pech.

Przechodząc przez wyjście namiotu zobaczył, że jeden ze stojących przy nim strażników pochylił się. Drugi opuścił lancę.

Nawet gdy mężczyzna wyciągnął do niego ręce i chwycił go za przeguby, Jason wciąż jeszcze nie rozumiał, o co chodzi? Skręcił się i wyrzucił do przodu przedramiona, by wyrwać się z prostego chwytu. Stojący z tyłu strażnik założył mu na szyję rzemień i zacisnął na gardle. Jason nie mógł się bronić. Bezszykownie rzucił się i wyprężył, a po chwili stracił przytomność.

## Rozdział XVI

Ktoś wcierał śnieg w twarz Jasona, przywracając mu przytomność. Jason kaszlał i pluł, wycierając śnieg z oczu. Rozejrzał się dookoła. Nie wiedział, gdzie się znajduje. Klęczał pomiędzy dwoma wojownikami Temuchina. Jeden z nich trzymał płonąca pochodnię. Oświetlała ona krawędź ciemnej szczeliny.

- Czy znasz tego człowieka? - Jason rozpoznał głos Temuchina. Z ciemności wyłoniło się dwóch mężczyzn i stanęło przed nim.

- Tak, wielki wodzu - potwierdził jeden. - To jest nieprzyjaciel, który został złapany i potem uciekł.

Jason przyjrzał się dokładniej. Rozpoznał kuglarza Oariela.

- Nigdy nie widziałem tego człowieka. To bzdury - wyksztusił Jason.

- Wielki wodzu, pamiętam, jak go złapano i jak mnie później zaatakował. Sam też go widziałeś.

- Tak. - Temuchin patrzył w twarz Jasona. Jego oblicze było chłodne i nieprzeniknione. - Oczywiście, to ten człowiek. To dlatego jego twarz wydała mi się znajoma.

- Przecież to kłamstwo... - zaczął Jason, usiłując się podnieść.

Temuchin chwycił go za przeguby i popchnął do tyłu, aż stopy Jasona trafiły na krawędź przepaści.



- Mów prawdę, zdrajco! Stoisz na skraju Bramy Piekła. Jeśli powiesz prawdę, być może cię nie zabiję.

Mówiąc to, Temuchin przechylał ciało Jasona coraz bardziej w stronę przepaści. Tylko dzięki temu, że trzymał go za ręce, Jason nie leciał w dół. To był koniec. To, co jeszcze mógł zrobić, to tylko ochronić Pyrrusan.

- Uwolnij mnie, a powiem ci całą prawdę. Jestem z innego świata. Przybyłem tu, aby ci pomóc. Znalazłem umierającego kuglarza Jasona i zabrałem mu imię. Dawno nie widział swoich i nikt go już nie pamiętał. Pomagałem ci. Uwolnij mnie, a pomogę ci bardziej.

Nagle w jego głowie odezwał się słaby głos: "Jason, czy to ty? Mówi Kerk. Gdzie jesteś?". Dentifon jeszcze działał. Miał więc jeszcze jakąś szansę.

- Dlaczego tu jesteś? - zapytał Temuchin. - Czy pomagasz ludziom z nizin wybudować miasta?

- Uwolnij mnie. Nie wrzucaj mnie w Bramę Piekła.

Powiem ci wszystko!

Temuchin wahał się długo, zanim odezwał się znowu:

- Jesteś kłamcą. Wszystko, co mówisz, jest kłamstwem.

- Odwrócił głowę i na moment pochodnia oświetliła jego twarz. Uśmiechnął się ponuro.

- Uwolnię cię - powiedział i zwolnił uścisk.

Jason wyciągnął ręce, usiłując złapać uciekającą krawędź studni, lecz nie mógł nic zdziałać. Leciał w ciemność. Poczul uderzenie w plecy. W ramię. Tarł teraz o ścianę, a skały rozdzierały jego skórzane odzienie. Potem zwięźnienie skończyło się. Znowu leciał bezwładnie. Spadał nieskończenie długo - sekundy, minuty, wieczność. Wreszcie uderzył o dno. Żył jeszcze, co go bardzo zdziwiło. Otarł coś z twarzy i zdał sobie sprawę, że jest to śnieg. Zaspą! Tutaj, na dnie Bramy Piekła! Siedział w piekle - w śniegu.

- Niech żywi nie tracą nadziei! - powiedział na głos. Jaka jednak mógł mieć nadzieję? Wyciągnie go Kerk - podtrzymywał się na duchu. W chwili, kiedy o tym pomyślał, język natrafił na ostry kawałek metalu w ustach. Z rosącym przerażeniem Jason wypluł pokruszone resztki dentifonu. Spadając musiał nieświadomie zgnieść go zębami i zniszczyć.

- Znowu musisz radzić sobie sam, Jason - szepnął.

Słaby dźwięk jego głosu w przytłaczającej ciemności wcale go nie ucieszył. Jakie miał szansę? Wybrnął z zasy i sięgnął po medpakiet. Nie ma. Sakiewka wisiała wprawdzie nadal przy pasie, ale nóż z buta zniknął. Sięgnął do sakwy. Co to? Fotonowa latarka, oczywiście. Wrzucona i zapomniana od czasu, kiedy odbierali sprzęt do wspinaczki. Działa? Biorąc pod uwagę prześladowający go pech - nie powinna. Włączył ją. Nic się nie zdarzyło. Potem poruszył potencjometrem regulacji jasności i ciemność przeszły oślepiający promień. Światło!

Mimo, że sytuacja nie zmieniła się znacząco, to morale Jasona wzrosło. Rozszerzył promień i obejrzał swoje więzienie. Śnieg pokrywał podłoże płaskiej kotlinki, zalegając zaspami przy ścianach. Po obu stronach wznosiły się skały, nieco wyżej wypiętrzone na zewnątrz, tworząc skalną półkę. Niebo, zasłonięte tą półką, było niewidoczne. Ocalił go czysty przypadek.

Nagle rozległ się krzyk i jakiś kształt przeciał smugę światła, spadając z góry. Uderzył o dno doliny nie dalej, jak dziesięć metrów od Jasona. W tym miejscu znajdowała się zaledwie kilkucentymetrowa warstwa śniegu i spadający człowiek uderzył o skałę z całym impetem. Jego oczy były szeroko rozwarte, z otwartych ust sączyła się krew. Był to Oariel - człowiek, który go zdradził.

- Coś się stało, kolego? Temuchin likwiduje świadków? Usta mężczyzny były wciąż otwarte, lecz widać było, że już nigdy nie przemówią, Jason wygramolił się ze swojej zasy i ruszył w poprzek małej dolinki. Grunt był bardzo równy i płaski. Nie zastanawiał się dlaczego, dopóki nie usłyszał złowrogiego trzasku pod stopami. Nagłe spotkanie z lodowatą wodą omal nie przyprawiło go o zawał serca.

Jason zacisnął zęby, wbijając je głęboko w dolną wargę. Równocześnie jego palce zacisnęły się na latarce. Bez światła nie będzie w stanie odnaleźć miejsca, gdzie załamał się pod nim lód.

Moment później jego stopy dotknęły skalistego dna -woda nie była głęboka - Jason odbił się od niego. Nie mógł dojrzeć dziury w lodzie. Otwartą dłoń próbował zrobić choćby szczelinę. Jednak lód był mocny. Dopiero gdy poczuł, że jego palce ślizgają się po lodzie, zdał sobie sprawę, że jest znoszony silnym prądem. Otwór w lodzie musiał znajdować się już daleko za nim.

Gdyby Jason miał być skłonny do popadania w rozpacz, to był to właśnie odpowiedni moment. Dryfując pod powierzchnią lodu w niedostępnej kotlinie - to był moment, w którym można by się poddać. On jednak nawet o tym nie myślał. Chciał odpłynąć w bok, aby spróbować w płytszym miejscu wypchnąć lód. Wciąż szukał pęknięcia, świecąc latarką w górę. Prąd był jednak bardzo silny. Uderzył nim o skałę i odrzucił znowu w główny nurt. Skierował się więc w dół strumienia i patrzył na gładką skałę, przesuwając się w odległości wyciągniętego ramienia od jego twarzy. Woda była zimna: powodowała drętwienie ciała i ciągnęła go dalej. Palący ból w płucach był coraz silniejszy. Logicznie rzecz biorąc, mógł jeszcze przeżyć kilka minut, ale odruch oddychania nie kierował się logiką. ,,

Umieramy!'' - krzyczały płuca - "Powietrza! Oddychać!"

Jason odbił się, uderzając w płytę lodu, który wreszcie . poddał się. Upłynęło sporo czasu, zanim to, co się stało, dotarło do świadomości człowieka. Jason wyciągnął się do połowy na skalisty brzeg i leżał jak wyrzucona na plażę meduza.

Wszelki ruch stawał się absolutnie niemożliwy. Przenikliwie zimno uzmysłowiło mu jednak, że musi coś zrobić, bo umrze. Powoli wyszedł z wody i rozejrzał się dookoła. Nie ma śniegu? Znaczenie tego faktu dotarło do jego przemarzniętych komórek mózgowych. "Jaskinia" - pomyślał. Było to oczywiste od pierwszego rzutu oka.

Wąska dolina. Brama Piekła, musiała być wydrążona przez trwającą stulecia erozję, powodowaną przez niewielki strumień. Potok nie miał widocznego ujścia, bowiem schodził pod ziemię, ginąc nie wiadomo gdzie. Oznaczało to, że nie wszystko jest jeszcze stracone. Woda na pewno gdzieś wypływa i miał zamiar to miejsce odnaleźć. Przez moment przyszło mu na myśl, że strumień wody może schodzić coraz niżej, by wsiąknąć w ziemię. Szybko odrzucił tę fatalną możliwość.

- Dalej! - krzyknął, podnosząc się na nogi, podczas gdy echo powtarzało: ... lej... lej... lej!

Dobry pomysł - nie rezygnować. To właśnie powinien zrobić. Wzdrygnął się; ruszył naprzód po drobnym piasku, tuż przy samej wodzie. Następną rzeczą którą zobaczył, były . ślady stóp, wylaniające się z wody. Był tu jeszcze ktoś?

Ślady były wyraźne, najwidoczniej zostały zrobione niedawno. A więc istnieje wyjście z tej jaskini. Po prostu trzeba iść tym tropem. Dopóki będzie się ruszał, nie zamarznie w przemoczonych rzeczach. W jaskini było chłodno, lecz nie tak zimno jak na zewnątrz.

Ślady odchodzące od strumienia i prowadzące do przyległej innej jaskini, stały się trochę mniej wyraźne, ale wciąż były jeszcze czytelne. Małe stalagmity, wyrastające z wapiennego podłoża skały, były tu i ówdzie połamane, od czasu do czasu zdarzały się też znaki wyryte w miękkim wapniu ścian.

Tunel rozgałęział się. Jedna z dróg prowadziła w stronę strumienia, urywając się nad brzegiem. Jaskinia była tutaj wypełniona wodą, która po drugiej stronie stykała się z sufitem. Jason wycofał się i odnalazł ślad w następnym odgałęzieniu.

To był długi marsz. Jason usiadł na chwilę i nie zdając nawet sobie z tego sprawy, zasnął. Zbudził się nie mogąc opanować dreszczy. Zmusił się, by wstać i iść dalej. Zegarek ukryty w pasie zapewne nadal działał, lecz Jason nie spojrzał na niego. Czas nie był ważny w tych niekończących się korytarzach. Idąc w dół jednego z nich, nie różniącego się od innych, znalazł człowieka, za którym szedł. Spał na kamiennej posadzce. Był to barbarzyńca, ubrany w futra.

- Cześć! - powiedział w języku "pomiedzy". Zamilkł podchodząc bliżej.

Był to wieczny sen. Człowiek nie żył już od dawna. Lata, a może dziesiątki lat leżał w chłodnym, pozbawionym bakterii powietrzu jaskini. Nie było sposobu, by określić, jak długo się tu znajduje. Jego ciało i skóra były doskonale zakonserwowane. Wyciągnięta ręka leżącego wskazywała przed siebie, a między rozchylonymi palcami leżał nóż, pokryty cienką warstwą rdzy.

To co musiał zrobić nie było łatwe, lecz konieczne, żeby przeżyć. Zdjął z trupa futrzane okrycie. Nieboszczyk nie protestował. Kiedy Jason miał już futra, odszedł dalej w głąb jaskini, rozebrał się do naga i przebrał się w suche rzeczy. Jeśli chciał żyć, nie mógł kierować się uprzedzeniami. Rozciągnął własne

rzeczy aby wyschły, podłożył futro pod głowę,  
ściemnił światło - nie wytrzymałby całkowitej  
ciemności - i natychmiast zapadł w sen.

## **Rozdział XVII**

"Mówią, że jeśli coś jest niezmiennie dostatecznie długo, to nie można określić upływu czasu, ponieważ nic się nie zmieniło. Jednak jestem ciekaw, jak długo tu jestem". - Powlókł się jeszcze parę kroków, by w nowym miejscu spokojnie rozważyć ten problem. - "Chyba jednak już dość długo". Jaskinia znowu się rozgałęziała. Skręcił w prawo, ale przedtem zrobił wyraźny znak na ścianie. Wybrany tunel kończył się ślepo nad znajomym jeziorkiem. Zanim zawrócił ukląkł i napił się do syta. W miejscu rozwidlenia wydrapał słowo "woda" i skręcił w drugi korytarz.

- Tysiąc osiemset trzy... tysiąc osiemset cztery... - Teraz liczył już co trzeci krok, było ich tak wiele. Oczywiście nie miało to żadnego znaczenia, ale dawało pretekst, by mówić, a dźwięk własnego głosu był mniej męczący niż wieczna cisza.

Żołądek w końcu przestał go boleć. Na początku czuł burczenie w brzuchu i nieprzyjemne skurcze, ale teraz i to ustało. Przynajmniej wody było pod dostatkiem. Powinien był pomyśleć o mierzeniu czasu nacięciami na pasie.

- Już widziałem te cholerne rozstaje.

Splunął w stronę trzech znaków na ścianie. Pod spodem wydrapał czwarty. Już tu nie wróci. Znał teraz kolejność w tym labiryncie. Przynajmniej miał taką nadzieję.

"Cuglio\*<sup>3</sup>, ma tylko jedną strefę... Fletter\* dwie, lecz bardzo dziwaczne... Harmill\*..." - rozważał maszerując. Co takiego miał Harmill? Jakoś mu to uciekło. Wyśpiewywał po kolei wszystkie stare piosenki, ale z jakiegoś powodu zaczynał zapominać słowa. Z jakiegoś powodu! Ha! Roześmiał się szyderczo. Powód był oczywisty. Ogromny głód - i ogromne zmęczenie. Człowiek może długo wytrzymać bez jedzenia, pijąc tylko wodę, lecz jak długo może iść?

---

<sup>3</sup> nazwy gwiazd.

- Odpoczniemy? - zapytał sam siebie.  
- Odpoczywamy! - odpowiedział. - Tylko chwileczkę.  
Tunel schodził w dół. Jason poczuł zapach wody. Ostatnio bardzo poprawił mu się węch. W pobliżu wody zwykle był miękki piasek, na którym spało się znacznie lepiej niż na gołej skale.  
Świetnie. Woda rozlewała się szeroko i była chyba głęboka - prawie sadzawka. Ale smakowała zawsze tak samo. Wygrzebał legowisko w piasku, wyłączył latarkę, schował ją do kieszeni i poszedł spać. Na ogół nie gasił światła, lecz teraz nie robiło mu to żadnej różnicy. Już nie. Jak zwykle spał krótko, budził się i znów zasypiał. Ale tym razem coś było nie w porządku. Leżał z otwartymi oczyma, wpatrując się w aksamitną ciemność. Potem odwrócił się i spojrział na wodę. Delikatnie, bardzo delikatnie, woda połyskiwała błękitnawym światłem.  
Długi czas leżał, myśląc o tym. Był słaby, zmęczony, wygłodzony, prawdopodobnie miał gorączkę. To musi być złudzenie. Majaczenia konającego; miraże umierającego z głodu. Przymknął oczy i znów zasnął, jednak kiedy je ponownie otworzył, światło było nadal. Co to może oznaczać?...

"Powiniennem chyba coś z tym zrobić" - zdecydował i włączył latarkę. W jaśniejszym świetle poświata zniknęła. Postawił latarkę na piasku, tak by świeciła w górę i wyjął nóż. Nadal był ostry. Przycisnął go do przedramienia i lekko pociągnął...  
W płytkim nacięciu pojawiły się kropelki krwi.  
- To boli - powiedział. - Tym lepiej.  
Nagły ból wyrwał go z letargu, zwiększając poziom adrenaliny we krwi. Wywołało to niezwykle ożywienie. "Jeśli w dole jest światło, to musi być jakieś wyjście - pomyślał. Powinno być! A jeśli tak, może to być jedyna szansa, by wydostać się z tej



pułapki. Teraz. Dopóki wydaje mi się, że dam radę."

Zaczął głęboko oddychać, raz za razem wypełniając płuca ożywczym powietrzem, aż od nadmiaru tlenu zakręciło mu się w głowie.

W końcu, wraz z ostatnim wdechem ustawił latarkę na pełną jasność, włożył ją do ust, by móc obracając głową kierować strumieniem światła.

Wpadając w wodę odczuł szok termiczny, ale spodziewał się tego. Zanurkował głęboko i tak szybko, jak tylko był w stanie, płynął w stronę miejsca, gdzie przedtem widział światło. Woda była cudownie przejrzysta. Skała, po prostu lita skała... Może więc niżej... Ubranie nasiąknęło wodą, co pomogło mu zejść niżej, prawie do dna, gdzie jezioro przecinał skalny nawis. Poniżej tego progu nurt przyspieszał, by wydostać się na zewnątrz. Głową naprzód, odpychając się od wiszącej nad nim skały, przepchnął się przez krótki tunel. Jasność. Ale wysoko, bardzo wysoko.. Latarka wypadła mu z ust i zniknęła. Wyżej! Wyżej! Mimo, iż płynął w stronę światła, zdawało mu się, że jest coraz ciemniej. W panice machał rękami. Zdawało mu się, że płynie w rtęci lub czymś znacznie bardziej gęstym, niż woda. Ręka uderzyła w coś twardego, obłego. Uchwycił się tego i jednym rzutem ciała wydostał na powierzchnię.

Przez pierwszą minutę jedyne, co był w stanie robić, to oddychać. Głęboko oddychać. Gdy rozjaśniło mu się nieco w głowie, spostrzegł, że znajduje się przy brzegu małego stawu, prawie całego otoczonego drzewami i krzakami. Z tyłu jezioro kończyło się u podnóża klifu, który wznosił się prostopadle, by w końcu zniknąć w chmurach. To był wylot podziemnego strumienia, płynącego w płaskowyżu. Był na nizinach.

Z ogromnym wysiłkiem wciągnął się na brzeg. Leżał potem na trawie odpoczywając, aż wróciło

mu trochę sił. Widok jagód na pobliskich krzakach w końcu skłonił go do ruchu. Nie było ich wiele, co prawdopodobnie wyszło mu na dobre, bo nawet te, które pożarł, wywołały ostry ból brzucha. Ułożył się w trawie, z twarzą poplamioną sokiem i zastanawiał, co robić dalej.

Zasnął, nie wiedząc kiedy, a gdy się obudził, umysł miał jasny.

"Obrona! - pomyślał. - Człowiek człowiekowi wilkiem.

Pierwszy tubylec, którego spotkam, prawdopodobnie będzie próbował rozwalić mi łeb, choćby po to, by zdobyć te przedpotopowe futra. Obrona!" Nóż przepadł razem z latarką, więc musiał mu wystarczyć ostry odłamek skały. Za pomocą tego prymitywnego narzędzia ściał młode drzewko. Odłamanie gałęzi było już łatwiejsze i w ciągu godziny miał już prosty, ale przydatny kij. Na początek posłużył jako laska. Wspierając się na nim, Jason pokuśtykał na wschód leśną ścieżką.

Pod wieczór, kiedy znów zaczęło mu się kręcić w głowie, napotkał człowieka. Wysoki, postawny mężczyzna w pół-wojskowym mundurze był uzbrojony w łuk i groźnie wyglądającą halabardę. Ostрым tonem zadał Jasonowi parę pytań w nieznanym języku. Jason w odpowiedzi wzruszył ramionami i coś wymamrotał. Chciał pokazać, że jest słaby i bezbronny, co nie było trudne. Wychudzony, ze zmierzwioną brodą, w brudnych futrach nie mógł wyglądać groźnie. Obcy też tak chyba pomyślał, bo nie wykorzystał łuku; podszedł, jedynie symbolicznie zasłaniając się halabardą. Jason wiedział, że stać go tylko na jeden, jedyny cios. Jeśli nie trafi, ten młody osiłek zje go żywcem.

- Umble, kumble - wymamrotał Jason, cofając się.

Mocniej ścisnął kij w garści.

- Frmble brmble! - odpowiedział mężczyzna, znacząco potrząsając halabardą. Jason lewą ręką trzymając kij w środku ciężkości, prawą lekko nacisnął w dół, tak że drugi koniec uniósł się w górę. Pchnął silnie w splot słoneczny tamtego. Mężczyzna jęknął i zgięty w pół, zwałił się na ziemię. No cóż, fortuna kołem się toczy - zachichotał Jason, łapczywie sięgając po wypchaną sakwę tainifgu. Może jedzenie'?... Ślina napłynęła mu do ust, gdy rozrywał torbę.

## Rozdział XVIII

Rhes siedział w kantorze kończąc rachunki, gdy nagle usłyszał głośne krzyki na dziedzińcu. Brzmiało to, jakby ktoś na siłę chciał wejść do środka. Zignorował hałas; dwaj pozostali Pyrrusanie już odjechali, a on miał jeszcze masę spraw do załatwienia przed powrotem na statek. Jego strażnik Riclan był dobrym sługą i wiedział, jak dbać o swego pracodawcę. Na pewno odprawi niepożądanego gościa. Nagle krzyki urwały się, a w chwilę później rozległ

się dźwięk, który podejrzenie przypominał odgłos miecza i zbroi padających na bruk. Czyżby Riclan?...

Rhes nie spał od dwóch dni, a było jeszcze tyle do zrobienia, zanim wyjedzie na dobre. Nie był więc w najlepszym humorze. Przebywanie w towarzystwie tak usposobionego Pyrrusanina jest na ogół wysoce niezdrowe. Kiedy drzwi się otworzyły, wstał, gotów rozszarpać intruza. Najchętniej gołymi rękami, tak by słyszeć trzask łamanych kości. Do środka wszedł mężczyzna z okropną, czarną brodą, ubrany w mundur zaciężnego żołnierza. Rhes zgiął palce w szpony i ruszył do ataku.

- W czym problem? Wyglądasz, jakbyś chciał mnie zabić - zapytał żołnierz w najczystszym pyrrusańskim języku.

- Jason! - Rhes już był przy nim, rozradowany, klepiąc przyjaciela po plecach.

- Spokojnie niedźwiedziu! - wykrzyknął Jason, uwalniając się z jego objęć. Z ulgą padł na stojące obok posłanie.

- Pyrrusańskie powitanie może człowieka okaleczyć, a ja ostatnio niezbyt dobrze się czuję.

- Myśleliśmy, że nie żyjesz! Co się stało?

- Chętnie ci opowiem, ale wolałbym zrobić to przy posiłku. Sam też chciałbym posłuchać, co tu się wydarzyło. Ostatni raz miałem kontakt z polityką na krótko przed tym, jak zepchnięto mnie w przepaść. Jak idzie handel?

- W ogóle nie idzie - stwierdził Rhes ponuro, wyjmując ze schowka mięso i chleb i wylawiając ze swego legowiska butelkę, osnuta pajęczyną.

- Po tym, jak cię zabili - tak przynajmniej sądziliśmy -wszystko się rozleciało. Kerk usłyszał cię przez dentinofon i prawie na śmierć zajeździł swego moropa, spiesząc ci na ratunek. Ale już było za późno - zrzucili cię do Bramy Piekła. Był tam jakiś grajek, który cię zdradził i próbował oskarżyć Kerka, że też jest z innego świata. Kerk zepchnął go ze

skały, zanim zdążył powiedzieć za dużo. Temuchin był oczywiście równie wściekły jak Kerk i niewiele brakowało, a wszystko by wybuchło już tam. Ale ty nie żyłeś. Kerk czuł, że jedyne, co może dla ciebie zrobić, to doprowadzić do końca twoje plany.

- Udało się?

- Przykro mi to mówić, ale nie. Temuchin przekonał większość wodzów, że powinni walczyć, a nie handlować. Kerk usiłował przeciągnąć ich na naszą stronę, ale to była przegrana sprawa. Musiałem się w końcu wycofać. Kończę swoją działalność i zostawiam cały ten dobrze prosperujący interes moim pomocnikom. Niech oni go prowadzą. "Plemię" Pyrrusan wraca na statek. Plan się nie powiódł, a innego nie mamy. Postanowiliśmy wracać na Pyrrusa.

- Nie wolno wam! - Jason odpowiedział najgłośniejszym bełkotem, na jaki mając usta wypchane jedzeniem mógł się zdobyć.

- Nie mamy wyboru. Powiedz teraz, jak się tu dostałeś? Tej samej nocy na dno Bramy Piekła wysłaliśmy naszych ludzi. Nie było po tobie śladu, chociaż znaleźli tam parę trupów i jakieś szkielety. Pomyśleli, że spadając musiałeś przebić lód i zostałeś zniesiony z prądem.

- Owszem, ale nie jako trup. Spadłem w zaspę i byłbym tam na was czekał, zmarznięty, ale żywy, gdybym rzeczywiście nie zapadł się pod lód. Strumień płynie przez system jaskiń. Miałem latarkę i więcej cierpliwości, niż przypuszczałem. To było okropne, ale w końcu wyostałem się stamtąd i wylądowałem na nizinach. Załatwiłem paru obywateli i po dość awanturycznej podróży dotarłem do ciebie.

- Miałeś szczęście. Jutro byłoby za późno. O zmroku ma po mnie przylecieć patrolówka. Muszę przepłynąć 10 kilometrów, by dotrzeć na miejsce spotkania.

- Masz więc drugiego wioślarza. Mogę iść w każdej chwili, pod warunkiem, że zabiorę to jedzenie ze sobą.

- Nadam przez radio wiadomość o twoim powrocie.

Przekażę Kerkowi i innym.

Odpłynęli cicho w jednej z łodzi Rhesa. Zanim słońce zetknęło się z widnokregiem, dotarli do małej, skalistej wysepki. Rhes wybił otwór w poszyciu łodzi i wypełnioną kamieniami, spuścił na wodę. Gładko poszła na dno. Potem nie mieli już nic innego do roboty, jak tylko czekać na przyłot rakiety, podziwiając sterty guana i słuchając krzyku morskich ptaków.

Lot był krótki. Clon, siedzący za sterami, przywitał Jasona skinieniem głowy - do tego ograniczyło się całe entuzjastyczne powitanie Pyrrusan, czego się mniej więcej spodziewał.

Na "Walecznym" cała załoga spała, a obserwatorzy byli na posterunkach. Nie zobaczył więc nikogo. Było mu to na rękę, gdyż nadal czuł się zmęczony podróżą. „Plemię” Pyrrusan miało przybyć dopiero następnego dnia, więc towarzyskie spotkania mogły do tego czasu poczekać. Jego kabina wyglądała dokładnie tak, jak ją zostawił; w kącie połyskiwała metaliczna, piekielnie droga "biblioteka". Co go u licha podkusiło, by ją kupić? Pieniądze wyrzucone w błoto! Kopnął ją, przechodząc obok, ale stopa tylko odbiła się od błyszczącego, jajowatego urządzenia.

- Rupieć - podsumował, waląc w przycisk z napisem "Sieć". - Na co ty się możesz przydać?

- Czy to pytanie? - zaczęła biblioteka. - Jeśli tak, to sprecyzuj znaczenie słowa "przydać" w tym kontekście.

- Mądrala. Teraz to gadasz, a gdzie byłaś, kiedy cię potrzebowałem?

- Jestem tam, gdzie mnie umieszczono. Odpowiadam na pytania, które mi zadano. Twoje pretensje są bezpodstawne.

- Nie obrażaj przełożonych, maszyno. To rozkaz.

- Tak jest, sir.

- Teraz lepiej. Stworzyłem cię i równie dobrze mogę zniszczyć.

Nalał sobie mocnego drinka z dystrybutora i opadł na fotel. Biblioteka migotała światelkami i mruzczała coś do siebie w swoim elektronicznym języku.

- Założę się, że nie masz zbyt wysokiego mniemania o moim planie podbicia tubylców i otworzenia kopalni.

- Nie znam twych planów, więc nie mogę wydać opinii.

- Wcale cię o to nie proszę. Założę się, że sądzisz, iż sama potrafisz wymyślić lepszy?

- Czego ma dotyczyć ten plan?

- Przemian kulturowych. Tak, właśnie tego. Ale wcale cię o to nie pytam.

- Informacje dotyczące przemian kulturowych znajdziesz pod hasłem „historia” i „antopologia”. Jeśli nie pytasz, przerwę poszukiwania.

- No dobrze, pytam. Powiedz mi coś o kulturach. Nacisnął wyłącznik i z powrotem usadowił się w fotelu.

Światelka biblioteki zgasły, a monotonne mruczenie zastąpiła cisza.

A więc jednak można to zrobić. Odpowiedź przez cały czas była tutaj - w podręczniku historii, gdyby tylko miał dość oleju w głowie, by do nich zajrzeć. Nie miał usprawiedliwienia dla swojej głupoty. Powinien był skonsultować się z biblioteką, a nie uczynił tego. Ale... może da się jeszcze wprowadzić poprawki? Właściwie, czemu nie?!. Chodził nerwowo po pokoju. Wszystko da się jeszcze naprawić, jeśli to dobrze rozegrać. Nie sądził, by udało mu się przekonać Pyrrusan, że nowy plan się uda. Wątpił nawet, czy uznają to za dobry pomysł. Prawdopodobnie będą absolutnie przeciw. Musi więc działać sam. Spojrzał na zegarek. Rakiet

wystartuje po Kerka i resztę nie wcześniej niż za godzinę. Ma więc dość czasu, by się przygotować: napisać przyjacielowi liścik do Mety, niejasno wspominając o swoich planach. Potem każe donowi, by go podrzucił w pobliże obozu Temuchina. Ten pozbawiony wyobraźni pilot zrobi to bez zbędnych pytań. Tak, to się może udać. Miał zamiar tego dokonać.

## Rozdział XIX

Panem był nad górami.  
Władcą równin i wszystkich dolin.  
Bez jego wiedzy nic się zdarzyć nie mogło  
Ludzie ginęli, gdy rozpętał się jego gniew.

Temuchin wpadł do camachu, ściskając w garści obnażony miecz.

- Pokaż się! - ryczał. - Moi strażnicy leżą pobici przed namiotem. Wychodź, szpiegu abym mógł cię zabić!

Zakapturzona postać weszła w krąg migotającego światła olejnej lampki. Temuchin wzniósł miecz do ciosu. Jason odrzucił futra, odsłaniając twarz.

- Ty! - głucho wyjąkał wódz. Miecz wysunął mu się z dłoni i z brzękiem upadł na podłogę. - To nie możesz być ty. Zabiłem cię... Tymi rękoma. Jesteś duchem, czy demonem?

- Wróciłem, by ci pomóc, Temuchinie. Otworzyć nowy świat dla twych podbojów.



- Musisz być demonem, skoro zamiast umrzeć, powróciłeś z Bramy Piekła, zyskawszy nową siłę. Demon o tysiącu twarzy! To wyjaśnia, dlaczego oszukałeś i zdradziłeś tak wielu ludzi. Minstrel sądził, że jesteś z innego świata. Pyrrusanie uważali, że należysz do ich plemienia. Ja myślałem, że jesteś lojalnym towarzyszem, który mi pomoże.

- Ciekawa teoria. Możesz wierzyć, w co zechcesz. Teraz posłuchaj, co ci chcę powiedzieć.

- NIE! Jeśli cię posłuchań, będę przeklęty! - krzyknął, łapiąc za miecz.

Jason mówił teraz szybko. Musiał zdążyć, zanim będzie zmuszony do walki o życie.

- Z doliny, którą zwiecie Bramą Piekła jest wyjście. Nie prowadzi do piekła, ale na niziny. Przyszedłem tamtędy i wróciłem łodzią, by ci pokazać drogę. Teraz jesteś wodzem tu, na stepach, a możesz zostać władcą nizin. Przed tobą nowy kontynent. Zdobywaj. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu to się może udać, Temuchin wolno opuścić miecz. Oczywiście płonęły mu wewnętrzny żarem. Gdy się odezwał, głos miał stłumiony, jakby mówił do siebie.

- Musisz być demonem. Nie można zabić kogoś, kto już nie żyje. Mogę cię usunąć, ale nie wymażę z pamięci twych stów. Wiesz to, czego inni nie wiedzą -jestem pusty. Władam tymi stepami i co z tego? Cóż to za przyjemność - rządzić?... Żadnych podbojów, żadnych wojen. Marzyłem... Dzień i noc marzyłem w samotności o bogatych łąkach i miastach, tam pod klifem. Bo nawet proch i wielkie armie nie powstrzymają mych wojowników. Widziałem ich zdumienie, gdy otaczamy miasta, oblegamy. Zdobywamy.

- Możesz to wszystko mieć, Temuchinie. Władco całego tego świata.

Lampa strzelała w ciszy namiotu, rzucając na obu mężczyzn roztańczone cienie.

Kiedy Temuchin znów przemówił, w jego głosie brzmiało postanowienie.

- Zgadzam się, chociaż znam cenę. Chcesz mnie, demonie. Chcesz mnie zabrać do swego piekła pod górami. Ale nie dam się, dopóki nie zdobędę całego świata.

- Nie jestem demonem, Temuchinie.

- Nie szydź ze mnie. Znam prawdę. To, co śpiewają minstrele jest prawdą, choć nigdy przedtem w to nie wierzyłem. Kusieś mnie i ja się zgadzałem. Teraz jestem przeklęty. Powiedz mi, kiedy i jak umrę?

- Nie mogę ci tego powiedzieć.

- Oczywiście, tak możesz. Jesteś związany zaklęciem, tak jak ja.

- Myślałem o czym innym.

- Wiem, o czym myślałeś. Zgadzając się na wszystko, wszystko tracę. Nie ma innej drogi. Zgadzam się. Ale najpierw zwyciężę. Czy to prawda, demonie? Przystajesz na to?

- Oczywiście, zwyciężysz i...

- Nic więcej nie mów. Zmieniłem zdanie. Nie chcę wiedzieć, jaki będzie mój koniec.

Wstrząsnął się, jakby zrzucając niewidoczny ciężar i schował miecz do pochwy.

- W porządku. Możesz wierzyć, w co chcesz. Daj mi po prostu kilku dobrych ludzi, a otworzę przejście na niziny. Sznurowa drabinka pozwoli nam zejść na dno rozpadliny. Oznaczę drogę i przeprowadzę ich przez jaskinie na dowód, że można tego dokonać. Następnym razem pójdzie za nami cała armia. Zejdą tam, na dół?

Temuchin roześmiał się.

- Przysięgali, że pójda za mną do samego piekła, jeśli tak rozkażę, więc pójda.

- Świetnie. Czy uściśniemy sobie dłonie?

- Oczywiście! Podbijając świat zdobędę wieczność - w piekle, więc nie obawiam się teraz twego zimnego ciała, demonie.

Uściśnieli sobie dłonie. Jason, wbrew samemu sobie, nie mógł stłumić uczucia podziwu dla wielkiej odwagi tego człowieka.

## Rozdział XX

- Pozwólcie mi z nim porozmawiać - prosiła Meta. Kerk machnął ręką, by nie przeszkadzała. Chwycił mikrofon, który praktycznie zginał w jego potężnej dłoni.

- Jason, posłuchaj mnie! - powiedział chłodno.  
- Nikt nie jest zachwycony tą awanturą. Nie wyjaśniłeś jej celu i nie zyskasz nic, prócz zniszczenia. Jeżeli Temuchin będzie kontrolował również niziny, nigdy nie usuniemy go z drogi, by otworzyć kopalnię. Rhes wrócił do Ammh i szykuje opór przeciwko twojej inwazji. Niektórzy z naszych chcą się do niego przyłączyć. Proszę po raz ostatni. Zatrzymaj się, zanim nie będzie za późno.

Głos Jasona zabrzmiał dziwnie cicho. Nie wiadomo, czy z powodu zakłóceń, czy dlatego, że ciężko było mu powiedzieć to, co chciał przekazać.

- Kerk, usłyszałem, co mówiłeś i wierz mi, rozumiem cię. Ale jest już za późno, by się cofnąć. Większość armii przeszła przez jaskinie. Zdobyli nawet sporo moropów w jakichś wioskach. Nic już nie zatrzyma Temuchina. Może ludzie z nizin zwyciężą, ale bardzo w to wątpię. Temuchin chce władać nad i pod skarpą i to byłoby dla nas najlepsze.

- Nie! krzyknęła Meta, wydzierając Korkowi mikrofon. - Jason, słuchaj. Nic możesz tego zrobić. Byłeś wśród nas, pomagałeś nam. a my wierzyliśmy w ciebie. Pokazałeś nam. że życie to coś więcej, niż wzajemne zabijanie. Wiemy teraz, że wojna na Pyrrusie była czymś złym. Na tę planetę przybyliśmy, bo ty nas o to prosiłeś. Teraz wygląda to tak, jakbyś nas zdradzał. Próbowałeś nas nauczyć, jak można żyć bez zabijania i. wierz mi, staraliśmy się to pojąć. Ale to, co robisz teraz jest gorsze od wszystkiego, co kiedykolwiek zrobiliśmy na Pyrrusie. Tam przynajmniej walczyliśmy o życie. Ty nie masz takiego wytłumaczenia. Ty pokazałeś temu potworowi Temuchinowi, jak zacząć jeszcze jedną wojnę i zabić jeszcze więcej ludzi. Jak to usprawiedliwisz? Przez długą chwilę w głośniku było słycać jedynie trzaski zakłóceń. Wreszcie Jason znów się odezwał. Jego głos brzmiał, jak gdyby był bardzo zmęczony.

- Meta... Bardzo mi przykro. Chciałbym ci to wytłumaczyć, ale jest już za późno. Szukają mnie. Muszę ukryć radio, zanim mnie tu znajdą. To, co robię, jest słuszne. Spróbuj w to uwierzyć. Ktoś, bardzo dawno temu powiedział, że nie można zrobić omletu bez rozbijania jajek. Nie można przeprowadzić zmian społecznych, nie krzywdząc nikogo. Ludzie cierpią i umierają przeze mnie i nie myśl, że o tym nie wiem. Ale... słuchaj, nie mogę już dłużej mówić. Są tuż obok - jego głos zniżył się do szeptu. - Meta, gdybym miał cię nigdy więcej nie zobaczyć, pamiętaj jedno. Jest takie stare, niemodne słowo, znane w bardzo wielu językach. \ Biblioteka ci je przetłumaczy i poda znaczenie. Wolę mówić przez radio - tak lepiej. Watpię, czy mógłbym ci je powiedzieć prosto w oczy. Jesteś ode mnie silniejsza i masz lepszy refleks, ale mimo wszystko jesteś kobietą. I, do diabła,

chcę ci powiedzieć że... Kocham cię.  
Powodzenia. Wyłączam się.

- W głośniku rozległ się lekki trzask i zapadła cisza.

- Jakiego słowa on użył? - zapytał Kerk.

- Sądzę, że wiem - odpowiedziała, odwracając twarz, tak by jej nie mógł widzieć.

-- Halo! Kontrola! - dobiegł ich głos z głośnika. - Tu radiokabina. Wiadomość międzygwiazdna z Pyrrusa. Priorytet najwyższego zagrożenia.

- Łącz! - rozkazał Kerk.

Usłyszeli szelest zakłóceń pochodzących od promieniowania kosmicznego, po czym rozległo się znajome dudnienie fali nośnej. Nakładał się na nie podenerwowany głos jakiegoś Pyrrusanina.

- Uwaga! Wszystkie stacje w promieniu "Zeta". Wezwanie o natychmiastową pomoc do statku „Waleczny” na planecie Felicity. Kod odbiornika: Ama Roma Pi, 290-633-087. Podaję tekst:

"Kerk lub ktokolwiek inny. Nagłe kłopoty. Wszystkie dzielnice. Skróciliśmy obwód, porzucając większość miasta. Nie wiemy, czy się zdołamy utrzymać. Brucco twierdzi, że to coś nowego i konwencjonalna broń nie wystarczy. Można by użyć siły ognia waszego statku. Jeśli możecie, wracajcie natychmiast. Koniec."

Radiokabina przekazała wiadomość do wszystkich pomieszczeń statku. W przerażającej ciszy, która po niej nastąpiła, w korytarzach komunikacyjnych rozległ się tupot pędzących ze wszystkich stron statku ludzi. Gdy pierwszy człowiek wpadł do centrali, Kerk zaczął wydawać rozkazy.

- Wszyscy na stanowiska. Startujemy natychmiast. Przywołać zewnętrzne straże. Wypuścić jeńców. Odlatujemy.

Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie do pomyślenia byłoby, żeby jakkolwiek

Pyrrusanin mógł postąpić inaczej. Ich dom, ich miasto ginęło, może już zostało zniszczone. Wszyscy biegli na stanowiska.

- Rhes - zaczęła Meta. - Rhes jest z armią. Jak go zabierzemy? - Kerk zamyślił się na chwilę, po czym potrząsnął głową.

- Nie możemy. To jedyna odpowiedź. Zostawimy mu rakietę na tamtej, umówionej wyspie. Nagraj wiadomość o tym, co się stało i ustaw automatyczne nadawanie co godzinę. Kiedy będzie miał znów dostęp do radia, dowie się. Rakieta będzie zamknięta, więc nikt nie wejdzie do środka.

Jest zaopatrzona w leki, nawet w nadajnik międzygwiazdny. Poradzi sobie.

- To mu się spodoba.

- Nic więcej nie możemy zrobić. Teraz musimy się przygotować do startu.

Pracowali systematycznie jak roboty. Do domu. Na Pyrrusa. Ich miasto jest zagrożone. Statek wystartował z potwornym przyspieszeniem. Meta chętnie dałaby jeszcze większą moc, gdyby tylko kadłub statku mógł to wytrzymać. Obliczyli kurs w podprzestrzeni - najszybszy, ale i najbardziej niebezpieczny. Nikt się nie skarżył, że podróż zabierze tyle czasu - przyjęli to ze stoicką rezygnacją. Broń była przygotowana. Rozmawiali niewiele. Każdy dusił w sobie pewność, że ich świat stanął w obliczu zagłady. Na taki temat się nie rozmawia.

Na wiele godzin, zanim „Waleczny” wyszedł z podprzestrzeni, każdy człowiek załogi, uzbrojony, czekał w gotowości. Nawet dziewięcioletni Grif - Pyrrusanin, jak wszyscy. Statek pędził. Z raniącej oczy podprzestrzeni w ciemną przestrzeń, aż do górnych warstw atmosfery Pyrrusa.

W dół, po przeraźliwie stromej krzywej balistycznej. Kadłub osiągnął prawie temperaturę topnienia, przeciążona klimatyzacja wyła na najwyższych obrotach. Pot spływał im po twarzach i wsiąkał w ubranie.

Nawet tego nie czuli. Obraz z kamer dziobowych był przekazywany na wszystkie monitory.

Przed oczyma mignął im zielony pas dżungli, a potem zobaczyli wzbijający się pod niebo ciemny słup dymu. Statek, niczym jastrząb spadający na ofiarę, leciał w dół.

Dżungla opanowała już cały obszar miasta. Nieznaczone wzniesienie porośnięte gęstą roślinnością było jedynym śladem nieprzebranych murów, które niegdyś otaczały całe miasto. Gdy zeszli niżej, ujrzeli cierniste pnacze zwisające ze wszystkich okien. Ulicami, niegdyś pełnymi ludzi, wałęsały się dzikie zwierzęta. Ogromny ptakpazur usiadł na wieży centralnego magazynu. Zwiertzałe ściany kruszyły się pod jego ciężarem. Lecąc dalej zobaczyli dym, unoszący się z rozbitego statku. Pociemniałe teraz pnacze schwytały go zanim zdążył wystartować.

W ruinach nie widać było śladów ludzi, tylko zwierzęta i rośliny tej planety śmierci; dziwnie teraz spokojne i ospałe. Ich wróg został pokonany - zginął powód do nienawiści, która zżerała je przez tyle lat. Zaczęły biegać niespokojnie, gdy nowa fala emocji, płynąca od ocalałych Pyrrusan, pobudziła je do życia.

- Nie mogli wszyscy zginąć - powiedział Teca zdławionym głosem. - Szukaj dalej.

- Sprawdzam cały obszar - odpowiedziała Meta. Kerk nie mógł znieść widoku zniszczeń. Kiedy się odezwał, głos miał cichy, jakby mówił tylko do siebie.

- Wiedzieliśmy, że taki będzie koniec. Przyjęliśmy ten fakt, próbowaliśmy zacząć życie na nowej planecie. Ale przewidywać coś, a ujrzeć to na własne oczy, to dwie różne rzeczy. Jedliśmy w tych... ruinach. Spaliśmy tutaj. Tu są nasi przyjaciele, koledzy, całe nasze życie. A teraz to wszystko odeszło.

- Ładujemy! - krzyknął Clon. Nie był w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o

przepełniającej go nienawiści. - Atakujemy!  
Wciąż jeszcze możemy walczyć!

- Nie ma już po co walczyć - w głosie Tocy brzmiało ogromne znużenie. Przecież Kerk już powiedział - wszystko odeszło.

Detektor wykrył odgłosy strzelaniny. Natychmiast skierowali się w tamtą stronę, ale był to jedynie automat samoczynnie ładowany i uruchamiany. Wkrótce skończy mu się amunicja i zamilknie, podobnie jak reszta miasta.

Światelko odbiornika migotało już od dłuższego czasu, zanim ktokolwiek to zauważył. Ktoś nadawał na częstotliwości używanej przez Rhesa, a nie na zwykłej częstotliwości miasta. Kerk wolno wyciągnął rękę w stronę aparatu i przełączył na odbiór.

- Mówi Naxa, jak mnie słyszycie? "Waleczny" - odbiór.

- Tu Kerk. Jesteśmy nad miastem. Przybyliśmy... za późno. Możesz powiedzieć co tu się stało?

- Za późno?! O wiele za późno! - zachnął się Naxa. - Nie chcieli nas słuchać. Mówiliśmy, że możemy ich stąd zabrać, że mamy dokąd; ale byli głusi na jakąkolwiek perswazję. Jakby po prostu chcieli umrzeć w mieście. W końcu obwód został przełamany. Ci, co przeżyli, schowali się w jednym budynku. To, co potem nastąpiło, było straszne. Wyglądało to, jakby ruszyło na nich wszystko, co żyje na tej planecie. Nie mogliśmy patrzeć na to beczynnie. Zgłosili się wszyscy. Wybraliśmy najlepszych i wszystkie samochody pancerne, jakie były w kopalni. Dotarliśmy tutaj. Zabraliśmy dzieci - na to się zgodzili i część rannych kobiet. Po prostu tych, które były nieprzytomne. Reszta została. Zaraz potem nastąpił koniec. Nie pytaj mnie, jak to wyglądało. Kiedy już było po wszystkim, w parę chwil wszystko się uspokoiło. Tak, jak to teraz widzicie. Cała planeta się uspokoiła. Kiedy tylko byliśmy w stanie, ja i jeszcze paru naszych,



przyjechaliśmy zobaczyć to, co zostało. Koszmar. Musieliśmy dosłownie wspinać się po górze ciał wszelkich możliwych stworzeń. Odnaleźliśmy właściwe miejsce. Wszyscy, którzy tam postali, byli martwi. Umarli walcząc. Jedyne, co mogliśmy zabrać, to parę nagrań, które zostawił Brucco.

- A więc ocalały - stwierdził Kerk. - Powiedz, gdzie są ci, których uratowaliście? Zaraz tam polecimy.

Naxa podał właściwe współrzędne. - Co teraz zamierzacie zrobić?

- Jeszcze się z tobą skontaktujemy. Odbiór i koniec.

- Ale co mamy zamiar teraz robić? - spytał Teca. - Tu nie mamy już, czego szukać.

- Na Felicity także. Dopóki Temuchin tam rządzi, nie otworzymy kopalni - odparł Kerk.

- Wracajmy. Zabijemy Temuchina. - Teca pałał żądzą odwetu, mordu. Obwody jego autokabiny mruczały groźnie. - Nie możemy tego zrobić - odrzekł Kerk cierpliwie, bo wiedział jakie katusze przeżywa Teca. - Rozważymy to później. Najpierw musimy zobaczyć ocalonych.

- Straciliśmy wszystko - Meta wypowiedziała głośno to, o czym wszyscy myśleli. Zapanowała cisza.

## Rozdział XXI

Do pomieszczenia wbiegło czterech strażników, na wpół wlokąc Jasona. Rzucili go na posadzkę. Przetoczył się parę kroków, po czym dźwignął na kolana.

- Wszyscy precz - rozkazał Temuchin swoim ludziom. Kopniakiem w głowę rzucił Jasona z powrotem na ziemię. Kiedy Jason usiadł, połowę jego twarzy stanowił jeden, wielki siniec.

- Przypuszczam, że jest jakiś powód tego wszystkiego? - powiedział cicho Temuchin. Z furją zacisnął swe ogromne pięści, ale nic nie mówił. Wielkimi krokami przemierzał ozdobną komnatę, ostrogami znacząc głębokie rysy w marmurze posadzki.

Zatrzymał się na chwilę w przeciwległym końcu, patrząc przez wysokie okno na miasto w dole. Nagle szarpnął za haftowaną draperię, zdzierając ją jednym ruchem. Żelazny karnisz również spadł, ale złapał go, nim dotknął posadzki i cisnął przez okno. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

- Przegrałem! - ryknął jak zwierzę wyjące z bólu.

- Wygrałeś - odrzekł Jason. - Czemu to robisz?

- Nie musimy już dłużej udawać - Temuchin odwrócił się do niego. Poprzedni wybuch gniewu zastąpił teraz kamienny spokój. - Wiedziałeś, że tak się stanie.

-- Wiedziałem, że zwyciężysz. I tak się stało.. Wojska poddały się tobie, ludzie uciekli. Twoi wojownicy podbili kontynent, twoi dowódcy rządzą w każdym mieście. Ty zaś stąd, z Eolasair, władasz całym światem.

- Nie igraj ze mną, demonie. Wiedziałem, że tak się stanie, ale nie sądziłem, że to nastąpi tak szybko. Powinieneś być dać mi więcej czasu.

- Dlaczego? - zapytał Jason, dźwigając się na nogi. Teraz, gdy Temuchin poznał prawdę, nie było sensu jej ukrywać. - Sam powiedziałaś, że zgadzając się - przegrasz.

- Istotnie. Tak powiedziałem. - Temuchin wyprostował się i spojrział przez okno niewidzącym wzrokiem. Nie wiedziałem, ile stracę. Byłem głupcem. Sądziłem, że stawką jest jedynie moje życie. Nie zdawałem sobie sprawy, że moi ludzie, nasze życie, również umrze. - Odwrócił się do Jasona. - Zwróć im to. Zabierz mnie, ale pozwól im wrócić.

- Nie mogę.

- Ty nie chcesz! - krzyknął Temuchin.

Dopadł do Jasona, chwycił go za gardło i trząsł nim jak pustym bukłakiem.

- Zmień to! Rozkazuję ci! - Lekko rozluźnił chwyt, tak by Jason mógł złapać oddech i odpowiedzieć.

- Nie mogę. Zresztą nie zrobiłbym tego, nawet gdybym mógł. Zwyciężając, przegrałeś, a właśnie tego chciałem. Życie, które znałeś, skończyło się i nie mam ochoty, żeby w jakikolwiek sposób wróciło.

- Wiedziałeś to wszystko - Temuchin powiedział prawie łagodnie, rozluźniając chwyt. - Takie było moje przeznaczenie i ty je znałeś. Pozwoliłeś, by się wypełniło. Dlaczego?

- Z wielu powodów.

- Podaj choć jeden.

- Rodzaj ludzki doskonale może się obyć bez takiego życia, jakie ty prowadziłeś. Dość już było krwi i zabijania w naszej historii. Przeżyj swój czas Temuchinie i odejdz w pokój. Jesteś ostatnim w swoim rodzaju i dla całej galaktyki będzie lepiej, gdy ciebie już nie będzie.

- Czy to jest jedyny powód?

- Są jeszcze inne. Chcę, aby ludzie spoza twego świata otworzyli na stepach kopalnie. Teraz mogą już to uczynić.

- Zwyciężając, przegrałem. Muszą być jakieś słowa, którymi można coś takiego opisać.

- Owszem. Nazywają to "Pyrrusowym zwycięstwem". Chciałbym powiedzieć, że jest mi przykro, ale nie jest. Jesteś tygrysem w

klatce, Temuchinie. Podziwiam twoje mięśnie i twoje męstwo. Wiem, że kiedyś byłeś Królem dżungli, ale cieszę się, że teraz jesteś w pułapce.

Nie patrząc na drzwi, Jason postąpił krok w ich kierunku.

- Stąd nie ma ucieczki, demonie - powiedział Temuchin.

- Dlaczego? Nie mogę ci już zaszkodzić ani... pomóc.

- Ani ja nie mogę cię zabić. Demona, który już Jest martwy, nie można zabić. Ale mogę dręczyć ludzkie ciało, w które się przyoblekłeś. Tak też uczynię. Twoja męczarnia będzie trwała tak długo, jak długo będę żył. To tylko mała zemsta za wszystko, co straciłem, ale nic więcej nie mogę zrobić. Czeka nas sporo rozrywki, demonie...

Jason nie słyszał już reszty. Głową naprzód wypadł przez drzwi, pędząc co sił w nogach. Dwaj strażnicy, stojący w końcu korytarza, słysząc tupot odwrócili się i wymierzili w niego swoje włócznie. Nie zwolnił ani nie próbował ich ominąć, lecz rzucił się, nogami naprzód. Wszyscy trzej upadli na ziemię. Przez jedną chwilę Jason czuł, że któryś trzyma go za ramię, ale uderzył kantem dłoni, łamiąc nadgarstek przeciwnika. Był wolny. Zerwał się na nogi i rzucił schodami w dół. Skacząc po dziesięć stopni, za każdym razem ryzykował upadkiem.

Wreszcie znalazł się na parterze. Przez niestrzeżone drzwi wypadł na dziedziniec.

- Łapać go! - ryczał z góry Temuchin. - Chcę go mieć żywcem.

Jason rzucił się w stronę najbliższej bramy. Skręcił gwałtownie, widząc ukazujących się w niej strażników. Zbrojni byli wszędzie. Przy każdym wyjściu. Podbiegł do muru. Był wysoki, zwieńczony rzędem połączanych włócznie, ale musiał go przebyć. Usłyszał za sobą głośne kroki.

Skoczył. Palce zacisnęły się na krawędzi muru. Dobrze! Podciągnął się, by przerzucić nogi, prześlizgnąć się między włóczyniami, zeskokczyć po drugiej stronie i zniknąć w mieście. Czyjeś ręce zacisnęły się wokół jego kostek, ściągnając w dół. Kopnął z całej siły. Poczł, że butem miażdży czyjaś twarz, ale nie mógł się uwolnić. Ktoś złapał go za wierzgającą nogę i jeszcze ktoś, aż w końcu ściągnęli go na dziedziniec.

- Przyprawdźcie go do mnie - rozległ się nad tłumem głos Temuchina. - Jest mój.

## Rozdział XXII

Lecąc w dół "Walecznym", dostrzegli Rhesa - maleńką figurkę, stojącą obok rakiety. To było lądowanie na pełnym ciągu. Przyspieszenie wynosiło dwadzieścia G. Meta nie traciła czasu. Rhes ruszył przez roztopiony, dymiący jeszcze piasek, gdy tylko otworzyła się śluza wejściowe.

- Opowiedz wszystko. Szybko - powiedziała Meta.

- Niewiele mam do powiedzenia. Temuchin wygrał wojnę, tak jak przypuszczaliśmy, zajmując miasta, jedno po drugim. Ludzie, nawet wojsko nie mogli dotrzymać mu pola. Po ostatniej bitwie uciekłem z innymi. Nie chciałem, by moje kciuki powiewały na jakimś barbarzyńskim proporcu. Wtedy otrzymałem waszą wiadomość. Powiedzcie, co stało się na Pyrrusie?

- Koniec - Kerk stwierdził sucho. - Miasto, ludzie... Wszyscy, wszystko zniszczone. Rhes nie znalazł na to słów. Milczał przez chwilę; potem napotkawszy wzrok Mety, podjął znowu.

- Jason ma lub raczej miał radio. Niedługo potem, jak dotarłem do rakiety, otrzymałem od niego wiadomość. Nie zdążyłem odpowiedzieć, a on też nie przekazał jej do końca. Nie miałem włączonego magnetofonu, ale dobrze zapamiętałem to, co mówił. Powiedział, że wkrótce będzie można otworzyć kopalnię, że wygraliśmy. Chciał dodać coś kleszcze, ale łączność została nagle przerwana. Wtedy właśnie musieli po niego przyjść. Od tego czasu więcej go nie słyszałem.

- Co masz na myśli? - szybko spytała Meta.

- Temuchin założył swą stolicę w Eolasair, największym mieście w Ammh. Trzyma tam Jasona... w klatce, przed pałacem. Z początku torturował go; teraz chce go zgłodzić na śmierć.

- Dlaczego? Z jakiego powodu?

- Koczownicy wierzą, że demona w ludzkiej postaci nie można zabić. Normalna broń się go nie ima. Ale jeśli dostatecznie długo go głodzić, cielesna powłoka zniszczy się i właściwy demon zostanie uwolniony. Nie wiem, czy Temuchin wierzy w te bzdury, ale tak właśnie czyni. Jason wisi w tej klatce już piętnasty dzień.

- Musimy tam jechać - krzyknęła Meta, zrywając się na równe nogi. - Musimy go uwolnić.

- Zrobimy to - powiedział Kerk. - Ale to trzeba robić mądrze. Rhes, możesz zdobyć dla nas jakieś ubrania i moropy?

- Oczywiście. Ile wam potrzeba?

- Nie możemy przedzierać się na siłę. Nie przeciwko władcy całej planety. Pojedziemy tylko my dwaj. Zobaczymy, co się da zrobić.

- Jadę z wami - powiedziała Meta. Kerk kiwnął głową.

- A więc troje. Natychmiast. Nie wiemy, ile wytrzyma w tych warunkach.

-- Dają mu codziennie kubek wody. - Rhes nadal unikał spojrzenia Mety. - Polecimy statkiem. Pokażę wam drogę. Już nieważne, że ludzie w mieście dowiedzą się, że jestem spoza planety. Było to tuż przed południem. Uśpienie moropów i zabranie ich do ładowni zaoszczędziło im sporo czasu.

Eolasair leżało nad rzeką, pośród kopulastych wzgórz, w pobliżu lasu. Wylądowali najbliżej, jak tylko się udało. Dosiedli moropów, gdy tylko je ocucili. Późnym popołudniem wjechali do miasta. Rhes rzucił jakiemuś dzieciakowi drobną monetę, by wskazał im drogę do pałacu. Miał na sobie swoje kupieckie szaty. Kerk był w pełnym rynsztunku bojowym. Meta, tutejszym zwyczajem, miała twarz zasłoniętą. Ręce zacisnęła na siodle, gdyż z trudem torowali sobie drogę przez zatłoczone ulice.

Dopiero przed pałacem było pusto. Dziedziniec był wyłożony marmurem, wypolerowanym i błyszczącym, inkrustowanym złotymi żyłkami. Pilnował go oddział wojowników. Ich zarośnięte twarze dziwnie kontrastowały ze zdobycznymi pancerzami, ale broń trzymali w pogotowiu i byli tak samo groźni, jak na wysokich równinach. Może nawet bardziej, gdyż ciepły kilmat na pewno nie poprawiał o im humoru. Między dwoma kolumnami stojącymi po obu stronach dziedzińca przeciągnięty był gruby

łańcuch. Na nim, dobre dwa metry nad ziemią, wisiała klatka z grubych prętów. Nie miała wyjścia. Zbudowano ją wokół więzienia.

- Jason - szepnęła Meta, patrząc na zwiniętą w klatkę postać.

Jeniec nie drgnął nawet. Nie można było stwierdzić, czy żyje.

- Ja się tym zajmę - powiedział Kerk, zeskakując ze swego moropa.

- Czekaj! - krzyknął za nim Rhes. - Co chcesz zrobić? To, że dasz się zabić nie pomoże Jasonowi.

Kerk go nie słyszał. Zbyt wiele ostatnio stracił i zbyt wiele wycierpiał, by mógł działać racjonalnie. Cała jego nienawiść zwróciła się teraz przeciw jednemu człowiekowi i nic go nie mogło powstrzymać.

- Temuchin! - ryknął. - Wyłaź z tej swojej pozłacanej kryjówki! Zejdź na dół, ty tchórze i spójrz mi w oczy. Mnie, wodzowi Pyrrusan! Pokaż się - TCHÓRZU!

Ahankk, który był dowódcą straży, wybiegł z obnażonym mieczem, ale Kerk, nie spuszczać oczu z pałacu, dzielił go tylko na odlew i Ahankk upadł na dziedziniec. Leżał tam martwy lub nieprzytomny. Raczej martwy - sądząc po nienaturalnym ułożeniu głowy.

- Temuchin, tchórze, wychodź! - znowu krzyknął Kerk. Kiedy ogłuszeni żołnierze sięgnęli po broń, odwrócił się do nich, warcząc: - Psy, chcecie mnie zaatakować? Mnie, Kerka, wielkiego wodza Pyrrusan? Zdobywcę Wawozu? Cofnęli się przed tym wybuchem, a on odwrócił się, słysząc jak wrota pałacu otwierają się z hukiem. Temuchin wyszedł na zewnątrz.

- Na zbyt wiele sobie pozwalasz - wycedził z zimną pasją.

- To ty sobie pozwalasz - odparł Kerk. - Złamałeś prawo. Pojmałeś człowieka z mego plemienia i torturowałeś bez powodu. Jesteś tchórzem, Temuchinie i mówię ci to w twarz przed twoimi ludźmi.



Miecz Temuchina - ostry jak brzytwa - błysnął w słońcu.

- Powiedziałeś dosyć, Pyrrusaninie. Mógłbym kazać cię wypatroszyć żołnierzom, ale wolę sobie zostawić tę przyjemność. Chciałem cię zabić w chwili, gdy cię po raz pierwszy zobaczyłem i powinienem był to zrobić. Ponieważ przez ciebie i przez tę kreaturę, którą zwiesz Jasonem, straciłem wszystko.

- Nic nie straciłeś. Jeszcze... - odrzekł Kerk, mierząc w gardło wodza. - Ale zaraz stracisz życie. Zabiję cię.

Temuchin spuścił ostrze na jego głowę. Cios ten mógł rozplątać człowieka na dwoje, ale stal zadzwoniła tylko o miecz Kerka. Z furją natarli na siebie; żadnych szkolnych ciosów, żadnych reguł. Ewentualne zwycięstwo należało do silniejszego.

W ciszy dziedzińca słychać było tylko dźwięczenie stali i ciężkie oddechy walczących. Żaden się nie poddał, a byli godnymi siebie przeciwnikami. Kerk był starszy, ale silniejszy. Za to Temuchin od dziecka zaprawiony do walki na miecze. Niejedną bitwę miał za sobą; zupełnie nie znał uczucia strachu.

## Rozdział XXIII

- Już nie chcę - zaprotestował Jason, odsuwając jedzenie, które przyniosła mu Meta. Siedział na swojej koi na "Walecznym", umyty, opatrzony, nafaszerowany lekami, z kroplówką przymocowaną do ramienia. Naprzeciw niego siedział Kerk. Jego bok wybrzuszał się w miejscu, gdzie był opatrunek. Teca wyciął mu kawałek przebitego jelita i zawiązał parę naczyń krwionośnych. Kerk najchętniej zapomniałby o wszystkim.

- Opowiedz nam - poprosił - podłączyłem ten mikrofon do systemu nagłaśniania statku, wszyscy chcą cię usłyszeć. Jeśli mam być szczery, nadal nie wiemy, co się wydarzyło, oprócz tego, że obaj - ty i Temuchin, stwierdziliście, że on przegrał, zwyciężając. To bardzo dziwne.

Meta nachyliła się nad Jasonem i dotknęła jego czoła złożoną chusteczką. Uśmiechnął się i ujął jej dłoń.

- To cała historia. Poszedłem do biblioteki, żeby znaleźć odpowiedź. Powinienem być to zrobić wcześniej, ale na szczęście jeszcze nie było za późno. Biblioteka przeczytała całą masę książek i szybko mnie przekonała, że kultury nie można zmieniać z zewnątrz. Może zostać podbita albo zniszczona - ale nie zmieniona. A właśnie to próbowaliśmy zrobić. Czy słyszeliście kiedykolwiek o Gotach i Hunach - plemionach na Starej Ziemi?

Potrząsnęli przecząco głowami. Jason przeplukał gardło.

- Były to bandy leśnych barbarzyńców, którzy żyli w puszczech. Uwielbiali pić, zabijać, mieli swój własny rodzaj niezależności i bili się z rzymskimi legionami, kiedy tylko się z nimi spotkali. Zawsze dostawali w skórę. Myślicie, że potraktowali to jako nauczkę? Oczywiście, że nie.

Po prostu ci, co przeżyli zbierali się do kupy i zaszywali głębiej w lasach, by spróbować następnym razem. Ich kultura pozostawała nietknięta. Zmieniła się dopiero, gdy WYGRALI. Ostatecznie ruszyli na Rzymian, zdobyli ich stolicę i zakosztowali wszystkich zdobyczy cywilizacji. Przestali być barbarzyńcami. Podobną sztuczkę stosowali przez całe stulecia starożytni Chińczycy. Nie byli wielkimi wojownikami, ale działali jak gąbka. Byli najeżdżani i podbijali wielokrotnie, ale narzucali najeżdźcom własną kulturę i sposób życia. Nauczyłem się tej lekcji i po prostu zorganizowałem wszystko tak, aby podobne wypadki miały miejsce również tutaj. Temuchin był bardzo ambitnym człowiekiem i nie mógł się oprzeć pokusie zdobycia nowych ziem. Najechał więc niziny, gdy pokazałem mu drogę.

- I zwyciężając, przegrał - powiedział Kerk.

- Właśnie. Świat należał do niego. Zdobył miasta i zapragnął ich bogactwa. Musiał wieje okupować, by dostać to, co chciał. Jego najlepsi dowódcy zostali administratorami nowego państwa i pławili się w luksusie. Spodobało im się tutaj. Chętnie by zostali. W sercach byli jeszcze koczownikami, ale następne pokolenie?... Jeśli Temuchin i jego wodzowie mieszkali w miastach, to jak mogli oczekiwać, że uda się wprowadzić z powrotem prawo zabraniające ich budowania? Wyglądałoby to raczej głupio. Przyzwoity barbarzyńca nie ma zamiaru cierpieć zimna na stepach, jeśli może przybyć na niziny i mieć swój udział w zdobyczy. Wino było mocniejsze niż achadh, a mają tu nawet gorzelnie. Koczowniczy tryb życia jest skazany na zagładę. Temuchin to wiedział, choć nie umiał ubrać tego w słowa. Wiedział po prostu, że zwyciężając, zostawił za sobą i zniszczył bezpowrotnie tryb życia, który pozwolił mu wygrywać. To dlatego nazwał mnie demonem i powiesił w klatce.

- Biedny Temuchin - powiedziała Meta w przebłysku intuicji. - Zgubiła go własna ambicja i w końcu to zrozumiał. Chociaż to on był zdobywcą, stracił najwięcej.

- Swoją sposób życia i samo życie - odparł Jason, - Był wielkim człowiekiem.

- Nie mów tylko, że żałujesz, że go zabiłem - powiedział Kerk.

- Absolutnie. Osiągnął wszystko, o czym kiedykolwiek marzył; potem zginął. Niewielu ludzi może to o sobie powiedzieć.

- Wyłącz głośniki, Kerk - powiedziała Meta. -1 możesz już iść.

Ogromny Pyrrusanin otworzył usta, by zaprotestować, ale zamiast tego uśmiechnął się i wyszedł.

- Co teraz zamierzasz zrobić? - zapytała, gdy tylko drzwi się zamknęły.

- Spać przez miesiąc, jeść befsztyki i wracać do sił.

- Nie to miałam na myśli. Chciałam zapytać, dokąd pójdziesz? Może zostaniesz tutaj, z nami?

Z trudem starała się wyrazić swoje uczucia, używając słownika, który wcale się do tego nie nadawał. Jason jej tego nie ułatwiał.

- Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

- Tak. To dla mnie bardzo ważne, w jakiś nowy sposób... - Zmarszczyła czoło. Prawie jąkała się z wysiłku. - Kiedy jestem z tobą, chcę ci tyle powiedzieć... Wiesz, jaka jest najmiłsza rzecz, jaką mówimy na Pyrrusie? - Pokręcił przecząco głową. - "Walczyłeś bardzo dobrze". Aleja nie to mam-na myśli.

Jason władał dziewięcioma językami i wiedział dokładnie, co sam chciał powiedzieć, ale nie zrobił tego. Nie był w stanie. Odwrócił głowę.

- Nie, popatrz na mnie. - Meta ujęła jego twarz w dłonie i delikatnie odwróciła w swoją stronę. Jej czyny mówiły więcej niż jakiegokolwiek słowa i Jason był zawstydzony, że nic nie może wykrztusić, ale nadal milczał. - Sprawdziłam, co znaczy słowo "kocham", jak mi kazałeś. Z początku nie bardzo rozumiałam, bo przecież to tylko słowa, ale kiedy pomyślałam o tobie, od razu wszystko stało się jasne.

Ich twarze były blisko siebie. Jej oczy spokojnie patrzyły w jego.

- Kocham cię - powiedziała. - Myślę, że zawsze będę cię kochać. Nie możesz mnie nigdy opuścić.

Bezpośredniość i prostota jej uczuć wezbrała niczym powódź, by przedrzeć się przez ochronną skorupę, która, pracowicie budował latami. Był samotnikiem. Nikt nie stał po jego stronie. Weź kobietę, zostaw kobietę. Wszechświat pomoże tym, którzy sobie pomogą. Mogę sam się o siebie zatroszczyć i... nikogo nie... potrzebuję...

- Na wszystkie gwiazdy, dziewczyno, jak ja cię kocham...-- wykrztusił, przyciągając ją do siebie, tuląc twarz do jej szyi, włosów...

- I już nigdy mnie nie opuścisz? - zapytała.  
- I już nigdy mnie nie opuścisz... To najkrótsza i najlepsza ceremonia ślubna, jaką słyszałam. Możesz mi złamać rękę, jeśli kiedykolwiek spojrzę na inną dziewczynę.  
- Proszę, nie mów teraz o walce.  
- Przepraszam. To mówi moje stare "ja". Myślę, że oboje będziemy musieli wprowadzić nieco delikatności w nasze życie. Tego ty, ja i nasi mrukliwi Pyrrusanie potrzebujemy najbardziej. To wszystko, czego nam trzeba. Nie pokory - tego nikt nie potrzebuje. Myślę, że teraz możemy sobie na to pozwolić. Kopalnie powinny wkrótce ruszyć, a po tempie. w jakim plemiona przenoszą się na niziny, możemy sądzić, że Pyrrusanie będą mieli płaskowyż dla siebie.  
- Tak, to byłoby dobre. To mógłby być nasz nowy świat - zawahała się na chwilę,, ważąc słowa. - My, Pyrrusanie zostaniemy tutaj, a ty?... Nie chciałabym porzucać swoich, ale pójdę za tobą, dokądkolwiek się udasz.  
- Nie będziesz musiała. Zostaję tutaj. Przecież jestem człowiekiem plemienia, nie pamiętasz? Pyrrusanie są nieokrzesani, zawzięci i wybuchowi, dobrze o tym wiesz. Ale ja jestem taki sam. Więc, może w końcu znalazłem swój dom?..  
- Ze mną... Na zawsze.  
- Oczywiście.  
Już nic więcej nie trzeba było mówić.

HARRY HARRISON

Urodził się w 1925 roku. Od 1978 r. pełni funkcję przewodniczącego World Science Fiction - światowej organizacji zrzeszającej autorów SF.

W jego powieściach znajdujemy dużo humoru i parodii, a przede wszystkim wspaniałe przygody.